

9.9786 Chw. Arch

M 7-2

ISSN 0023-5148

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*  
**PARYŻ Nr 7/574-8/575 1995**

---



• « *La Culture* » • *Revue mensuelle* •

M. KULA: **POLSKA 1993–1995:**  
**MOTYWY SPOŁECZNE I NARODOWE**  
J. NOWICKI: **JEDYNA PRAWDA**  
G. HERLING-GRUDZIŃSKI: **PROCHY**  
B. KERSKI: **POLSKA-NIEMCY: PO DNIU**  
**ZWYCIĘSTWA**  
M. JACKIEWICZ: **MIŃSK PO REFERENDUM**

## SPIS RZECZY

|                            |                                                                |    |
|----------------------------|----------------------------------------------------------------|----|
| Marcin Kula:               | <i>Polska 1993-1995: Motywy społeczne i narodowe</i> . . . . . | 3  |
| Jacek Nowicki:             | <i>Jedyna prawda</i> . . . . .                                 | 45 |
| Mariusz Wilk:              | <i>List z Wypisów Sołowieckich do Paryża</i> . . . . .         | 50 |
| Gustaw Herling-Grudziński: | <i>Prochy</i> . . . . .                                        | 53 |

### WIERSZE

|                       |                                                              |    |
|-----------------------|--------------------------------------------------------------|----|
| Andrzej Słomianowski: | <i>Warsztat liryczny Auschwitz</i> . . . .                   | 91 |
| —                     | <i>Warsztaty artystyczne im. Józefa Czapskiego</i> . . . . . | 98 |

### ARCHIWUM POLITYCZNE

|                   |                                                           |     |
|-------------------|-----------------------------------------------------------|-----|
| Basil Kerski:     | <i>Polska-Niemcy: Po Dniu Zwycięstwa</i> . . . . .        | 99  |
| Jaroslav Valenta: | <i>O rzekomej determinacji Pragi słów kilka</i> . . . . . | 111 |
| Janusz Mondry:    | <i>A jednak czechizacja</i> . . . . .                     | 117 |

### SPRAWY I TROSKI

|                       |                                                    |     |
|-----------------------|----------------------------------------------------|-----|
| Adam Nasielski:       | <i>Polska prasa w Australii</i> . . . . .          | 121 |
| Ignacy Pawlus:        | <i>Dziwne drogi polskości na Syberii</i> . . . . . | 125 |
| Zofia Trojanowiczowa: | <i>Komentarz</i> . . . . .                         | 128 |

### KRAJ

|                    |                                           |     |
|--------------------|-------------------------------------------|-----|
| Krzysztof Wolicki: | <i>Prezydenci – ciąg dalszy</i> . . . . . | 130 |
| SMECZ:             | <i>Z ukosa</i> . . . . .                  | 141 |

### SĄSIEDZI

|                        |                                                   |     |
|------------------------|---------------------------------------------------|-----|
| Mieczysław Jackiewicz: | <i>Mińsk po referendum</i> . . . . .              | 151 |
| Adam Kruczek:          | <i>Notatki rosyjskie</i> . . . . .                | 157 |
| Bohdan Osadcuk:        | <i>Pierwszy rok odnowy przy Kuczmie</i> . . . . . | 164 |

|                   |           |     |
|-------------------|-----------|-----|
| NOTATKI REDAKTORA | . . . . . | 169 |
|-------------------|-----------|-----|

### KSIĄŻKI

|                          |                                                      |     |
|--------------------------|------------------------------------------------------|-----|
| Ziemowit Fedecki:        | <i>Daleko od Moskwy, daleko od Rosji</i> . . . . .   | 175 |
| M. Broński:              | <i>Niepokojąca Ameryka</i> . . . . .                 | 184 |
| Leszek Szaruga:          | <i>Skraj nieba</i> . . . . .                         | 192 |
| Teresa Halikowska-Smith: | <i>Podróż bezdrożami Europy i historii</i> . . . . . | 195 |
| —                        | <i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> . . . . .        | 199 |

### WOLNA TRYBUNA

|                 |                                                                                    |     |
|-----------------|------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| Jerzy Boniecki: | <i>Uwagi o elicie i społeczeństwie</i> . . . .                                     | 201 |
| —               | <i>Wydarzenia miesiąca z kronikami: kanadyjską, londyńską i norweską</i> . . . . . | 211 |

|                                                                                   |                                    |     |
|-----------------------------------------------------------------------------------|------------------------------------|-----|
| J. Cisek, K. Dejmek, M. Delaperrière, P. Kądziała, W. Lewandowski, M.F. Rakowski: | <i>Listy do Redakcji</i> . . . . . | 221 |
|-----------------------------------------------------------------------------------|------------------------------------|-----|

# KULTURA

**Szkice • Opowiadania • Sprawozdania**

**PARYŻ Lipiec/Sierpień–Juillet/Août 1995**

**INSTYTUT**



**LITERACKI**



## WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

|                                                                                                                                                                                                                                                                                              |              |
|----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|--------------|
| Edward Abramowicz, Milwaukee, WI (USA) – dla uczczenia pamięci siostry mojej Ireny Abramowicz-Stankiewicz w drugą rocznicę Jej śmierci – Dol. 500,00 .....                                                                                                                                   | F. 2.450,00  |
| Wiesław K. Brodowski-Prus, Spartanburg, NC (USA) – zamiast bukietów kwiatów na groby: a) mego zabitego w 70 roku braciszka Grzesia, b) wspaniałego Andrzeja Bobkowskiego, c) niezrównanego Józefa Czapskiego – na Fundusz Katedry Polskiej w Uniwersytecie w Jerozolimie – Dol. 150,00 ..... | F. 735,00    |
| – na Fundusz „Kultury”, po raz 8-my – Dol. 50,00 ..                                                                                                                                                                                                                                          | F. 245,00    |
| Dla uczczenia pamięci Tadeusza Andrzejaczka w 8-mą rocznicę Jego zgonu – żona .....                                                                                                                                                                                                          | F. 630,00    |
| Zapis testamentowy p. Alicji Kowarskiej z Nowej Zelandii – naszej wiernej Czytelniczki – przekazany przez firmę notarialną Jackson, Russell, Dignan, Armstrong z Auckland w Nowej Zelandii .....                                                                                             | F. 33.370,59 |
| Kazimierz Mamak, Knutange (Francja), po raz 11-ty ...                                                                                                                                                                                                                                        | F. 100,00    |
| Longin E. Sztachański, St. Petersburg, FL (USA), po raz 38-my – Dol. 20,00 .....                                                                                                                                                                                                             | F. 98,00     |

|                                                                                                                                                                                       |           |
|---------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-----------|
| Inż. Mieczysław Bornet, Toronto, ON (Kanada) – zamiast kwiatów na grób przyjaciela Zdzisława Staronia, zmarłego niedawno w Toronto, na pomoc dla Polaków w b. Związku Sowieckim ..... | F. 250,00 |
| Jan Zalewski, Chester (W. Brytania) – na pomoc dla Polaków w Rosji – £ stg. 20,00 .....                                                                                               | F. 155,00 |

Przepraszamy p. Longina E. Sztachańskiego z St. Petersburga, FL (USA) za dziwną pomyłkę w odnotowaniu Jego daru w majowej *Kulturze*, gdzie zamiast „Longin E. Sztachański” figuruje również zmyślane nazwisko „Lucy E. Sztachańska” a w imieniu p. Sztachańskiego zamiast „E” figuruje „L”. *Redakcja*

DZIĘKUJEMY

## Polska 1993-1995: Motywy społeczne i narodowe

W niniejszej refleksji spróbuję odpowiedzieć na pytanie czy wyrazem konfliktów społecznych w Polsce ostatnich lat było i jest wzmocnienie dyskursu narodowego. Nieprzypadkowo nie używam w tym wypadku terminu „nacionalizm”. W języku polskim – jak wiadomo – występuje silne rozróżnienie pomiędzy „nacionalizmem” a „patriotyzmem”. Przeprowadzenie linii granicznej pomiędzy tymi zjawiskami nie zawsze jest jednak łatwe na poziomie obserwowanej rzeczywistości. Wiele spraw bieżącej polityki jest dyskusyjnych. Różnym politykom czy grupom społecznym trudno przypisać krótko i węzłowato znak dodatni lub ujemny. Mimo więc, że mam, jak większość ludzi, własne sympatie i antypatie, nie występuję tu w roli sędziego, lecz w roli historyka i socjologa. Interesuje mnie, czy istnieje zależność pomiędzy natężeniem konfliktów społecznych i natężeniem dyskursu narodowego – nie zaś to, od którego momentu należałoby nazwać ów dyskurs nacjonalistycznym w polskim, pejoratywnym rozumieniu owego słowa.

Niniejsza refleksja dotyczy lat 1993, 1994 oraz początku 1995 r. Swego czasu napisałem artykuł o wzajemnym sprzężeniu motywów społecznych i narodowych w Polsce w okresie 1980-1992<sup>1</sup>. Tym razem będę starał się pokazać, jak w kolejnych latach zachodzi pewne rozluźnienie owego spłotu.

1. Marcin Kula, „Polska 1980-1992. Spłot motywów społecznych i narodowych”, *Przegląd Historyczny*, 1993, z. 2, s. 221-231.



Czas wzięty obecnie pod obserwację był dobą wygasania rewolucyjnego cyklu lat osiemdziesiątych. Wybory prezydenckie i parlamentarne z lat 1990 i 1991 oraz przetrwanie pomostu ponad PRL do II Rzeczypospolitej z jednej strony, zaś zmiana stosunków z sąsiadami i wyjście Armii Sowieckiej z Polski z drugiej, stawiały pod znakiem zapytania sens dalszego podnoszenia hasel suwerenności i swobód narodowych – tych, które w latach osiemdziesiątych były podstawowymi zwerbalizowanymi hasłami ruchu kontestatorskiego. Wybory parlamentarne z 1993 r., przynosząc zwycięstwo ugrupowaniom zakorzenionym jeszcze w układzie peerelowskim, potwierdziły, iż znaleźliśmy się w nowej epoce – kiedy sprawy, hasła i podziały z poprzedniej dekady nie organizują już myśli ludzkich.

Jednocześnie sytuacja społeczna kraju w okresie objętym analizą była i jest trudna, a na dodatek rozczarowująca dla znacznej części ludności, swego czasu oczekującej, iż rewolucyjne zwycięstwo przyniesie lepsze życie. Doświadczenie historyczne wskazuje, że taka sytuacja – z bezrobociem oraz szeroko rozpowszechnioną frustracją na czele – nieraz sprzyjała akcentowaniu dyskursu narodowego, substytuującego punkty oparcia ludziom stojącym na chwiejnym gruncie, stwarzającego przesłanki satysfakcji jednostkom ich pozbawionym oraz pozwalającego liczyć, że własny los może się w miarę szybko poprawić wraz z losem całej grupy narodowej. W konsekwencji również tym razem można było oczekiwać, iż dyskurs narodowy ulegnie wzmocnieniu, a przynajmniej zostanie utrzymany na wysokim poziomie lat poprzednich. Sprzyjało temu – zdawało się – kilka okoliczności:

- głęboko zakorzeniony w Polsce, wyrosły z doświadczenia historycznego, wzór kulturowy akcentujący retorykę narodową;
- uciekanie w ostoję narodowych symboli w czasach komunizmu;
- wspomniane doświadczenia lat osiemdziesiątych, z ich silną retoryką narodową;
- stosunkowo powszechne traktowanie Wielkiej Przemiany nie tyle jako zmiany ustrojowej, ale jako odzyskania niepodległości;
- powolność odzyskiwania przez społeczeństwo języka

ekspresji konfliktu społecznego, w swoim czasie zawłaszczanego przez komunizm.

Sygnalizowany kierunek ewolucji zdawały się uprawdopodobniać niektóre epizody przełomu dekad 1980 i 1990: pogrom Cyganów w Mławie, spór wokół sprawy przekazania przemyskiego kościoła Karmelitów grekokatolikom oraz antysemickie akcenty, jakie pojawiły się w trakcie kampanii prezydenckiej 1990 r. – nawet jeśli te skrajne epizody też były zaskakująco marginalne jeśli zważyć skalę przeżywanego przemiany. Tymczasem wszystko wskazuje na to, że – wbrew przewidywaniom i wbrew doświadczeniu dziejów – retoryka narodowa nie ulega obecnie w Polsce wzmocnieniu.

Prawda, że retoryka, o której mowa, pojawia się w ustach wszystkich – od Prezydenta poczynając, a na publicystach kończąc. Politycy mówią dziś o narodzie powszechnie (dla niego pracują, w imię jego interesów walczą, na jego prawdziwą, czy rzekomą opinię się powołują...). Kościół katolicki też często mówi o narodzie. Silnie, w sposób zwracający uwagę, retorykę narodową akcentują wszakże jedynie nieliczni.

Z ponadprzeciętną siłą retorykę narodową akcentuje większość partii i prasy zdeklarowanej prawicy. Oczywiście łączne potraktowanie ich tutaj musi stanowić uproszczenie sprawy i – wbrew intencjom autora – może być odczute jako obraźliwe przez ugrupowania stojące nieraz daleko od siebie. Już same ich nazwy są jednak często charakterystyczne z rozważanego punktu widzenia (m.in.: Akcja Polska, *Gazeta Polska*, Konfederacja Polski Niepodległej, Ruch dla Rzeczypospolitej, Ruch Trzeciej Rzeczypospolitej). Podobnie charakterystyczny jest często wysuwany w tym środowisku motyw trwającego jakoby zniewolenia Polski oraz konieczności doprowadzenia do zmiany tego stanu rzeczy. Porozumienie Okrągłego Stołu traktowane jest jako dogadanie się swoich ze swoimi. Komunistyczna władza dogadła się jakoby wówczas z lewicową, a nawet podobnie wywodzącą się z komunizmu częścią opozycji, która wróciła do stada (do PZPR) i zawarła układ perpetuujący w nowych warunkach stan rzeczy korzystny dla sukcesorów tej formacji. Z takim



postawieniem sprawy jest związana koncepcja, iż ludzie rządzący od 1989 r. (z wyjątkiem rządu premiera Olszewskiego) zdradzają naród, a najpewniej, przynajmniej w części, od dawna nie pozostawali w jego służbie jako agenci komunistycznej policji politycznej. Wyzwolenie narodu musi przejść przez fazę lustracji, która ujawni i odsunie skompromitowanych.

Zarzut bycia agentem dotknął nawet Prezydenta, tj. człowieka, który, niezależnie od wszystkich swoich wad i zalet, stał się symbolem walki antykomunistycznej – przez wielu i przez niego samego rozumianej, o czym była mowa wyżej, jako walka o wyzwolenie narodu. O Prezydencie mówi się „Bolek” – twierdząc, iż pod takim imieniem występował w spisach ludzi działających dla policji. Pod Belwederem pali się kukłę (29 I 1993) o rysach Lecha Wałęsy, mającą jedynie lewą rękę i lewą nogę<sup>2</sup> oraz czerwone gwiazdy naszyte na pośladkach. Nawet jeśli później jeden z organizatorów twierdził, iż owa kukła miała rysy „tylko” pierwszego pomocnika prezydenta (szefa jego gabinetu, ministra Wachowskiego), to i tak rzecz była wymowna. W czasie takiej demonstracji woła się do ludzi o Lechu Wałęsie: „Miał być naszym prezydentem, a został prezydentem tamtych, czerwonych!” oraz „Chcemy kraju wolnego od korupcji i agentów. Nie chcemy czerwonego prezydenta. Polsko, czas na zmiany, czas na suwerenność i niepodległość!” Z kolei tłum skanduje: „Nie agenta – prezydenta!”, „Bolek do Moskwy”, „Precz z agentami KGB z Belwederu!”, oraz śpiewa hymn narodowy. W szeregach pojawiają się hasła „Targowica” oraz „Miałeś chamie złoty róg...” – co znakomicie wpisuje całą rozgrywkę w ciąg historii Polski z jej matrycą imperatywu walki niepodległościowej.

Kwintesencją referowanego stanowiska zdaje się być hasło wypisane na plakatach wyborczych KPN latem 1993 r.: „Żegnaj lewico. Wracaj Polska”.

Retoryka narodowa jest także podstawową retoryką skrajnie prawicowych ugrupowań politycznych, w których nazwach często występuje właśnie słowo „narodowy” – a jest ich około pięćdziesięciu. W ich koncepcjach wyraża się ona prze-

2. Wymowa: prezydent opiera się jakoby jedynie na lewicy.

de wszystkim w akcentach szowinistycznych – jak np. w hasłach: „Polska tak, Żydzi nie!”, „Polska dla Polaków!”, „Precz z żydowską okupacją!” czy wręcz „Wiwat holocaust!”. Zwłaszcza mówienie o jakoby okupujących Polskę Żydach jest tu charakterystyczne – przy czym liczba domniemyanych okupantów rośnie do niebotycznych rozmiarów, zaś za Żydów uznawani są politycy, biskupi, ludzie odgrywający rolę w biznesie i w kulturze, którzy by się pierwsi tym zaliczeniem zdziwili.

W łonie ruchów politycznych, o których mowa, często określa się rządy wykonujące władzę w kraju po 1989 r. jako „antypolskie” – gdyż rzekomo podlegające MFW oraz Bankowi Światowemu, rozsprzedające polski majątek narodowy obcokrajowcom, nieszczęśliwie prowadzące kraj do Unii Europejskiej i NATO.

Kolejnym nurtem silnie akcentującym retorykę narodową są ruchy *skinhead*ów, *nb.* nieraz sytuujące się blisko wspomnianych partii skrajnej prawicy i niekiedy wykorzystywane przez nie np. w roli ochroniarzy – ale same definiujące się już nie jako ruchy biorące udział w grze politycznej. Tu oczywiście do szowinizmu, jako protezy na wszystkie wyobrażalne niedomogi rzeczywistości, dołącza się kult siły, która winna kierować się – i w jakimś zakresie już się kieruje – przeciw „odmieńcom”. W szczególności w pole nienawiści wchodzi mniejszości narodowe, w tym także słowiańskie (rzecz jasna niezależnie od stopnia wtopienia się ich przedstawicieli w Polskę). Werbalizowane hasła to np. „Żydzi i Niemcy precz z Polski!”, „Polska dla Polaków!”, „Jeden naród, jeden Bóg!”. Spektakularne działania *skinhead*ów to np. niedawne spalanie flag amerykańskiej i niemieckiej na Rynku krakowskim dla uczczenia niepodległości Polski, czy spalanie flagi Wspólnoty Europejskiej w Warszawie przed więzieniem śledczym na ul. Rakowieckiej, gdzie aresztowany był Bolesław Tejkowski, przewodniczący Polskiej Wspólnoty Narodowej (by nie wracać już ani do rozpędzenia manifestacji z okazji uwolnienia Nelsona Mandeli przez wrocławskich *skinhead*ów w 1990 r., ani do parokrotnych demonstracji antyniemieckich nad Odrą, ani do pobic obcokrajowców).

Zespoły muzyczne bliskie *skinhead*om przyjmują polskie nazwy. Jeden z nich śpiewa „Murzynek Bambo nie słuchał



mamy / trafił do Polski, zdechł zajebany / Murzynku Bambo, to jest przestroga / by nie stanęła tu wasza noga"<sup>3</sup>. Na jakimś plakacie zapowiadającym koncert innego z takich zespołów, „prawdziwy Polak” wyrzuca z Polski Żydów w jarmułkach, Murzynów, Turków i Rosjan<sup>4</sup> – przy czym o stereotypowości myślenia najdobitniej świadczy oczywiście pomieszczenie tam Turków, których dziś w Polsce jako żywo po prostu nie ma. Fakt ten pozbawiony jest jednak większego znaczenia, skoro, jak donosiła prasa, zdarzyły się wypadki pobicia przez *skinhead*ów Arabów jako Żydów, skoro w Nowej Hucie – *nb.* miejscowości o relatywnie dużym nasileniu omawianego ruchu – w jakimś bloku wymalowano hasło „Wszyscy Niemcy to Żydzi”, zaś o bycie Żydami zaczęli być przez *skinhead*ów posądzani nawet niektórzy przywódcy partii określających się właśnie jako „narodowe”<sup>5</sup>.

Powyższe zestawienie nie powinno przez swą długość wprowadzać w błąd, jakoby narodowa retoryka była dziś w Polsce istotnie silna. Jak to często bywa, ruchy prawicowe są głośne, a przez to dobrze słyszalne. Ich wpływy nie są jednak duże. Zaczynając od końca wyliczenia, trzeba po pierwsze stwierdzić, iż ruch *skinhead*ów jest marginesem. Nie powinno się go oczywiście lekceważyć. Faszizm w Niemczech też rozwinął się z podobnych grup młodych zwolenników rozwiązań siłowych, które skojarzyły się z siłami politycznymi, proponującymi im ideologię oraz polityczną transmisję haseł<sup>6</sup>. Jednocześnie – powtórzmy – na dziś ten ruch jest wciąż marginalny, a jego waga nieporównywalnie mniejsza niż np. w Republice Federalnej.

3. Bartłomiej Leśniewski, „Agresywni, butni, źli”, *Wprost* 3 IV 1994.

4. Mariusz Urbanek, „Wymiar czaszki”, *Polityka* 26 XI 1994.

5. Krzysztof Burnetko, „Ideowi faszyci czy zwykła żulia, czyli o podszywce polskiego *skinheada*”, *Tygodnik Powszechny* 7 III 1993.

6. Podobieństwo *skinhead*ów do uczestników wczesnych ruchów faszystowskich zostało znakomicie pokazane w filmie „Obca krew” (reż. Tomasz Wiszniewski, TVP 27 I 1993). Widz-histork nie mógł się oprzeć wrażeniu, że tak to musiało wyglądać w Niemczech.

Podobnie skrajnie prawicowe partie czy szowinistyczne ugrupowania polityczne pozostają marginesem życia politycznego; powstają, znikają, przekształcają się i w sumie nie wydaje się, by ich siła szybko rosła. Ta sytuacja może się oczywiście zmienić. Struktura embrionalna może się rozwinąć – ale, póki co, jest jaka jest.

Partie zdeklarowane prawicowe, stanowiące część podstawowego układu politycznego, są oczywiście nieporównywalne z punktu widzenia liczebności zwolenników (szczęśliwie nie tylko z tego punktu widzenia zresztą!) z siłami wyżej wymienionymi. Niemniej jednak także one nie zdają się odnosić spektakularnych sukcesów – nawet jeśli ich rezultaty w ostatnich wyborach parlamentarnych były na pewno w sumie trochę lepsze niż te, którym wskutek ordynacji wyborczej dał wyraz ostateczny rozkład miejsc w Sejmie. Nie poświadczą siły wpływów tych partii partycypacja w organizowanych przez nie spotkaniach i manifestacjach. Szacunki liczby ludzi uczestniczących we wspomnianej wyżej demonstracji, kiedy to spalono kukłę o twarzy ewentualnie wzbudzającej wątpliwości identyfikacyjne, wahały się pomiędzy dwoma a siedmioma tysiącami. Na spotkania z przywódcami partii prawicowych, którzy w początku 1993 r. jeździli po Polsce, według prasy przychodziło od tysiąca do 8 tys. osób. Nie są to oczywiście liczby bez znaczenia – ale trudno jednocześnie uznać je za wielkie w skali polityki. Również w tym wypadku odnosi się więc wrażenie, że partie identyfikujące się poprzez zdeklarowany akces do prawicy tworzą raczej ziarenka piasku, wokół których dopiero w sprzyjających warunkach może się coś większego obudować.

Część pracy partii prawicowych na pewno nie pozostaje bez śladu. Procedurę „okrągłego stołu”, która w swoim czasie zapewniła Polsce wyjątkowo mało kosztowną przemianę ustrojową, zdołały one zdyskredytować, jak się zdaje, w opinii stosunkowo szerokich kręgów społeczeństwa. Udało się im dokończyć termin „lewica” znacznie szerszym siłom politycznym niż te, jakie się nim same określają – co w sytuacji, gdy w Polsce, po kilkudziesięciu latach komunizmu, lewicę na ogół identyfikuje się właśnie z komunistami, nie jest bez znaczenia. Udało się w końcu partiom prawicowym sprowadzić użyte przez Tadeusza Mazowieckiego powiedzenie o „grubej kresce”



do rzekomej intencji zapewnienia bezkarności zbrodniarzom okresu stalinowskiego. Z czasem te wszystkie zaliczone punkty mogą przynieść owoce. Na dziś partię, o której mowa, nie zajmują jednak wielkiego, masowego pola.

Patrzac z perspektywy dzisiejszej nie odnosi się też wrażenia, ażeby ugrupowania, które kładą nacisk na retorykę narodową, uzyskały osiągnięty poziom liczebności i siły w prostej zależności od sytuacji społecznej w kraju oraz w funkcji dynamiki konfliktów. Są oczywiście analitycy, którzy pojawienie się w Polsce ruchu *skinhead*ów i jego rozwój wiążą z brakiem perspektyw młodzieży. Jakiś element prawdy tkwi zapewne w takim wyjaśnieniu. Jednocześnie przecież ten czynnik na pewno wszystkiego nie tłumaczy. Zjawisko jest światowe i w jakimś stopniu wynika z kryzysu wartości stanowiących rusztowanie kultury. Leżące zapewne u jego podstaw poczucie wykorzenienia młodzieży pojawia się nie tylko na tle bezrobocia, a nawet w krajach o stosunkowo szeroko rozprzestrzenionym poczuciu relatywnej szczęśliwości mogą występować i nieraz występują podobne niepokoje. W każdym razie odnoszę wrażenie, że ruch *skinhead*ów łatwiej wytłumaczyć wspomnianym poczuciem braku perspektyw i wykorzenienia niż brakiem pracy czy wręcz ewentualnym głodem.

Partie skrajnej prawicy są na tyle małe, że trudno analizować ich społeczne podłoże. Też nie odnosi się jednak wrażenia, iżby dziś występowała bezpośrednia zależność pomiędzy sytuacją społeczną ludzi, a napływem kandydatów w ich szeregi. Można zaryzykować domniemanie, iż to raczej intelekt wprowadza potencjalnych zwolenników na drogę prowadzącą w ich kierunku (nawet jeśli jest to rodzaj intelektu o systemie wartości odmiennym od dominującego dziś u większości myślących). Zapewne w niejednym wypadku decyzjom o przyłączeniu się sprzyja także trudność odnalezienia miejsca w nowym świecie po zawaleniu się starego.

Zdeklarowanie prawicowe partię o intensywniej retoryce narodowej zapewniły sobie chyba w większym stopniu zwolenników spośród środowisk, które znalazły się pod kreską. W końcu ludzie, którym jest dobrze, na ogół nie uczestniczą w demonstracjach politycznych, lecz siedzą w pracy lub w domu. Mimo to również nie te partię, jak się zdaje, przejęły energię tej części protestu społecznego, która miała tendencję do wyrażenia się w dyskursie narodowym.

Ten stan rzeczy też może się zmienić w krótkim czasie – ale na dziś jest jaki jest.

To, że paliwo protestu społecznego ewentualnie staje się siłą napędową dyskursu narodowego, znacznie lepiej widać dziś w Polsce w pewnych ruchach, które nie definiują się jako polityczne, lecz właśnie jako ruchy obrony (rewindykacji) interesów społecznych. Prawda, że one także wpisują się jakoś w mapę ruchów politycznych – reprezentując ideologię ogromnie synkretyczną, ale mimo wszystko częściej prawicową niż lewicową (przynajmniej w warstwie zwerbalizowanej). Może im to w przyszłości utorować drogę w kierunku partii akcentujących własną prawicowość: póki co, nie złąży się jednak jeszcze z nimi. Są to ruchy skądinąd bardzo różniące się między sobą i nawet z różnych powodów nieporównywalne: NSZZ „Solidarność” oraz „Samoobrona” Andrzeja Leppera.

W manifestacjach organizowanych przez „Solidarność” silnie trwa, bądź pojawia się ponownie, motyw obecny w kontestacji lat osiemdziesiątych: potrzeby uwolnienia kraju od powiązanych z obcą siłą komunistów. Podczas demonstracji zorganizowanej w centrum Warszawy 9 lutego 1994 r. wznoszono okrzyki bądź (i) niesiono transparenty „Cimoszewicz do bolszewii!”, „Bilet do Moskwy”, „Precz z komuną!”, „Polska powstanie”, „Polska dla Polaków”. Akcenty formułowane w kategoriach narodowych były silne zwłaszcza w grupie związkowców z Ursusa. Pojawiały się one – identyczne lub podobne – także podczas innych demonstracji Związku bądź firmowanych przez jego ogniwa. Zarzut „zdrady” oraz „Targowicy” kierował się podczas nich często i gęsto przeciw najwyższym władzom państwowym z prezydentem włącznie (a może nawet na czele).

Jeszcze bardziej charakterystyczne było (jest) przełożenie rewindykacji społecznych na hasła narodowe, jakie występowało (występuje) w organizacji „Samoobrona”. Jest ona zakorzeniona wśród tych rolników, pracowników PGR-ów i mieszkańców małych miasteczek, którzy wskutek przemian całkowicie stracili rację bytu (miejsce w społeczeństwie). Demonstracja „Samoobrony”, która odbiła się w kraju najwięk-



szym, jak dotychczas, echem, miała miejsce latem 1993 r. w Praszce – tj. w gminie, gdzie zamknięto jedyny zakład przemysłowy, uprzednio produkujący podzespoły do sowieckich ciężarówek („kamazów”). Co trzeci mieszkaniec zawodowo czynny znalazł się tam bez pracy i, najczęściej, już wówczas bez zasiłku.

W demonstracjach „Samoobrony” hasło „My chcemy pracy” miesza się w charakterystyczny sposób z hasłem „Polska dla Polaków”. Organizacja postuluje prowadzenie polityki „prawdziwie polskiej”, a ludzie jej przychylni bywają określani mianem „prawdziwych Polaków”. Jej sympatią cieszą się – często z wzajemnością – różne uprzednio omówione nurty polityczne, akcentujące hasła szowinistyczne. Jej antypatię wzbudzają instytucje stanowiące narzędzie przemiany kapitalistycznej – na czele z bankami, które żądają spłacenia chłopskiego zadłużenia oraz Bankiem Światowym i Międzynarodowym Funduszem Walutowym. Antypatię wzbudza także sam kierunek ewolucji systemu gospodarczego, kwalifikowany jako nie uwzględniający polskich potrzeb, interesów, specyfiki, czy – prościej – wręcz antypolski. Przedmiotem niechęci są prywatyzacje, zwłaszcza gdy nabywcami są obcy. Niechęć wzbudzają ludzie tacy jak Jeffrey Sachs i George Soros, postrzegani jako reprezentanci obcych macek wyciągniętych ku Polsce.

14 lutego 1994 r., podczas akcji zablokowania przez „Samoobronę” przetargu na jeden z podtoruńskich PGR-ów w tłumie dawały się słyszeć głosy „Polska ginie!” – zaś pod adresem przedstawiciela Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa padły słowa „Zdrajca narodu polskiego!”.

Podczas demonstracji pod Sejmem 2 kwietnia 1993 r. „Samoobrona” ustawiła brzozy krzyż z napisem „Dotychczasowym i przyszłym ofiarom nieludzkiej polityki – Naród”. Na interweniującą policję uczestnicy protestu wołali „Gestapo” – co w Polsce komunistycznej bywało stosowane dla znieważenia komunistycznej milicji, ale w ostatnich czasach zdawało się zanikać. W innej sytuacji Lepper mówił, że gdy „naród wyniesie ‘Samoobronę’ do władzy”, to ta „surowo” rozliczy „rząd i wszystkich tych, którzy prowadzą antypolską politykę, rujną rolników, zabierają zasiłki bezrobotnym, dają głodowe emerytury i rozkradają majątek narodowy”.

Czyniąc aluzję do wspomnianego już wyżej sformułowania Tadeusza Mazowieckiego, Lepper zapowiada, iż „nie będzie grubej kreski”<sup>7</sup>.

Podobnie jak w wypadku omówionych uprzednio partii politycznych, tak i w wypadku dwóch ostatnio omówionych ruchów trzeba zapytać jak silna jest ich klientela i jak mocna retoryka, będąca przedmiotem niniejszego opracowania. W wypadku NSZZ „Solidarność” odpowiedź nie jest prosta. Mimo całego zmniejszenia siły i wpływów, jakie z biegiem lat stało się udziałem tej organizacji, z pewnością nie jest ona marginesowa. W kwestii retoryki narodowej odnosi się wszakże wrażenie, iż mimo wszystko nie jest ona, przynajmniej według stanu na dziś, całkowicie dominująca. W każdym razie w fali strajków z wiosny 1994 r. zdawały się przeważać dyskurs typowy dla konfliktu społecznego i politycznego oraz ton sporu o strukturę gospodarki. Z kolei „Samoobronę” wciąż można najpewniej określić jako ugrupowanie mimo wszystko marginalne. Jej akcje są najczęściej spektakularne i w konsekwencji dużo się o nich mówi. Podczas demonstracji przed Sejmem 2 kwietnia 1993 r. wciągnięto na maszty (ustawione tam na stałe) nie tylko zielone flagi organizacji, ale także kość. W policję rzucano jajkami oraz wielkimi kośćmi z resztkami surowego mięsa. W Praszce wywieziono na taczce burmistrza, którego jeszcze na dodatek na tejże taczce obwieszono wokół rynku; burmistrz podał się następnie do dymisji pod naciskiem tłumu bezrobotnych. W dalszej kolejności aż policja musiała umożliwić wyjście z budynku, gdzie próbowano rozmów, Helenie Góralskiej (przybyłej do Praszki wiceminister finansów). W następnych dniach taczka stała przypięta łańcuchem do drzewa pod ratuszem – gotowa do ponownego użycia; zmieniający się demonstranci dyżurowali pod hasłem „Zdradzeni – sprzedani – oszukani – trwamy!”

W lutym 1994 „Samoobrona” rozlała gnojówkę pod siedzibą jednej z partii koalicji rządzącej, zaś pod siedzibą drugiej ustawiła butelki z gnojówką (litościwiej!). *Nb.* formę

7. *Gazeta Świąteczna* 14-15 VIII 1993.



protestu tłumaczono jako zamiar doprowadzenia do świadomości SLD i PSL jak pachnie polska wieś. W jednej z kolejnych akcji, w Kobylnicy k/Słupska w sierpniu 1994 r., wyznaczonego przez banki zarządcę zadłużonego gospodarstwa rolnego stłuczono publicznie w goły tyłek oraz wystrzyżono mu głowę (rzekomo przy okrzykach „Żydo-Ukrainiec!” i „Gwiazdę mu na łbie wygolić!”). Dopełnienie tego rejestru tworzą głodówki, okupacja Ministerstwa Rolnictwa w grudniu 1992 r., blokady dróg w czerwcu 1992 r., marsze ku Warszawie w lipcu 1992, marsz na Sejm z kosami na sztorc w lutym 1993, protest na szosie Poznań-Wrocław w maju 1993 r., manifestacja pod Urzędem Rady Ministrów w tym samym miesiącu oraz działania mniejszej skali. Jasne, że takie akcje odbijają się dużym echem – ale organizacja nie nabrała jak dotychczas strategicznego znaczenia w polskiej polityce. W kwietniu 1993 r. jej liczebność szacowano na 300 tys. członków.

Generalnie trzeba więc tu chyba powtórzyć to, co zostało wyżej powiedziane *à propos* prawicowych ugrupowań politycznych i parapolitycznych; sprawia wrażenie, że społeczeństwo wyraża dziś swe rewindykacje raczej w innym języku.

Do podobnego wniosku można dojść również, gdy się patrzy na rozpatrywany temat od strony zagadnień, wobec których ludzie mogą, a niekiedy muszą, zająć jakieś stanowisko.

Pierwszym takim zagadnieniem jest stosunek do mniejszości narodowych i przedstawicieli innych narodów. Wyżej była już mowa o wypadkach niechęci, a nawet negatywnych działań wobec nich ze strony niektórych ugrupowań. Odezwania przeciw Żydom spotyka się niekiedy w życiu codziennym. Jako Żydzi bywają określani nie lubiani akurat przez kogoś politycy. Głosy antyżydowskie pojawiają się w tłumie podczas niejednej manifestacji. W trakcie obchodów pięćdziesiątej rocznicy wyzwolenia obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu hasła antyżydowskie pojawiły się na obrzeżach uroczystości.

Zdarzają się wypadki umieszczania wrogich napisów i wybijania szyb w szkołach prowadzonych dla dzieci pocho-

dzących z mniejszości narodowych (zwłaszcza w Przemyśle, gdzie jak była mowa wyżej, sprawa stosunków między- etnicznych jest zaogniona). Kilkakrotnie na złe traktowanie bądź wręcz agresję skarżyła się mniejszość niemiecka na Śląsku Opolskim. Na murach szczecińskiej archikatedry wymalowano swastyki oraz antyniemieckie napisy w nocy poprzedzającej odprawienie tam pierwszej od 1945 r. mszy św. w języku niemieckim. W niejednym wypadku zapalną stała się kwestia pomników Niemców żyjących kiedyś na dzisiejszych ziemiach polskich, a poległych w czasie obu wojen światowych. Także – kwestia pomników ukraińskich, których Polacy, pamiętający bardzo krwawe konflikty z czasów ostatniej wojny i bezpośrednio po niej, nie chcą zaakceptować. W publikacjach historycznych – częściej zresztą amatorskich niż zawodowych – zdarza się rozgrzebywanie trudnych epizodów z przeszłości kontaktów Polaków z bliskimi narodami nie w celu wzajemnego zrozumienia się i ułożenia lepszych stosunków, lecz w intencji „wystawiania rachunków”.

Pojawiły się reakcje przeciw dalszemu napływowi imigrantów do Polski – w Krakowie, w 1993 r., ostre w tonie (w postaci demonstracji ulicznej) i w Warszawie, w tymże roku, w postaci pikiet zorganizowanej przez przedstawicieli Katolickiego Komitetu Wyborczego „Ojczyzna” na Dworcu Centralnym. Stosowana w tych działaniach argumentacja nie była specjalnie wymyślna („Polska dla Polaków”, „Polacy, Ojczyzna jest dla nas”, „Nie ma pieniędzy dla nauczycieli, są dla imigrantów”, „Przybysze ze Wschodu przywożą tyfus, malarię i inne choroby. Ich tania siła robocza wypiera polskich pracowników”). Niektóre głosy, nawet poważnych polityków, domagały się wprowadzenia wiz, zwłaszcza dla przybyszów z b. Związku Sowieckiego, Rumunii i Bułgarii.

Niewątpliwie funkcjonują silne – choć nie powiedziane czy silniejsze niż gdzie indziej – negatywne stereotypy etniczne. Poza potocznym doświadczeniem ujawniają się one w badaniach sondażowych czy w opiniach np. kolorowej młodzieży studiującej w Polsce<sup>8</sup>. W publicystyce czy w satyrze dotyczącej poszczególnych polityków pojawiają się aluzje do

8. „Gość w dom. Studenci z krajów Trzeciego Świata w Polsce”, red. Ewa Nowicka, Sławomir Łodziński, Oficyna Naukowa, Warszawa 1993.



(lub kpiny z) czyjegoś ewentualnie żydowskiego pochodzenia. Dowódca Warszawskiego Okręgu Wojskowego, tj. jeden z najwyższych funkcją wojskowych w kraju, oburzony na prasową krytykę katechizmu opracowanego przez Ordynariat Polowy dla żołnierzy, sugerował, iż jej autor ukończył „akademię moskiewską” lub „szkółkę u rabina”. Nie brzmiało to sympatycznie (niezależnie od zastrzeżenia, iż nie jest ważne czy krytyk kończył jedno, czy drugie, lecz jego „brak tolerancji i obiektywizmu”)<sup>9</sup>. Inny z generałów, kandydujący w wyborach 1993 r., miał jakoby w swoim programie umieścić postulat, ażeby „Kierownicze stanowiska państwowe, na szczeblu których decydują się losy Ojczyzny, powierzyć obywatelom Polski posiadającym narodowość polską od co najmniej trzech pokoleń”<sup>10</sup>.

Wszystkie te postawy, których przykłady można wyliczać dłużej, rzadko pociągają jednak negatywne konsekwencje w działaniu. Wyżej wspomniane wypadki bicia przedstawicieli mniejszości lub cudzoziemców, choć oczywiście skrajnie naganne, nie są liczne; nie ma porównania pomiędzy ich natężeniem oraz agresją kierującą się przeciw wychodźcom z niektórych krajów np. w Niemczech. Autorzy raportu CBOS-u na temat konfliktu w Mławie, którego to konfliktu szczytowym momentem stał się wspomniany wyżej pogrom Cyganów w 1991 r., twierdzą, że napięcie nie zostało rozładowane – ale w kategoriach realnych nic się nie dzieje, zaś lokalne władze nie wydają się zaniepokojone sytuacją. Handlujący i pracujący na czarno przybysze z b. ZSSR czy z państw azjatyckich są tolerowani nieźle – podobnie jak żebrzący w Polsce Cyganie rumuńscy. Polacy często zwracają się do handlujących Rosjan *per* „ty” i mówią o nich „Ruski”. Do Rumunów nie zwracają się w ogóle – co skądinąd nie jest trudne, skoro owi nieszczęśnicy najczęściej pokładają się na chodnikach na podobieństwo niegroźnych zwierząt. Ani wobec jednych, ani wobec drugich Polacy nie przejawiają jednak agresji.

Opinia publiczna na ogół nie wiąże nawet dolegliwego

9. *Gazeta Wyborcza* 10 I 1995 (list gen. Kazimierza Tomaszewskiego do redakcji).

10. *Gazeta Świąteczna* 24-25 VII 1993.

zwiększenia przestępczości z przybyszami. Uważa się potocznie, iż Rosjanie raczej obrabowują się nawzajem między sobą. Jedyna głośna sprawa pobicia Rosjan, która doprowadziła aż do incydentu dyplomatycznego, miała miejsce niedawno na Dworcu Wschodnim w Warszawie; jak wszystko wskazuje, zaczęła się ona jednak właśnie od konfliktu między samymi Rosjanami (o płacenie haraczu jednym przez drugich). Prawda, że interweniująca policja nie miała potem czystego sumienia co do swej sprawności i sposobu działania – ale mało jest policjantów na świecie, którzy pozostają dżentelmenami w podobnych sytuacjach.

Sprawa imigrantów, mimo obiektywności przeciw ich napływowi, nigdy – jak dotychczas – nie stała się zapalna, a we wspomnianej demonstracji w Krakowie uczestniczyła znikoma liczba manifestantów. Jest to tym bardziej charakterystyczne, że nawet w ramach najbardziej racjonalnego i przytomnego rozumowania jakimś problemem społecznym i politycznym ona pozostaje. Niektóre sprawy są w końcu autentycznie trudne, niezależnie od fobii etnicznych.

Gdy się rozpatruje kwestię dominującego obecnie w Polsce – jak usiłowałem wskazać nie najgorszego – stosunku do odmienności etnicznych własnych obywateli bądź do obcych, warto też pamiętać o zjawiskach pozytywnych w tej kwestii. One także występowały w rozpatrywanym okresie, stanowiąc najczęściej kontynuację wcześniejszych tendencji. Bolesław Tejkowski, Przewodniczący Polskiej Wspólnoty Narodowej (Polskiego Stronnictwa Narodowego) został skazany wyrokiem sądowym za szereg występów, w których pojawiały się motywy negatywne wobec Żydów (październik 1994, wyrok nie jest jeszcze prawomocny). Za ludźmi demonstrującymi w Krakowie przeciw imigrantom szła druga manifestacja – przeciwna tej pierwszej. W maju 1994 r. koło Uniwersytetu Warszawskiego były rozklejone ulotki „Faszyzm, nacjonalizm, rasizm... Na tym gównie daleko nie zajedziesz!” Odnotowano próby tworzenia organizacji młodzieżowych przeciwnych *skinhead*om. Funkcjonują różne stowarzyszenia mniejszości etnicznych i reprezentacja mniejszości w Sejmie. Dołożono starań, by utrzymać kontrowersyjne pomniki przy porozumieniu co do tego, ażeby treść napisów na nich umieszczonych nie raziła możliwie nikogo.



W programie wielkanocnym TVP w 1994 r. przedstawiono informacje z życia religijnego prawosławnych żyjących w Polsce oraz jeszcze mniej od nich licznych muzułmanów. Na ostatnim Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich w Gdańsku (wrzesień 1994 r.) witający nas wicewojewoda wtrącił w swym przemówieniu kilka zdań po kaszubsku – dla zaakcentowania położonego przez siebie nacisku na sprawę różnorodności korzeni, historycznej wielokulturowości oraz otwartości miasta. W wojsku, obok duszpasterstwa rzymskokatolickiego, utworzono Prawosławny Ordynariat Polowy<sup>11</sup>. W drobnym piśmku parafii rzymskokatolickiej, na terenie której mieszkam, w artykule na temat patriotyzmu jako jeden z istotnych jego wyznaczników podano „szacunek dla innych narodów”<sup>12</sup>.

Mimo oporów lokalnych Kościoł rzymskokatolicki doprowadził do przekazania grekokatolikom jednej ze świątyń w Przemyślu. Wykonał również szereg wyraźnych kroków w kierunku Romów, a zwłaszcza oddał im hołd (włącznie z przyjęciem ich przedstawicieli przez papieża) w 50-tą rocznicę deportacji znacznej części tej grupy etnicznej do Auschwitz. Jednocześnie Kościół kontynuował swą politykę zbliżenia z Żydami. W tym kontekście trzeba wzmiankować przede wszystkim odezwę Komisji Episkopatu Polski d/s Dialogu z Judaizmem ogłoszoną w 50-tą rocznicę powstania w getcie warszawskim oraz dokument związany z 50-tą rocznicą wyzwolenia Auschwitz.

Sprawa żydowska była w ogóle przedmiotem szerszego pozytywnego zainteresowania. Odbywały się imprezy związane z kulturą żydowską, ukazywały się liczne publikacje, w 1993 r. miał miejsce licznie obeślany konkurs z zakresu wiedzy o historii i kulturze Żydów dla licealistów. Co nie najmniej ważne, odbyły się bardzo uroczyste obchody pięćdziesięciolecia powstania w getcie warszawskim. Sprawiało wrażenie, że warszawiacy się nimi, co prawda, nie przejęli nadmiernie – ale bardziej niż o ich ewentualnie negatywnym stosun-

ku do sprawy żydowskiej świadczy to o trwającej nieobecności tego wydarzenia w polskiej tradycji. Większe – z rozważanego punktu widzenia – wątpliwości wzbudzał przebieg obchodów 50-tej rocznicy wyzwolenia obozu w Oświęcimiu. Prezydent RP nie od razu mówił tam o Żydach jako najliczniejszych ofiarach obozu. Prasa światowa, czemu trudno się dziwić, mocno na to zareagowała. Pozostaje wyrazić nadzieję, że pominięcie nie wynikało z chęci schlebienia domniemanym uczuciom elektoratu w niedalekich wyborach prezydenckich.

Obok kroków, będących w wielu wypadkach wyrazem poprawy stosunku do mniejszości narodowych oraz ich dziedzictwa historycznego i kulturalnego, można odnotować postawy przyjazne wobec narodów ościennych. Bardzo ożywiłe są różnorakie stosunki z Niemcami. Z pozostałymi sąsiadami pozostają one wprawdzie mniej intensywne – ale w każdym razie odnotowuje się stosunkowo mało incydentów negatywnych i, zwłaszcza, podgrzewania animozji. Podpisanie traktatu z Litwą zmniejszyło antylitewską motywację środowisk uczulonych na kontakty z tym krajem. Już przedtem doszło do tak spektakularnej uroczystości, jak ceremonia przekazania pod Grunwaldem (!) transporterów opancerzonych, karabinów i umundurowania w podarunku od armii polskiej dla armii litewskiej.

Drugie pole, na którym w świetle doświadczenia historycznego – zwłaszcza latynoamerykańskiego – można się było spodziewać intensywnego ubierania się protestów społecznych w kostium narodowy, to życie gospodarcze. Zjawisko, nazywane w literaturze „nacionalizmem gospodarczym”, w jakimś stopniu wystąpiło również w Polsce ostatniego czasu – ale jest relatywnie słabe. Prawda, że zyskuje ono echo mniejsze niż wydarzenia polityczne, a w związku z tym łatwo go nie docenić. Prawda, że dziś jest niewątpliwie silniejsze niż bezpośrednio po 1989 r., kiedy go prawie nie było. Nawet jednak przy tych zastrzeżeniach trudno mówić o sile „nacionalizmu gospodarczego”.

O podnoszeniu haseł potrzeby utrzymania narodowego charakteru gospodarki przez ugrupowania skrajnie prawicowe oraz np. przez „Samoobronę” była już mowa wyżej. Wszyst-

11. Prawda, że towarzyszyły temu opory w kwestii zamianowania jego przełożonego generałem na równi z duszpasterzem wojskowym rzymskokatolickim.

12. „Patriotyzm” (autor: KDK), *Pod Krzyżem* 2 V 1993.



ko, co było dotychczas powiedziane o ograniczonej sile samych tych organizacji, odnosi się jednak również do głoszonych przez nie haseł. Prawda, że postulaty polskości gospodarki bywają czasem głoszone także przez ugrupowania polityczne inne, będące częścią szerzej akceptowanej sceny politycznej. Np. w kampanii wyborczej 1993 r. Porozumienie Centrum, wówczas jeszcze znaczące więcej niż dziś, podobnie głosiło w telewizji, iż „polskie pieniądze nie służą Polsce”, a plan Balcerowicza jest „faktycznie” planem [Jeffreya] Sachsa i międzynarodowych instytucji finansowych”. Z kolei podczas strajków górniczych na przełomie 1992 i 1993 r., Międzyzakładowy Komitet Strajkowy z Katowic ustami swego Przewodniczącego głosił przez radio, iż rząd wykańcza górnictwo za sprawą Banku Światowego (ogranicza produkcję, wstrzymuje eksport i zmierza do wykończenia kopalń, by węgiel amerykański wszedł na nasze rynki). Przykładów takich wypowiedzi można oczywiście znaleźć więcej. Zwraca jednak uwagę, że mimo głosów takich jak powołane, kampania wyborcza 1993 r. wyraźnie koncentrowała się wokół spraw życia codziennego, a nie perspektyw gospodarczo-narodowych. Wiele też wskazuje, że niechęć wobec przekazywania gospodarki obcym nie jest ani trochę powszechna.

Protesty przeciw wykupowi majątku narodowego przez obcy kapitał nie są nutą dominującą w życiu politycznym. Ministerstwo Przekształceń Własnościowych wciąż spotyka się wprawdzie z zarzutami co do słuszności podejmowanych decyzji – ale, z jednej strony, taka już jest natura rzeczy w wypadku owego resortu, a z drugiej nie są to najczęściej zarzuty odrzucające samą ideę działania w przyjętym kierunku. Zdarzały się oczywiście protesty w samych prywatyzowanych zakładach przeciw ich wykupowi przez obcych. Na początku 1993 r. pracownicy koncernu „Polska miedź” podnosili, iż cały ciąg technologiczny powinien pozostać w polskich rękach. Podobne akcenty pojawiały się w pewnym stopniu w Ursusie. W trakcie konfliktu socjalnego w krakowskiej elektrociepłowni Łęg, za sprawą tamtejszej „Solidarności” pojawił się wątek, iż „Obcy inwestorzy nie są nam potrzebni. Zakład jest dochodowy, powinien w całości pozostać w polskich rękach. Na modernizację możemy przeznaczyć cały zysk, a nie spłacać pożyczki z Banku Światowe-

go”<sup>13</sup>. Pracownicy cementowni Góraźdże w jednym z programów telewizyjnych wołali: „Nasza cementownia powinna zostać sprzedana polskim robotnikom, a nie zachodnim kapitalistom”. Gdy na jakimś etapie prowadzonych tam pertraktacji pojawiła się możliwość wykupienia liczącej się części udziałów za polskie pieniądze pod warunkiem obniżenia ceny, rozmówca dziennikarki przygotowującej reportaż o prywatyzacji zakładu mówił jej, iż „za to zakład pozostanie w polskich rękach i Polacy będą mieć nad nim kontrolę”<sup>14</sup>.

Takich przykładów można niewątpliwie przytoczyć więcej – ale nie wydaje się żeby odbijał się w nich jakiś centralny problem obecnej przemiany, albo żeby protest przeciwko kapitałowi zagranicznemu był szczególnie silny w ramach ewentualnych reakcji przeciw prywatyzacji jako takiej. Gdy te ostatnie pojawiają się, wielokrotnie są brzemienne motywem, iż cały ten proces jest „rozkradaniem Polski” – podczas gdy protestujący właśnie nie pozwolą jej „rozkradać”. Ciekawe, że ludzie niekiedy przypominają sobie w tym kontekście długo i skądinąd mało skutecznie wbijaną im do głowy koncepcję socjalistycznej własności i twierdzą, że oni budowali wszystko, co ma teraz trafić w ręce posiadających pieniądze (w częstym domniemaniu osiągnięte nieczystymi drogami). Takie stanowisko stosunkowo rzadko dotyczy jednak specyficznie kapitału zagranicznego. Podobnie PSL, tj. partia, która, jak się zdaje, miała liczące się opory wobec programu prywatyzacyjnego, raczej kierowała swe wątpliwości wobec przedsięwzięcia jako takiego niż akurat wobec przedsiębiorców zagranicznych.

Trzeba w końcu mieć też na uwadze, że ewentualny protest wobec obcych nieraz jest motywowany nie względami zasadniczymi, lecz bardzo praktycznymi: obawą, iż znany z dbałości o efektywność zachodni kapitał nie będzie się cackał i załogi, jak to się zaczęło mówić, „zrestrukturizuje” (zmniejszy). We wspomnianych Góraźdżach wisiły plakaty: „Obcy kapitał przy przejęciu 51% akcji oznacza dla ciebie i twojej rodziny torbę i kij”<sup>15</sup>. W Łęgu mówiono dziennikarce podobnie: „Co nas czeka, jak obcy kapitał wykupi Łęg? Zwolnienia

13. Dorota Sajnug, „Łęk o Łęg”, *Gazeta Wyborcza* 11 III 1993.

14. Dorota Sajnug, „Sprawa dla Lewandowskiego”, *Gazeta Świąteczna* 9-10 VI 1993.

15. D. Sajnug, „Sprawa...”.



grupowe”<sup>16</sup>. Kadra inżynierska też nieraz obawia się, czy znajdzie dla siebie miejsce w nowych warunkach.

Czasem w całej sprawie mogą pojawiać się obawy specyficzne. Np. wraz z przejściem Huty Warszawa grupa Lucchini stanęła wobec problemu licznych mieszkań pracowników, których ani nie chciała, ani nie potrzebowała. Robotnicy-mieszkańcy poczuli się oczywiście zagrożeni co najmniej podwyżką czynszów, a w gorszym wypadku eksmisją – zwłaszcza, że w spadku po poprzednim okresie sytuacja finansowa mieszkań wcale nie przedstawiała się czysto. Skutkiem był długotrwały spór, w którym przedmiotem krytyki szybko stało się również działanie Lucchini wobec zakładu przemysłowego, powolność jego modernizacji i, rzecz nie najmniej ważna, wysokość zarobków. W jakimś wymiarze porównywalny konflikt wybuchł na lotnisku Okęcie w Warszawie pod koniec 1994 r., gdzie pracownicy obsługi naziemnej protestowali przeciwko zatrudniającej ich firmie „AMR – Polskie Usługi Lotnicze”, wchodzącej w skład światowej korporacji obsługi lotnisk AMR. Według firmy pracownicy, gdy byli zatrudnieni przez PLL LOT, przyzwyczajali się do różnych przywilejów społecznych, z których zrezygnowano na rzecz systematycznej podwyżki pensji. Tymczasem pracownicy twierdzili, że każe się im pracować w złych warunkach i za dużo. Nie wchodząc, rzecz jasna, w racje stron z braku kompetencji, warto powołać wszakże tenor ulotki rozdawanej wówczas na Okęciu przez tamtejszą „Solidarność”: „Czujemy się wyzyskiwani, zaszcuci i pozbawieni godności. Jesteśmy traktowani we własnym kraju jak gasterbeiterzy...”<sup>17</sup>.

Bardzo ciekawe z rozpatrywanego punktu widzenia, acz podobnie relatywnie słabe, są pojawiające się tu i ówdzie protesty przeciwko sprzedaży ziemi w obce ręce. Z punktu widzenia gospodarczego ziemia ma dziś oczywiście znaczenie mniejsze znacznie niż inne sfery gospodarki – a np. z polami po PGR-ach po prostu nie wiadomo co zrobić. Jednocześnie wszakże ziemia często w kulturze, w tym wciąż w Polsce, ma istotną wartość symboliczną. Sprawa ta nabiera dodatkowego znaczenia na Ziemiach Odzyskanych, gdzie może nakładać się

16. D. Sajnog, „Lęk...”.

17. *Gazeta Stołeczna* 22 XI 1994.

na lokalne sprawy etniczne, bądź gdzie ewentualny wykup przez Niemców z Niemiec może być odbierany jako ich swoisty powrót. Nawet w takich sytuacjach chyba nie zaobserwowano jednak działań obronnych na większą skalę.

W zaskakująco małym stopniu pojawiła się obrona towarów polskiej produkcji. Nie ma cienia hasła w rodzaju „Swój do swego po swoje” – nawet w ich bardziej cywilizowanych wersjach. Czasem pojawiają się reklamy, które akcentują np. że komputerowy plan Warszawy (opracowany przez ATTECC & SoftKART z Warszawy) jest produktem „o najwyższym światowym poziomie, nie pochodzącym z USA, ale stworzonym tu i specjalnie dla Ciebie” (podkreślenie w oryginale!). „Wyciągarka elektryczna liniowa – typ SHZ 300” reklamowana jest przez przedsiębiorstwo KAbit ze Skwierzyny słowami: „Kup polski wyrób, który jest bestsellerem na rynkach zachodniej Europy”. Fabryka w Swarzędzu chwali „Meble, z których Polska jest dumna” i posługuje się znaczkiem, na którym w kontur Polski i flagę wpisane są słowa „Polski produkt”. Palarnia i pakownia kawy „Prima S.A.” z Poznania namawia do kupna swego produktu, *nb.* z definicji akurat tylko częściowo polskiego, słowami: „Kupuj polskie kiedy jest najlepsze”. Jedna z sieci restauracji typu *fast food* w Warszawie zachęca do jedzenia „kurczaka polskiego po amerykańsku”. Założone w Częstochowie Towarzystwo Obrony Produkcji Polskiej zamierza upowszechniać produkty polskie, a eliminować zagraniczne (poczynając od oferty proponowanej przez stragany rozmieszczone w alei prowadzącej na Jasną Górę). Podczas kampanii wyborczej 1993 r. Katolicki Komitet Wyborczy „Ojczyzna”, rozdając przechodniom polskie owoce i soki „Hortexu” głosił: „Kupując polskie towary, aktywnie włączasz się w walkę z bezrobociem. Jedzcie znakomite polskie jabłka, głosujcie na znakomitych polityków z ‘Ojczyzny’”. Wicepremier Goryszewski ponoć apelował wówczas: „Kupujcie polskie towary, kochajcie polskie dziewczyny”<sup>18</sup>. W tejsze kampanii Kongres

18. Wojciech Załuska, „Ojczyście odzienie”, *Gazeta Wyborcza* 15 IX 1993.



Liberalno-Demokratyczny mówił o promocji polskich towarów i usług oraz zapowiadał kampanię „Kupuj polskie produkty”. Motyw popierania własnej wytwórczości pojawiał się w wypowiedziach Prezydenta. Premier Pawlak w jakimś momencie uznał za swoje hasło „Kupuj produkty polskich producentów”, zaś Biuro Ochrony Rządu z głośną reklamą wyposażyło się w sześć nowych „polonezów” z FSO na Żeraniu. Wśród propagandowych przedsięwzięć na większą skalę trzeba odnotować konkurs „Teraz Polska”, organizowany dorocznie od 1993 r. i mający służyć promocji polskich wyrobów. Charakterystyczne, że patronat nad tą imprezą objął Prezydent RP, jej wyniki ogłaszane są w dniu święta narodowego, podstawowym elementem odznaki otrzymywanej przez zwycięzców jest polska flaga, zaś konkurs nazywa się jak się nazywa.

Wszystkie sygnalizowane przejawy są jednak – przynajmniej chwilowo – bardzo ograniczonymi i raczej powierzchownymi działaniami w kierunku promocji rodzimej produkcji. Zorganizowane siły, mające rozważany cel na uwadze, są słabe – a ludzie chcą kupować produkty zachodnie. Można jednocześnie wskazać podjęte w Polsce działania, które, idąc w przeciwnym kierunku, nie miałyby dobrej prasy nawet w krajach bogatszych. Przede wszystkim nasuwa się tu na myśl los polskiego przemysłu lotniczego. Podczas wizyty papieża powstała sprawa posługiwania się przezeń śmigłowcem polskim, który podobno spełnia wszystkie wymogi i z którego papież kiedyś już nawet korzystał. Wiele krajów wykorzystałoby ten moment dla niejako automatycznej reklamy swojego produktu, który albo będzie eksportowany, albo go nie będzie w ogóle. Tymczasem odpowiedzialne za wizytę polskie służby kupiły aparat zachodni. Podobnie przedstawiała się sprawa ze szkolno-bojowymi samolotami „Iryda” z PZL „Mielec”. Sejm nakazał wojsku zaopatrzenie się w nie (poprzez zarezerwowanie na tę właśnie maszynę pieniędzy w ustawie budżetowej). Trybunał Konstytucyjny orzekł, że postanowienie Sejmu było sprzeczne z konstytucją, nie dającą uprawnień w tym względzie władzy ustawodawczej. Nie miejsce tu na rozstrzyganie kto miał rację, a zresztą trzeba stanąć na stanowisku, że miał ją Trybunał. Nie miejsce tu także na dyskusję zalet i wad „Irydy” (w jednej i drugiej

sprawie kompetencji zresztą też brak). Z rozpatrywanego punktu widzenia istotne jest tylko to, że nacisk na rozwój własnej produkcji, choćby poprzez zamówienia rządowe, jest mały i nie towarzyszy mu dążenie do szukania możliwości odsunięcia przeszkód pojawiających się na tej drodze. Podobna słabość przejawiała się w sprawie druku nowych banknotów w związku z wymianą pieniędzy. Ostatecznie powierzono to zadanie firmie zagranicznej. Może istniały oczywiście jakieś ważne powody skłaniające do tego – ale głos Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych, która domagała się pracy dla siebie, był nagłaśniany i słyszany bardzo słabo. Jeszcze innego przykładu, łatwiejszego do zrozumienia dla laika, dostarczyło miasto Warszawa, które uwikłało się w interes z amerykańskim kapitałem dla zorganizowania płatnego parkowania na ulicach śródmieścia – jak gdyby nie potrafiło własnymi siłami zgarniać pieniędzy. O tym, że zamiast najnowszej technologii parkometrowej można by wykorzystać ludzi obecnie bezrobotnych, nie wspomniano przy okazji, jak się zdaje, w ogóle.

Zaskakuje relatywna słabość walki poszczególnych grup zawodowych przeciwko obcej konkurencji. Chłopi przy dużych oporach i dopiero po długich wysiłkach uzyskali wprowadzenie opłat wyrównawczych na importowaną żywność – a i to tylko na niektóre artykuły i czasowo. Podjęli walkę pracownicy przemysłu mechanizacji rolnictwa (przeciw importowi używanych maszyn rolniczych z Zachodu). Również rybacy walczyli o swoje interesy przeciw zagranicznej konkurencji (poprzez zablokowanie któregoś pięknego dnia portów bałtyckich od Świnoujścia po Gdynię). Spektakularnie działali w końcu pracownicy zagrożonego w swym istnieniu przemysłu zbrojeniowego. Ich manifestacja działała na wyobraźnię – bowiem to, co produkują, strzela i jest bliskie narodowej wizji niepodległościowej (nawet jeśli owa wizja sama nie działa już dziś tak aktywnie jak dawniej, o czym niżej). *Summa summarum* kraj nie stanął jednak w obronie polskiego aparatu wytwórczego – niezależnie od tego, czy owa obrona by się na wiele zdała i niezależnie od stopnia, w jakim w dzisiejszym świecie miałaby sens.



Podobnie jak realizacji narodowych uczuć i retoryki można było oczekiwać na polu gospodarczym, tak można było ich oczekiwać w sferze kultury. Tu jednak też jest ich zaskakująco mało. Angielszczyzna pojawiła się nie tylko w handlu, ale nawet w życiu publicznym (*vide* nowa terminologia związana z podatkami: VAT, PIT). Z kolei prawie świętość narodowa, jaką był „Potop”, znakomicie służy do reklamy proszku do prania („Ojciec prać?! Tak, ale tylko w *Pollenie*”). Gdy przedsiębiorstwa wydawnicze i księgarskie zabrały się do opróżnienia magazynów z zalegających je tomów najprostszej drogą (poprzez przemieszczenie na nowy papier), nie pojawił się żaden ruch, który pod hasłem dbania o kulturę narodową zażądałby, ażeby przynajmniej klasykę polską rozdać bibliotekom, szkołom i indywidualnie dzieciom (choć podobno nikt nie ma pieniędzy na kupowanie książek!). Z czasem i powoli dopiero Ministerstwo Kultury zaczęło coś robić w tej sprawie.

Nie widać ruchu na rzecz takich fundamentów kultury narodowej jak szkoły, uczelnie, biblioteki, wydawnictwa, teatry, zabytki. Oczywiście są i aktywniejsze w tej kwestii postawy – ale cała rzecz w tym, że nie odgrywają one istotnej roli.

Z innego zakresu spraw warto wspomnieć, iż czasy sprzyjały powiększaniu i prezentowaniu dorobku kulturalnego mniejszości narodowych. Przynajmniej dwa przedsięwzięcia z tej tematyki miały charakterystyczne tytuły: II Ogólnopolski Przegląd Dorobku Artystycznego Mniejszości Narodowych, zatytułowany „Wspólnota w kulturze” oraz wydawnictwo Instytutu Badań Literackich pt. „Inni wśród swoich”<sup>19</sup>.

Prawda, że środowiska bardziej czy mniej prawicowe wywierają nacisk na kultywowanie przede wszystkim narodowej kultury. Część środowisk katolickich występuje przeciw kosmopolityzacji kultury, amerykańizacji repertuaru filmowego, prawdziwemu czy rzekomemu traktowaniu polskiej twórczości przez niektórych krytyków jako prowincjonalnej. Bywa, że nacisk na kultywowanie własnej kultury nie ogranicza się do artystycznych środków wyrazu, lecz obejmuje

19. „Inni wśród swoich”, red. Wiesław Władysław, wybór i opr. zdjęć Aleksandra Garlicka, IBL PAN, Warszawa 1994.

kulturę rozumianą bardzo szeroko – jako sposób życia. W takich wypadkach sposób życia definiowany jako polski bywa kontrastowany z Zachodem. Z kolei ów Zachód jest niekiedy przedstawiany w formie nie zawsze adekwatnej do rzeczywistości (zupełnie jak gdyby naprawdę większość ludzi była tam sfiksowana na punkcie seksu w różnych jego odmianach!)<sup>20</sup>. Referowana postawa nie musi jednak być od razu i zawsze równoznaczna z naciskiem aż ksenofobicznym, eliminującym wszystkie inne wartości – a skądinąd życie płynie swoją drogą i szeroki nurt życia kulturalnego nie wydaje się koncentrować szczególnie w narodowym łożysku. Wagi postulatu, jakoby zgłaszanego przez czytelników, izby w polskiej edycji *Playboya* pojawiła się na rozkładówce polska dziewczyna – o czym poinformowała redakcja – nie należy chyba przesadzać z punktu widzenia rozpatrywanej sprawy.

Wyraźnych konfliktów wokół narodowego charakteru kultury było niewiele. Intelktualna elita Krakowa podpisała list do władz państwowych z protestem przeciw projektowi ulokowania restauracji McDonalda na tamtejszym Rynku i przeciwko podobnym działaniom w innych miastach<sup>21</sup>. Protest był tym bardziej charakterystyczny, że firma, o której mowa, w swej restauracji na Floriańskiej w tymże mieście dołożyła dużych i udanych starań, aby jak najlepiej wyeksponować historyczny charakter uzyskanego wnętrza.

20. Podczas świąt wielkanocnych 1994 r., w jednym z kościołów warszawskich widziałem Boży Grób, którego wystrój plastyczny zbudowany był na zasadzie kontrastu. Z lewej strony umieszczono dwie niestaranie ubrane i dosyć odrażająco przedstawione postacie homoseksualistów, trzymających za rękę małą dziewczynkę (małżeństwo homoseksualistów z adoptowanym dzieckiem). Nad nimi wisiała gwiazdzista flaga europejska, a drogę zagradzał polski, biało-czerwony szlaban. Umieszczona po prawej stronie fotografia przedstawiała z kolei wyraźnie sympatyczne, szczęśliwe małżeństwo: mężczyznę obejmującego kobietę, z którą razem popychali wózek z dzieckiem. Nawiasem mówiąc, zdjęcie szczęśliwej pary było zrobione tak dobrze technicznie, że nie zdziwiłbym się gdyby wzięto je z zachodnich reklam (już nie mówiąc o tym, że niewątpliwie wykorzystano do reprodukcji zachodnie materiały fotograficzne!).

21. Wśród podpisanych znajdowali się m.in. Józef Gierowski, Zygmunt Konieczny, Stanisław Lem, Henryk Markiewicz, Andrzej Mleczko, Marek Rostworowski, Marek Skwarnicki, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska i ks. Józef Tischner.



Bardziej dramatycznie przebiegał incydent, który zaistniał pomiędzy Wielką Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia i TV oraz jej dyrektorem Antonim Witem a José Carrerasem przed koncertem w Zabrzu we wrześniu 1993 r. Choć ów incydent miał u podłoża nieprecyzyjne sformułowanie kontraktu w kwestii czy kierować zespołem będzie jego dyrektor, czy – jak chciał solista – dyrygent mu towarzyszący, nabrał on trochę cech obrony własnej godności artystycznej ze strony polskiego zespołu. Nawiązując do upokorzenia przezeń doznanego, elita polskiego świata muzycznego w charakterystyczny sposób stwierdziła: „Czas najwyższy, aby we własnym kraju polscy artyści byli traktowani z należnym im szacunkiem”<sup>22</sup>.

Zmniejszenie nasilenia retoryki narodowej widać również gdy się przyjrzeć stosunkowi różnych nurtów opinii publicznej do historii – co nieraz w dziejach Polski, w tym w latach osiemdziesiątych, bywało postrzegane wręcz jako sprawdzian patriotyzmu. Otóż w tym zakresie trwa zaznaczony już nieco wcześniej odwrót. Oczywiście nie jest to odwrót całkowity. Historia wciąż bywa traktowana jako coś przez kogoś celowo zakłamywanego. Gdy ukazała się książka Andrzeja Friszke o dziejach opozycji przeciw komunizmowi w Polsce<sup>23</sup>, *Tygodnik Solidarność* zaopatrzył krytyczną recenzję komentarzem o rzekomo trwającym indoktrynowaniu społeczeństwa i zawłaszczaniu wizji jego dziejów przez skądinąd słabo przez redakcję zdefiniowane, ale jakoby silne, bogate i powiązane z władzą lobby. Dyskusje historyczne potrafią wciąż wzbudzać emocje. Przynajmniej dwie z nich zatoczyły szersze kręgi – o Narodowych Siłach Zbrojnych oraz o stosunku Armii Krajowej do Żydów (zwłaszcza tych nielicznych, którzy dotrwali do Powstania Warszawskiego). Zdarzały się też polemiki ograniczone do węższych środowisk. Na Uniwersytecie War-

szawskim dyskusję wzbudziła np. propozycja, skądinąd nadeszła z Zachodu, upamiętnienia prof. Michaiła Cwieta. Ów profesor był niewątpliwie wybitnym przyrodnikiem (twórcą chromatografii) – ale pracował na rosyjskim Uniwersytecie w Warszawie. Powstało więc pytanie, czy należy czcić jego pamięć. Sprawa zakończyła się wmurowaniem w ścianę Szkoły Głównej tablicy stwierdzającej, iż prof. Cwiet pracował w tych murach – co pozwoliło pozostawić na boku kwestię, jakiej instytucji elementem były mury.

Nadal trwa – choć już w mniejszym niż w poprzednich latach natężeniu – odsłanianie tablic i pomników. Dalej będzie szczegółowiej mowa o upamiętnianiu miejsc związanych z gehenną najnowszej historii. Nawet jednak bohaterom czasów odleglejszych, żołnierzom Powstania Styczniowego spoczywającym w nieznanach mogiłach pól bitewnych i zesłania, poświęcono w analizowanym okresie nową tablicę na Bródnie w Warszawie.

W pewnym sensie pamięć historii była też kultywowana poprzez zinternalizowany bagaż intelektualny mnóstwa ludzi w Polsce: terminy „zdrada” czy „Targowica”, tak często (zbyt często!) pojawiające się w polemikach politycznych, zostały przecież uformowane przez przeszłość. Również w kategoriach bardziej uświadomionych przez zabierających głos historia wciąż bywa alfabetem wyrażania treści współczesnych. Gdy 3 maja 1993 r. telewizja zorganizowała dużą dyskusję o Stanisławie Augustie („Sąd nad królem”), Jan Parys wypowiadał się tak, jak gdyby rzeczywiście oskarżał króla przed sądem. Pełną nadziei na bieżący polityczny zysk formą nawiązania do historii było utworzenie przez obóz prezydencki ugrupowania politycznego pod nazwą BBWR, ujęcie jego przedwyborczego programu w 21 punktów (nawiązanie do strajku gdańskiego!) oraz sprowadzenie prochów gen. Sikorskiego w przeddzień wyborów 1993 r. Co ciekawe, nie zrobiono tego ostatniego posunięcia w rocznicę wybuchu wojny, lecz siedemnastego września – skądinąd tegoż dnia organizując na dziedzińcu Belwederu wymowną historycznie uroczystość pożegnania opuszczających Polskę ostatnich żołnierzy rosyjskich. Wszystko miało kierować myśl ku historii, a w jej ramach ku wątkowi rosyjskiemu – zapewne po to, by podkreślić pozytywny obrót koła dziejów.

22. *Gazeta Wyborcza* 16 IX 1993 (wśród podpisanych znaleźli się Henryk Mikołaj Górka, Konstanty Andrzej Kulka, Krzysztof Penderecki, Ewa Podleś i in.).

23. Andrzej Friszke, „Opozycja polityczna w PRL. 1945-1980”, Aneks, Londyn 1994.



Jednocześnie przecież trudno się oprzeć wrażeniu, że społeczeństwo się obecnie mniej interesuje historią niż kilka lat temu. Na studia historyczne od pewnego czasu napływa mniej kandydatów. Sondaże opinii publicznej potwierdzają, że zdumiewająco dużo ludzi nie wie co symbolizują nawet takie daty jak 11 listopada i 17 września. Wspomniana dyskusja o Stanisławie Augustcie nie wzbudziła namietności, jakie jeszcze nie tak dawno budziła kwestia gdzie pogrzebać jego prochy. Wizyty na cmentarzach przestały mieć charakter nabożeństwa patriotycznego. W 1993 r. Boże Groby i szopki nie miały już, odmiennie niż kiedyś, wystroju związanego z dawniejszą, czy mniej dawną historią. W kampanii wyborczej 1993 r. dominowała problematyka codziennego bytu. Kongres Liberalny uczestniczył w niej m.in. pod hasłem „głosujcie na przyszłość, a nie na przeszłość<sup>24</sup>”. Jeśli z kolei w wyborach samorządowych 1994 r. nawet Konfederacja Polski Niepodległej uczestniczyła rozwijając swój symbol „KPN” w słowa „Konsekwencja, Porządek, Nadzieja” – to znaczy, że zaistniało powszechne odczucie zmiany stosunku społeczeństwa do historii. Sam wynik wyborów parlamentarnych 1993 r. na swój sposób potwierdzał też ową zmianę (o czym będzie jeszcze mowa).

Perspektywa historyczna ulegała jakby spłyceciu (pamięć historyczna się skróciła). Punktem odniesienia przestała już być nie tylko polska tradycja historyczna czy choćby PRL, ale nawet okres 1980-1989. Ich miejsce w myśleniu w znacznym stopniu zajęła rzeczywistość kształtująca się już po Wielkiej Przemianie. Studenci Uniwersytetu Warszawskiego chcą ustawić przed BUW-em pomnik studenta wcale nie zasłużonego patriotycznie, lecz studenta *tout court*. Ma to być najzwyczajniejszy student, taki jak oni. Ma siedzieć na ławce przed BUW-em – jak oni. Dyskusje toczą się jedynie wokół tego czy ma siedzieć sam, czy z dziewczyną i czy ma trzymać w ręku butelkę piwa – a jeśli, to jakiego. Ta ostatnia rzecz nie jest bez znaczenia, gdyż można się spodziewać, że producent piwa, które ewentualnie zostałyby uwiecznione w spizu, dołożyłby pieniądze do realizacji przedsięwzięcia.

Charakterystyczne, że wizja historii, która obecnie w

24. Donald Tusk w TV 13 IX 1993.

praktyce funkcjonuje w społeczeństwie, jest bardzo niekoherentna. Po latach sporów o historię wszedł obecnie w obieg swoisty zlepek, w którym dobierane są elementy z różnych zbiorów. W propagandzie wyborczej w 1993 r. BBWR włączył do swojej telewizyjnej reklamówki fragment dokumentalnego filmu o odbudowie stolicy – czyli nawiązał do czasów komunistycznych, od których prezydent właśnie chciał się odciąć. W 40-lecie odbudowy warszawskiego Starego Miasta zorganizowano festyn na tamtejszym Rynku – zapominając, jakie miejsce zajmowała owa odbudowa w komunistycznej mitologii i propagandzie. W Dzień Zaduszny wystawia się warty wojskowe przy grobach żołnierzy możliwie wszystkich ugrupowań. Mimo iż o wejściu Rosjan w latach 1944-1945 często mówi się jako o drugiej okupacji, to każdego 17 stycznia mówi się jednak także o wyzwoleniu Warszawy. Obchody 50-tej rocznicy Powstania Warszawskiego organizuje się przy pomniku, który powstał za władzy komunistycznej i, co ważniejsze, w którego koncepcję owa władza bardzo brutalnie zaingerowała. Czci się rocznicę bitwy o Monte Cassino, ale obchodzi się też rocznicę bitwy pod Lenino i odprawia mszę za dusze żołnierzy tam poległych. Kompanii Reprezentacyjnej WP wręcza się poświęcony sztandar z napisem BÓG HONOR OJCZYŻNA – ale poprzedniego nie wyrzuca się, rzecz jasna, na śmieci, lecz przekazuje do Muzeum Wojska. Z kolei w towarzyszącym telewizyjnemu reportażowi z tej uroczystości komentarzu wspomina się, że Kompanię zorganizowano w 1954 r. – choć, jeśli uważnie spojrzeć na sprawę, nie był to rok, którego odbicie w jakiegokolwiek kronice byłoby tytułem do chwały. W przygotowywanej obecnie kilkutomowej encyklopedii PWN pojawiają się hasła historyczne o bardzo zróżnicowanej wymowie – zależnie od tego kto je pisał i kiedy były pisane. Nawet w ramach tego samego hasła potrafią się pojawiać informacje, których jeszcze niedawno by nie wypowiedziano na jednym wydechu. Np. w hasle o historii Bydgoszczy najpierw pisze się, że podczas wojny był to teren działania organizacji „Gryf Kaszubski”, „Gryf Pomorski” oraz AK, potem podaje się informacje o wyzwoleniu miasta w 1945 r. i podkreśla udział jednostek WP (idących przecież ze Wschodu!), a ostatecznie informuje się o pobiciu delegacji „Solidarności” przez milicję



podczas sesji WRN 19 marca 1981 r. Powstaje w ten sposób może eklektyczna, ale kompletna i pluralistyczna wizja historii – czyli rezultat nie jest najgorszy. Ciekawe jednak, że ów eklektyzm chyba już dziś nikomu nie przeszkadza.

Stopniowo dobiegło końca przerzucanie pomostu pomiędzy naszymi czasami a państwowością okresu międzywojennego. Jeśli dobrze pamiętam, jeszcze Tadeusz Mazowiecki, w jednym ze swoich pierwszych przemówień wygłoszonych po objęciu stanowiska premiera, dla określenia naszych czasów użył terminu „IV Rzeczpospolita”. Bardzo szybko przyjął się jednak termin „III RP”, który ustawia PRL w nawiasie narodowej historii i tym samym właśnie przerzuca pomost wstecz. Cegłami w tym pomoście stały się insygnia prezydenckie przekazane z Londynu, sprowadzone doczesne szczątki licznych wybitnych Polaków zmarłych na obczyźnie i nowo zbudowane pomniki. W rozpatrywanym okresie ten trend w jakimś stopniu jeszcze trochę trwał. Wyżej była mowa o sprowadzeniu prochów gen. Sikorskiego. Przed trumną generała złożono meldunek, że Ojczyzna jest wolna. Nawiązano w ten sposób do wyrażonej przez Zmarłego woli spoczęcia w wolnej Polsce – ale też na swój sposób podkreślono zamknięcie się koła historii. Analogicznie prezydent Wałęsa w przemówieniu wygłoszonym w Monte Cassino podczas obchodów pięćdziesięciolecia bitwy nawiązał do książki gen. Andersa „Bez ostatniego rozdziału”; zadeklarował, iż naród polski dopisał ten rozdział, gdyż uczynił Ojczyznę wolną i niepodległą. Z innych działań o podobnym znaczeniu symbolicznym można wymienić np. sprowadzenie prochów gen. Ludomiła Antoniego Rayskiego, czy budowę pomnika Stefana Starzyńskiego.

W ramach „przerzucania pomostu” do przedwojnia mieszczą się też takie posunięcia, jak np. zaproszenie przez Prezydenta elity kraju na spotkanie opłatkowe do Zamku – zamiast, jak w ostatnich latach, do Sejmu (przed wojną prezydent Mościcki zapraszał do Zamku!). Generalnie działania w tym kierunku zdają się jednak zmierzać do końca z tej prostej przyczyny, że mnóstwo posunięć zostało już wykonanych.

Prawda, iż pozostała nie załatwiona nie najmniej ważna sprawa ewentualnego zwrotu majątku i posiadłości właścicielom, którzy je utracili w czasach komunistycznych. Charakterystyczne jednak, że zdaje się ona tracić obecnie swój kostium historyczny: staje się już jedną z wielu bieżących spraw spornych, rozpatrywanych jako współczesny konflikt interesów. W jak wielkim stopniu natomiast pomost został już w kategoriach ludzkich wyobrażeń zbudowany, niech świadczy fakt, że podobno do NBP zgłaszali się ludzie z przedwojennymi pieniędzmi z prośbą o ich wymianę na aktualne. Nie można im odmówić pewnej racji. Skoro uznajemy ciągłość państwa, traktując wszystko, co było po drodze, za bezprawne zaburzenie owej ciągłości, to Bank powinien był pieniądze wymienić – choć wątpię, czy to uczynił. Nawiasem mówiąc, powrót do dawnych czasów jest w ogóle znacznie łatwiejszy w sferze symbolicznej niż w realnej.

Szczególnym elementem stosunku do historii, wielokrotnie w dziejach Polski traktowanym jako swoisty papierek lakmusowy patriotyzmu, był stosunek do czynu zbrojnego i, w szczególności, czynu powstańczego. Ponieważ w ramach tej wizji „Solidarność” bywa utożsamiana z kolejnym zrywem narodowym – do którego prowadziły Poznań, Wybrzeże, Radom i, ewentualnie, także Październik oraz ruch studencki 1968 r. – więc ów fragment stosunku do historii obejmuje także stosunek do Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego. Otóż trudno się oprzeć wrażeniu, że kultura narodowej walki o niepodległość w ostatnich czasach straciła na znaczeniu. 11 listopada jest świętowany w tradycji etosu walki jedynie przez ugrupowania silnie prawicowe. Elementem oficjalnych obchodów uczyniono – o czym była mowa wyżej – doroczne wręczanie laurów zwycięzcom konkursu na najlepsze polskie produkty. Prawda, że w 1993 r. przedstawiciel jednego z owych zwycięzców, reprezentant fabryki porcelany w Ćmielowie, nawiązał do historii gdy odbierał dyplom – ale jakże inna to była już historia! Ow człowiek odczytał mianowicie tekst z XVIII w., sławiący Ćmielowską porcelanę! Nawet jeśli później, po rozdaniu nagród, wszyst-



kich zaproszono na koncert o motywach niepodległościowych, to trudno się oprzeć wrażeniu, że romantyczny etos, swego czasu tak silny, wszedł w fazę schyłkową<sup>25</sup>. Na wiosnę 1994 r. nie było już protestów przeciwko umieszczeniu na Pl. Piłsudskiego (gdzie znajduje się Grób Nieznanego Żołnierza!) wystawy polskich produktów nagrodzonych w omawianym konkursie – podczas gdy jeszcze niedawno niektóre organizacje patriotyczne protestowały przeciwko umieszczeniu tam namiotu przykrywającego jakiś teren do zabaw. Prawda, że wystawę umieszczono z boku, dyskretniej niż ów namiot i była to wystawa polskich produktów, a nie namiot rozrywek – jednakże brak protestów był chyba oznaką zmiany głębszej.

Obchody 50-tej rocznicy Powstania Warszawskiego nie wzbudziły – jak się zdaje – nadzwyczajnego poruszenia. Obchody 50-lecia bitwy pod Monte Cassino wzbudziły poruszenie przede wszystkim ze względu na ich fatalną organizację, której elementem było niezapewnienie zawiezionym do Włoch kombatanom warunków godnych ich wieku i zasług. Kult „Solidarności” padł – do czego przyczyniły się rozgrywki polityczne w niej i wokół niej. Wręcz odnosi się wrażenie, że skandal wokół organizacji uroczystości Monte Cassino oraz ugrzęźnięcie pamięci o heroicznej „Solidarności” w doczesnym grzęzawisku są podzwonnymi epoki. Samo w sobie, jak każdy koniec epoki, nie jest to ani dobre, ani złe – a w jakimś momencie naturalne. Tyle tylko, że ów koniec mógłby być elegantszy.

Wielokrotnie i szeroko w najnowszej historii stosowanym środkiem wyrażania treści narodowych był antykomunizm. Spojrzenie z punktu widzenia tej sprawy dziś też sugeruje zmniejszanie się natężenia retoryki narodowej. Oczywiście uczucia antykomunistyczne są bardzo powszechnie deklarowane. Ich wyrazem jest przygotowywanie pomnika poświęco-

25. Zjawisko to zauważono już w literaturze przedmiotu (por. przykładowo dyskusję Dariusza Gawina, Marii Janion, Jerzego Jedlickiego, Piotra Łukasiewicza i Macieja Świerkockiego na łamach *Ex Libris* z grudnia 1994 r.).

nego pamięci poległych i pomordowanych na Wschodzie. Także – np. odsłonięcie tablicy pamiątkowej na domu przy ul. Cienistej we Włochach pod Warszawą, gdzie w 1945 r. mieściło się NKWD i gdzie cierpiało mnóstwo ludzi.

W polityce wyrazem uczuć antykomunistycznych są żądania lustracji czy (i) ukarania winnych zbrodni stalinowskich. Podobnie ich wyrazem są opory np. przeciwko uznaniu praw emerytalnych funkcjonariuszy aparatu represyjnego z lat stalinowskich, czy ich uprawnień kombatanckich (także uprawnień członków nielegalnych organizacji komunistycznych z okresu przedwojennego i wojennego). Trudno się jednak oprzeć wrażeniu, że deklaracje antykomunistyczne stanowią często werbalizację powierzchowną. Wyżej była mowa, że demonstracje mocno akcentujących antykomunizm partii prawicowych i tych ruchów społecznych, które głośno wołają „raz sierpem, raz młotem, czerwoną hołotę”, nie przyciągają tłumów. Katyń, o którym podstawowe rzeczy już wiadomo, przestał organizować myślenie. Wszystkie sprawy związane z upamiętnieniem tego miejsca zdają się interesować już raczej rodziny ofiar niż szersze kręgi. Próba ponownego rozgrzania sprawy we wrześniu 1993 r. i budowania na niej kapitału politycznego przez Ministra Sprawiedliwości Jana Piątkowskiego spaliła całkowicie na panewce<sup>26</sup>.

Energia zakumulowana przeciw zbrodniarzom czasów stalinowskich jakby rozładowała się – może dlatego, że nie sposób trwać „pod parą” wiecznie, a trudno się podniecać jednym, ciągnącym się bez końca procesem płk. Humera. Ukazania zbrodniarzy domagają się towarzysze broni pomordowanych – ale zajęcie się szerszej opinii tą sprawą jakby minęło. Fala eliminowania pomników i tablic upamiętniających ludzi bądź wydarzenia z tradycji komunistycznej też zdaje się przechodzić. Niedawne oblanie czerwoną i czarną farbą wciąż wiszącej na gmachu Wydziału Prawa UW tablicy poświęconej Hannie Szapiro-Sawickiej i Janowi Krasickiemu rysuje się jako reakcja już tyleż spóźniona, co izolowana. Sondáže pokazują, że ludzie przekładają postać płk. Zacharskiego nad płk.

26. Min. Piątkowski zapowiedział wówczas przeprowadzenie nowego, polskiego, odrębnego od dotychczasowego prowadzonego przez Rosjan śledztwa w sprawie Katynia.



Kuklińskiego – podczas gdy pierwszy był pracownikiem wywiadu PRL do tego stopnia zasłużonym, że jego mianowanie na szefa wywiadu UOP-u zostało uniemożliwione przez polityczny problem jaki wywołało, podczas gdy drugi przekazywał tajemnice PRL Stanom Zjednoczonym i według niektórych polityków winien być uważany za bohatera narodowego.

Sondaże opinii publicznej pokazują, że z połowa Polaków uznaje okres PRL za najlepszy w życiu i na swój sposób doń tęskni. Politolog doszedł do wniosku, że postkomuniści zdolali „opuścić niewygodną politycznie pozycję dziedzica partii rządzącej Polską z obcego nadania”<sup>27</sup>. Wyniki wyborów parlamentarnych w 1993 r. – doskonałe dla ugrupowań tkwiących korzeniami w PRL, potwierdziły jedno z dwojga: albo to, że ludzie przestali być uczuleni na sprawę narodową – albo, raczej, że właśnie przestali wiązać spadkobierców komunizmu z narodowym zaprzaństwem. Pod silnym wrażeniem owych wyników Jerzy Turowicz uznał za potrzebne przypomnieć rodakom, iż Polska lat 1945-1989 nie była ani państwem miłym i demokratycznym, ani niepodległym i suwerennym<sup>28</sup>. Inny komentator i zarazem aktywny polityk skomentował wybory następująco: „Głosując na partie mające rodowód w epoce komunistycznej dyktatury, odrzucono zarazem tożsamość ideową Trzeciej Rzeczypospolitej, na którą składał się antykomunizm, ‘solidarnościowy’ rodowód, legitymizacja udzielona przez Kościół. Nie nazwanym fragmentem tej tożsamości była milcząca zgoda na tezę, że okres PRL był formą sowieckiej okupacji, a PZPR – organizacją zdrajców i kolaborantów z obcym mocarstwem”<sup>29</sup>.

Prawda, że rzeczywistość w odniesieniu do PZPR była bardziej skomplikowana niż głosiła uproszczona obieguwa teza. Prawda, że spadkobiercy PZPR (wbrew propagandzie części swych przeciwników!) mało poczuwają się do swojej poprzedniczki, a szybkość niektórych konwersji wśród nich

27. Edmund Wnuk-Lipiński, „Recydywa PRL – z naszą pomocą”, *Gazeta Wyborcza* 5 VII 1994.

28. Jerzy Turowicz, „Pamięć i rodowód”, *Tygodnik Powszechny* 7 XI 1993.

29. Adam Michnik, „Im gorzej, tym gorzej”, *Gazeta Świąteczna* 25-26 IX 1993.

wręcz zdumiewa. Mimo wszystko jeszcze niedawno takie wyniki wyborów byłyby jednak prawdopodobnie niemożliwe m.in. właśnie z uwagi na siłę retoryki narodowej.

W ostatnich czasach istotnym elementem retoryki narodowej był krytyczny stosunek do wprowadzenia przez gen. Jaruzelskiego stanu wojennego w grudniu 1981 r. W jakimś stopniu ta sprawa oczywiście trwa nadal. Pewne napięcie zdaje się istnieć wokół wspomnienia strzałów w kopalni „Wujek” i toczącego się w tej sprawie postępowania sądowego; wzmacnia je chyba to, że nie jest to tylko „sprawa”, lecz występuje w niej konkretna, znana osoba (gen. Czesław Kiszczak). Pretensja o brak ścigania sprawców zabójstw okresu stanu wojennego pojawiła się w wypowiedziach „Solidarności” Ursusa. W rocznicę wprowadzenia stanu wojennego w 1993 i w 1994 r. kilka organizacji robiło manifestacje pod domem gen. Jaruzelskiego, czy pod b. MBP i więzieniem na Rakowieckiej w Warszawie. Jednocześnie przecież... Mało kto się chyba podnieca tym, czy skazany w procesie zabójców ks. Popiełuszki Grzegorz Piotrowski wyjdzie z więzienia, czy nie. Na manifestacjach przed domem gen. Jaruzelskiego gromadziły się znikome liczby ludzi. Sam generał jest oceniany nadspodziewanie dobrze w sondażach opinii publicznej. Przeszło połowa Polaków uważa go za prezydenta lepszego niż Lech Wałęsa (OBOP, IV 1994). Niedawne uderzenie generała kamieniem w twarz przez kogoś we Wrocławiu świadczy raczej o poczuciu bezsilności, nurtującym jego wrogów, niż przeciwnie (jeśli w ogóle nie należy tego epizodu rozpatrywać w kategoriach indywidualnego zachwiania równowagi osoby działającej). Prymas, składając wizytę generałowi w szpitalu, uczynił to zapewne z przekonania o własnej w tym względzie powinności, albo (i) dlatego, by wyrazić dezaprobatę dla załatwiania rachunków politycznych kamieniami. Można jednak domniemywać, że trudniej byłoby mu pójść, gdyby wy czuwał atmosferę powszechnego potępienia wokół zranionego.

W 13-tą rocznicę wprowadzenia stanu wojennego 54% Polaków uznało, że było to posunięcie słuszne, a 23% – że



nieślusne (w 1989 r. odpowiednio 44 i 35). Aż co czwarty Polak twierdzi, że stan wojenny wprowadzono dla uniknięcia interwencji ZSSR (CBOS). Niemal połowa badanych (47%) uznaje, że wprowadzając stan wojenny gen. Jaruzelski postąpił jak polski patriota, zaś tylko 23% twierdzi, że dopuścił się tym samym zdrady interesów narodu (Demoskop). 71% uważa, że generał nie powinien być karany za wprowadzenie stanu wojennego, a tylko 15% jest przeciwnego zdania (OBOP, IV 1994).

Tradycyjnie w Polsce retoryka narodowa wyraża specyficzne definiowanie wspólnoty narodowej. Czy to przedstawiciele mniejszości narodowych, czy ludzi odmiennie myślących politycznie, czy w końcu ludzi o innym światopoglądzie, nieraz ustawiano poza jej granicą – traktując to jako wyraz patriotyzmu. Z kolei rozproszonych po świecie ludzi polskiego pochodzenia tradycyjnie włącza się w Polsce w zakres wspólnoty narodowej, nawet jeśli oni sami nie uważają się już za Polaków (co skądinąd nie przeszkadza włączać również Kopernika i Wita Stwosza oraz dziwić się np. Niemcom, gdy ci również uważają ich za swoich wybitnych przodków). Zjawisko, o którym mowa, jest uwarunkowane historycznie. Można je było obserwować w ostatnich latach. W jakimś stopniu trwa ono również dziś. Reprezentuje je niejedno ugrupowanie prawicowe. Wspomniane wyżej hasło wyborcze KPN z 1993 r. – „Żegnaj lewico – wraca Polska” – było jednym z wyrazów takiego właśnie podejścia, podobnie jak kwalifikowanie przeciwników jako „zdrajców” i „targowiczów”. Na tej samej zasadzie w niektórych nurtach post-solidarnościowych KOR został odsądzony od „swoich” jako za mało prawicowy i za mało katolicki (choć pochylenie się nad nazwiskami wcale nie wskazuje, iżby w tym środowisku funkcjonowali jedynie ludzie o odmiennej proveniencji). Na tej samej zasadzie nieraz kulturuje się stereotyp „Polak-katolik” i traktuje katolicyzm jako niezbywalny element definicyjny polskości. Przykładów takiej postawy można przytoczyć dużo – poczynając od idei pomieszczenia *invocatio Dei* i szczególnego podkreślenia miejsca Kościoła katolickiego

w konstytucji, czy poświęcenia sztandaru Kompanii Reprezentacyjnej WP i mówienia przy tej okazji o Matce Boskiej jako o „hetmance żołnierza polskiego”. W skrajnych wypadkach zdarza się, że krytyki wobec Kościoła lub (i) dystansowanie się wobec religii traktowane są jako atak na wartości narodowe.

Realizując rozważaną koncepcję wspólnoty narodowej część opinii niedawno podniecała się sprawą Polaków na Litwie – nie przyjmując do wiadomości, że np. zgłaszany przez niektórych z nich postulat ustanowienia polskiej autonomii na terenach wokół Wilna był porównywalny jedynie z, powiedzmy, hipotetycznym postulatem zrobienia niemieckiego obwodu autonomicznego wokół Warszawy. Wynikiem podobnego podejścia było pewne zainteresowanie opinii sprawą tzw. karabinierów – Polaków, którzy zostali złapani przez służby amerykańskie pod zarzutem uprawiania handlu bronią bez brania pod uwagę obowiązującego wówczas embargo na dostawy broni do Iraku. Reakcja opinii kształtowała się trochę na zasadzie „Naszych zamknięto!”. Gdy „nasi” wrócili, chyba przez wzgląd na opinię przyjął ich Marszałek Sejmu Józef Oleksy. Wszystko to reprezentowało reakcję wyraźnie „plemienną” (już nie mówiąc o *curiosum* na miarę światową, jakim było oficjalne przyjęcie ludzi handlujących bronią przez jednego z najwyższych dostojników państwa).

Jednocześnie przecież... Hasło działania w kierunku ułatwienia powrotu Polakom z Kazachstanu nie zyskuje szerszego oddźwięku, a już na pewno nic nie wskazuje na to, iżby wielu spośród nas było skłonnych ponieść materialną ofiarę na ich rzecz. Tymczasem, o czym warto pamiętać, mowa o ludziach swego czasu zesłanych, bądź ich potomkach. Na uczelniach, gdzie pojawiło się trochę polskich studentów z Ukrainy, Litwy i Białorusi, nie widać jakiegось ruchu w kierunku otoczenia ich opieką, pomocą i przyjaźnią. Dopuszczenie Polaków z emigracji, którzy posiadają podwójne obywatelstwo do udziału w zarządzaniu Narodowymi Funduszami Inwestycyjnymi wywołało ogromne opory. Ewentualnych konsekwencji praktycznych dla ludzi niewierzących, bądź przedstawicieli innych wyznań, z tytułu funkcjonowania stereotypu „Polak-katolik” nie widać, a są oznaki świadczące, że sam Kościół katolicki jakby zaczyna trochę się z niego wycofywać.



Retoryka narodowa nieraz w najnowszej historii Polski wyrażała się kultem własnego państwa – gdy ono istniało i, może tym bardziej, gdy go nie było. Ów kult rozszerzał się na niejedną instytucję państwową i wielu czołowych przedstawicieli władz. 11 listopada i 3 maja były dniami zauważanymi, a bywały nawet okazją do demonstracji w latach osiemdziesiątych. Dziś święta państwowe nie przyciągają już szerszej uwagi. Ludzie akurat znajdujący się na Pl. Piłsudskiego nawet podczas odgrywania hymnu nie zdają sobie wiele robić z momentu. O skądinąd jak najbardziej dającym się bronić łączeniu promocji polskich produktów ze świętem narodowym była mowa wyżej<sup>30</sup>.

Wojsko nie jest noszone na rękach. Według badań Wojskowego Instytutu Badań Socjologicznych negatywny stosunek do służby wojskowej deklaruje 70% młodzieży męskiej (1992 – wobec 20% w 1984 i 41% w 1988). Minał czas przejmowania się formą wyobrażenia orła na godle Rzeczypospolitej. Przeniesienie się Prezydenta z Belwederu do Pałacu Namiestnikowskiego nie wywołało ani większego zainteresowania, ani, tym bardziej, pozytywnego wrażenia. Przejazdy samochodowej kolumny prezydenckiej przez miasto są za uważane co najwyżej o tyle, o ile wprowadzają pewne zamieszanie i niewygodę. Sejm, niezależnie od swego każdorazowego składu będący w końcu jednym z najważniejszych symboli suwerennego państwa, chyba nie cieszy się wielkim szacunkiem i popularnością. Obchody 500-lecia parlamentaryzmu polskiego zostały słabo dostrzeżone. Według Wojskowego Instytutu Badań Socjologicznych 30% młodych ludzi odbywających służbę zasadniczą na pytanie o patriotyzm deklaruje brak zdania, zaś 70% deklaruje chęć życia gdzie indziej niż w Polsce (1992). W świetle prowadzonych wśród

30. Pewien nauczyciel z południa Polski opowiadał mi niedawno, jak trudno jest w tej chwili zorganizować obchody święta narodowego w skali jego miasta. Na ostatniego 3 maja dyrektor jakiejś szkoły przeprowadził raptem trzech uczniów ze sztandarem, też zresztą wyciągniętym zza pazuchy i wytrzępanym jak byle co. *Nb.* jeden z owych uczniów został zmobilizowany po przypadkowym złapaniu go w drodze. Apel do ciała pedagogicznego o przyprowadzenie młodzieży na mszę tegoż 3 maja wywołał ponoć reakcję, że mój rozmówca widać nie zauważył, iż era capstrzyków skończyła się wraz z komunizmem.

studentów badań ich autoidentyfikacja poprzez użycie kategorii „bycia Polakiem” jest słaba – co sugeruje, iż obecnie nie jest to bardzo aktywna kategoria myślenia<sup>31</sup>. Dążenie do wejścia do Unii Europejskiej, Euroregiony, strefy wolnocłowe, znoszenie wiz i humanizowanie granic – będące, niezależnie od wszystkich swoich zalet, odejściem od tradycyjnej wizji państwa – zdaje się wzbudzać opory raczej na prawicy politycznej niż szeroko w społeczeństwie.

Jeśli powyższy obraz zmniejszania się natężenia retoryki narodowej został zarysowany prawdziwie, to pozostaje zapytać o przyczyny owego zjawiska i o to, czy jest ono trwałe.

W wieloprzyczynowej rzeczywistości społecznej najczęściej łatwiej jest stwierdzić zjawisko niż wyjaśnić jego genezę. Podobnie w tym wypadku można pokusić się jedynie o wskazanie przyczyn najbardziej prawdopodobnych. Okolicznością sprzyjającą jest prawdopodobnie zlikwidowanie najbardziej przemawiających do wyobraźni objawów ograniczenia suwerenności narodowej. Jest to wszakże jedynie okoliczność sprzyjająca, gdyż do natężenia retoryki narodowej nie jest konieczny brak suwerenności (w końcu mocarstwa też nieraz uciekają się do niej!). Podobnie brak istotnych kwestii etnicznych oraz konfliktów z sąsiadami sprzyja wyciszeniu takiej retoryki – ale nie przesądza jej wygaszania. Dawno już zauważono, że może istnieć np. antysemityzm bez Żydów.

Jeśli rzeczywiście w trudnej sytuacji społecznej kraju, wbrew doświadczeniu historycznemu, nie pojawia się akcentowanie retoryki narodowej, to mogą zachodzić cztery możliwości:

- sytuacja nie jest dostatecznie trudna, by skłaniała do posługiwania się rzeczoną retoryką;
- retoryka narodowa zużyła się jako język protestu;
- istnieją możliwości wyrażania protestu w innym języku;
- czasy są inne i alfabet się zmienił.

Najtrudniej jest rozważać pierwszą z tych możliwości,

31. Marcin Zaremba, „Raport z badań – ‘Bycie Polakiem’ w samo-definicji studentów”, *Kultura i Społeczeństwo*, 1993, nr 3, s. 213-217.



gdyż nigdzie nie jest powiedziane od jakiej proporcji ludzi „poniżej kreski” można oczekiwać umocnienia się retoryki narodowej. Z tego, że w latach trzydziestych w Niemczech zjawisko nasiliło się wraz z dojściem proporcji bezrobotnych do jakiegoś wskaźnika, mało wynika w odniesieniu do dzisiejszej Polski. Trzeba w tej sprawie zresztą brać pod uwagę nie tylko sytuację ludzi na dziś, lecz to, czy widzą swoje perspektywy jako zamknięte (czy też żywią jeszcze jakieś konstruktywne nadzieje). Nie jest wykluczone, że część licznych ludzi, wykazanych w Polsce przez statystykę jako żyjący poniżej minimum socjalnego, znajduje swoje sposoby wybrnięcia z marnej sytuacji – a w każdym razie jeszcze nie popadła w beznadzieję. Trzeba też mieć na uwadze, że szerokie grupy ludzi zyskały dziś znacznie lepsze możliwości dorobienia się niż dawniej, a w konsekwencji zajmują się działaniami prowadzącymi w tym kierunku. Nie widzą one (chwilowo?) przed sobą barier, skłaniających np. niższe warstwy średnie we Francji do popierania Le Pena. W rysunku Mrożka, przedstawiającym jak to jeden człowieczek wymienia z drugim czapkę krakowską na telewizor („Polak oddaje wartości narodowe za telewizor”), może tkwić element prawdy.

Nie jest wykluczone, że elity opiniotwórcze nie proponują dziś idei oraz retoryki narodowej w stopniu, w jakim nieraz w historii najnowszej to czyniły, gdyż wiedzą, że w swojej zaakcentowanej formie taka propozycja parokrotnie się skompromitowała, a zainteresowane są nade wszystko transformacją ekonomiczno-ustrojową. Nadto na tym Zachodzie, w który są zapatrzone, idea narodowa i taka retoryka są mniej niż dawniej popularne, przynajmniej właśnie w swoich zaakcentowanych, nieraz przebrzmiałych formach. Wprawdzie z jednej strony na Zachodzie jeszcze znalazłoby się dostatecznie duże środowiska zapatrzone nawet w najbardziej zaakcentowaną ideę narodową, a z drugiej do jej propagowania nie trzeba, jak wiadomo, ani licznych, ani wybitnych intelektualistów – ale może być, iż częściowa zmiana systemu wartości opiniotwórczych kręgów światowych przyczynia się także do zmiany alfabetu w Polsce.

Największą wagę przywiązywałbym do dwóch pozostałych spośród wymienionych czynników. Za komunizmu język protestu społecznego był zawłaszczony i zrytualizowany przez

panujący ustrój, co przesądzało wzmocnienie retoryki narodowej. Dziś odradza się język protestu społecznego. U schyłku komunizmu ludzie dla bardzo różnych powodów niezadowoleni doszli do wniosku, że trzeba walczyć o wolną Polskę. Teraz pojawia się akcent, że nie po to ludzie walczyli o wolną Polskę i uzyskali ją, by musieli głodować<sup>32</sup>. Język się zmienił.

Do tego dochodzi pozostała z wymienionych okoliczności: pewne zużycie się retoryki narodowej. Nic nie może trwać bez końca. Nadto, jak była mowa wyżej, perspektywa historyczna naszych czasów przesunęła się i spłycała. Dziś zdaje się zakorzeniona już nie w – z przesadą – tysiącletniej historii Polski, lecz, dla wielu ludzi, w przemianie końca lat osiemdziesiątych, która stała się kolejnym początkiem nowej ery. Otóż retoryka narodowa była językiem przemiany i okresu jej skonsumowania. Rozczarowanie wynikami przemiany skłania zatem do rozejrzenia się za innym językiem – a tym językiem jest język protestu społecznego i odwołanie się do PRL. Jak za PRL szukano punktu odniesienia poza tą formacją, tak za nowej formacji część społeczeństwa – w ramach sprzeciwu – szuka punktu odniesienia w PRL. Zamiast wzmocnienia retoryki narodowej przyszła porewolucyjna tendencja do restauracji: pozytywniejsze niż dawniej widzenie czasów komunistycznych i głosowanie na spadkobierców PZPR.

Czy w przyszłości retoryka narodowa ponownie nasili się, zależy od tylu czynników, że przewidywanie jest trudne. Będzie to uwarunkowane kształtowaniem się sytuacji społecznej oraz gry wpływów aktorów sceny politycznej (zwłaszcza prawicy z jednej strony, a ugrupowań tkwiących korzeniami w PRL z drugiej). Nawiasem mówiąc, przynajmniej teoretycznie nie jest też wykluczone zlanie się obu proponowanych języków – co chyba ma miejsce w różnych sytuacjach w b. Związku Sowieckim, gdzie postkomuniści, przyciągający ludzi wspomnieniem bardziej ustabilizowanego życia, proponują

32. Nawiązuję do wypowiedzi Przewodniczącego Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność”, Macieja Jankowskiego, z połowy grudnia 1994 r., a *propos* demonstracji grupy reprezentantów pracowników służby zdrowia polegającej na zbiorowej głodówce.



im jednocześnie szowinistyczną protezę. Miejmy nadzieję, że do tego jednak nie dojdzie (choć parę podobnych prób najnowsza historia Polski już odnotowała).

Wzmocnienie retoryki narodowej może jednak przyjąć także na skutek pojawienia się czynników nie mających związku z sytuacją społeczną – np. w wyniku zagrożenia zagranicznego (odpukać!), jakichś klęsk żywiołowych (odpukać!), intensywnej propagandy (odpukać!) czy innych nieprzewidywalnych okoliczności (odpukać!). Gdyby przyszło – może objąć bardzo szerokie pole ekspresji, w tym również rewindykacje ekonomiczne. Polskie społeczeństwo jeszcze nie ustrukturalizowało się politycznie po okresie PRL i z rozpatrywanego punktu widzenia jest mało ustabilizowane: prawdopodobnie może stosunkowo szybko zmieniać swoje nastawienie.

W każdym razie, nawet jeśli w tej chwili funkcjonuje w zmniejszonym natężeniu, retoryka narodowa jest w Polsce silnie zakorzeniona i przez to jest zawsze „pod ręką”. Dziś wciąż (ponownie?) mówi się „oni”. Trochę płynię to z przeniesienia obyczaju językowego z czasów komunistycznych (nawrotu doń?). Trochę owo dzisiejsze „oni” wyraża frustrację wyrosłą na tle pozornie paradoksalnego wywalczenia przez rewolucję robotniczą ustroju, który robotników nie pieści i mało słucha. Trochę wyraża zarysowane już po 1989 r. konflikty społeczne. Trochę jest reakcją na styl działania elity politycznej i dyskredytujące ją echa słyszane na dole. Jeszcze chyba nie wyraża natomiast ponownego odrzucenia państwa i jego elity poza nawias narodu.

Przyszłość pokaże w jakim kierunku będzie szła ewolucja. Pierwszą weryfikacją obrazu zarysowanego w niniejszym studium oraz, zarazem, pierwszym szkicem do rysowania obrazu w przyszłości, będzie język kampanii prezydenckiej przewidzianej na najbliższą jesień.

16 II 1995

Marcin KULA

## Jedyna prawda

Przeczytałem artykuł Zb. Florczaka pt. „Przemalowywanie portretu” (*Kultura* nr 3 z 1995 r.) i ogarnęło mnie prawdziwe zdumienie. Czyżby autor nie wiedział, że proceder przemalowywania obrazu historii – a zwłaszcza tej niedawno minionej – istnieje od czasów faraonów?

Już Totmes III bodajże cztery i pół tysiąca lat temu wymieniał głowy posągów swoich poprzedników na swoje...

Chrześcijanie wczesnego Średniowiecza masowo niszczyli dzieła sztuki Starożytności. W okresie Odrodzenia i Oświecenia niszczone katedry gotyckie, konkwistadorzy – niszczyli zarówno dzieła sztuki, jak i wszelkie dokumenty prekolumbijskiej Ameryki. Kalif Omar spalił Bibliotekę Aleksandryjską. A wszystko to w zbożnym zamiarze, żeby dobro mogło zwyciężyć zło, a jedyna prawda – fałsz i żeby obraz przeszłości stał się albo czarny, albo – zapomniany.

Takim „rozrywkom” ludzie oddają się więc od tysięcy lat, ale nie sądzę, żeby miało to dobrze świadczyć o tych, którzy je organizują. Co nie ma znaczyć, że ci, którzy – oburzeni na aktualną renowację wielowarstwowego już przecież obrazu – żądają żeby uznać za jedyną prawdziwą warstwę przedostatnią lub akurat sprzed trzeciej renowacji. To zawsze są bowiem igraszki hunwejbínów, którzy wiedzą lepiej i własne emocje uznają za instancję ostateczną.

A rzeczywistość nie bywa tylko biała, czy też tylko czarna. W każdym czasie jest jak łaciata krowa – i zależnie od osobistych doświadczeń i upodobań uczestników i obserwatorów wydarzeń bywa postrzegana jako biała w czarne łaty lub czarna w białe łaty. Owe doświadczenia zaś nie są tylko wspomnieniem tego, co było – ale i odnoszą się do tego, co widzimy dziś i



czego możemy się spodziewać. Co gorsza – tam gdzie jedni widzą kolor czarny, inni widzą biały.

Dopiero trochę większy odstęp w czasie pozwala na oceny bardziej wyważone, mniej historyczne. Ale i to nie zawsze\*.

Więc gdzie jest słusność i racja? Jak było „naprawdę”?

W jakiejś mierze i tak i tak. Ocena zawsze jest i będzie subiektywna. Byle tylko opierała się na faktach, których rozpoznanie i gromadzenie w pamięci (a do faktów należą również wygłaszane kiedyś poglądy) umożliwiała konfrontację różnych postaw i przekonań i próby wyciągnięcia wniosków. Na przyszłość – bo inne są bez sensu.

Rozumiałem jednak, że autor artykułu przyjmuje postawę odmienną – oburza się na to, że w opublikowanej dyskusji jej uczestnicy próbowali znaleźć to, co ich zdaniem mogłoby być oceną względnie sprawiedliwą – bez presji fobii i stereotypów. Chyba niesłusznie: lepiej jest, jeżeli ludzie próbują się od tej presji uwolnić, jeżeli chcą dojść do tego gdzie i w czym jest choćby częściowa prawda i słusność – a nie jeżeli do z góry znanej prawdy naciągają oceny rzeczywistości. Co znamy z praktyki wczorajszej i dzisiejszej.

Spróbujmy porównać dwa okresy.

Pierwszy – to lata 1945-1949.

Powrót do domów ludzi, uszczęśliwionych tym, że przeżyli. Zwykle bez dobytku – z najróżniejszych stron. Ciężar klęski Powstania i zrujnowanej Warszawy (dość powszechnie obciążano za to polityków, którzy nie umieli temu zapobiec – choć trudno powiedzieć, że mieli tu jakieś szanse). Brak zaufania do nowych władz – aresztowania i ataki na AK. W istocie – stan wojny domowej w niektórych rejonach Kraju. Przesuwanie granic i przesiedlenia – zjawisko zawsze obfitujące w dramaty (ale bez tego strach pomyśleć, co działoby się

\* Przypomnijmy sobie spory o ocenę ostatniego króla Polski. Współcześni oceniali go jako wroga „złotej wolności”, którego panowanie było znacznie gorsze od królów saskich – czyli czasów postrzeganych jako błogosławione. Niektórzy nawet, w obronie przeciw „tyraniu” króla zawiązali potem Konfederację Targowicką. Inni podkreślali (jak zresztą i on sam), że „siało ziarno”, które spowodowało przebudowę świadomości Polaków i umożliwiło przetrwanie narodu. Inni – twierdzili, że dopuścił do rozbiorów. Jeszcze inni – że miał od początku sytuację nie do opanowania, nie do wygrania politycznie i zrobił, co mógł.

Dyskusje trwają do dziś.

między Zbruczem a Bugiem – i wtedy i dziś).

Ale równocześnie – czas nadziei na zbudowanie czegoś lepszego niż Polska przedwojenna. Może nikłej – ale opartej na poczuciu własnej odpowiedzialności za wykorzystanie tej szansy. Do jej rozszerzania zobowiązani się czuli wszyscy. Również i ci ze Lwowa, czy Wilna, którzy przecież mieli okazję poznać bliżej to, co mogło zagrażać i u nas.

Dobrze pamiętam nadzieje i obawy – ale nade wszystko poczucie odpowiedzialności u wszystkich, których znałem. Może z wyjątkiem tych, którzy – jak jeden z moich kolegów, który trzy lata wcześniej, patrząc na płonące getto mówił: „Może to i nieładnie, ale lepiej, że Niemcy to za nas zrobią”. Ale on wyszedł z Brygadą Świętokrzyską.

Po czterech latach zrujnowana Warszawa miała cztery czynne mosty, Trasę W-Z – najwartościowszy architektonicznie i urbanistycznie fragment miasta spośród powstałych w ciągu ubiegłych 150 lat, odbudowany lepiej niż przed wojną Nowy Świat i Teatr Narodowy, wyraźną perspektywę realizacji uzdrowienia całego układu przestrzennego Miasta, z terenami parkowymi wzdłuż Wisły i nowym układem komunikacji – nie mówiąc o nowych zespołach mieszkaniowych.

Prócz tego była to perspektywa ustroju bez bezrobocia, z powszechną darmową oświatą i opieką nad zdrowiem oraz otwarciem awansu dla bardzo znacznego procentu mieszkańców, zwłaszcza z zacoferanej wsi.

I do tego dość rozsądnie zarysowany projekt gospodarki o trzech sektorach.

Czas ten skończył się około roku 1949 wejściem Polski i wszystkich krajów regionu w okres forsownej przebudowy według jednego, zadanego z góry wzoru i jednej, powszechnie obowiązującej prawdy.

Ale to już historia dalsza, o znanych skutkach. Jedna, powszechnie obowiązująca prawda zawsze przynosi podobne skutki.

I okres drugi 1989-1993. Też cztery lata. Wyrwanie się od zależności od ZSSR. Szansa na przebudowę gospodarki – od lat niewydolnej, likwidacji biurokracji, wolności wypowiedzi, otwarcia granic. Taki, pełny nadziei był początek.

A jakie efekty? Po tym początku przebudowa gospodarki dała bezrobocie sięgające 16% (trzecie miejsce od końca wśród narodów Europy). Kolosalne i rosnące różnicowanie



zamożności mieszkańców „we własnym domu”. Spadek produkcji. Niszczenie zakładów pracy (bo państwowe) – za pomocą polityki podatkowo-kredytowej. Afery bankowe i inne. Postępujący spadek pozycji kultury, oświaty, nauki, opieki nad zdrowiem. Budownictwo mieszkaniowe w stanie permanentnej klęski. Wszystko to na skutek przyjęcia „jednej prawdy” – wolnego rynku (którego zresztą nie ma) i „kapitalizmu”.

A do tego poczucie wzmagających się zagrożeń bezpieczeństwa, rosnących mafii. I świadomość pazerności i korupcji aparatu władzy, nowej klasy posiadaczy, Kościoła, a zwłaszcza – wszechobecnej obłudy.

A zaufanie do polityków? Przecież ci, którzy domagali się najgłośniej „państwa prawa” i tak dużo mówili o „ethosie” dali dwa popisy łamania prawa – na początku i na końcu swoich rządów. Ci, którzy odwołują się do „wartości chrześcijańskich” skupiają się na aktywnym szerzeniu nienawiści i ksenofobii. Ci, którzy mieli pilnować równowagi i spokoju – wyzyskują swoją pozycję dla destabilizacji i kompromitacji Kraju.

A przy tym, im głośniej mówią, że reprezentują „prawdziwe społeczeństwo”, tym bardziej rozbudowują bariery ochronne w postaci kuloodpornych samochodów i „ochroniarzy”.

Tego się już nie da zwalić na dzieło „komuny”. To jest dorobek nowej polityki, a zwłaszcza – nowego systemu wartości, nowych wpajanych codziennie wzorów postępowania, nowej ideologii. Część jej skutków stanowi obłęd reklamy, wydawnictw dla ćwierćinteligentów, import tandety. A także pochwała „przedsiębiorczości” i zwyczajnych kantów, byle w granicach prawa.

Symbole przestrzenne tego stanu też widać gołym okiem: „Cricoland” i dwie duże budy w centrum stolicy; szczyt bezguścia Warszawy – Hotel Sobieski. I kilka importowanych, technicznie doskonałych biurowców, wyglądających z reguły jak obce ciała w tkance miasta.

A przecież było można (pomyślawszy) zgadnąć, że to tak się skończy. Pamiętam, że kiedy słuchałem w telewizji Jeffreya Sachsa, to nie chciałem uwierzyć, że ktoś się nabierze na jego rady. Tak, jak w 1949 roku nie mogłem uwierzyć, że zamiast dyskusji o tym co by miało znaczyć u nas, w tamtym czasie, słowo „socjalizm” – przedstawiono nam tekst do wierzenia – mianowicie „Krótki Kurs Historii WKP(b)”. Znow więc

nastaje „jedna prawda”. Tyle, że odwrotna – żądająca „przemalowania obrazu”.

Ale w sumie nie należy wierzyć narzekaniom siedemdziesięcioletnich przeszło emerytów – jak Zbigniew Florczak i niżej podpisany.

Spytajcie raczej młodych ludzi – jak widzą swoje miejsce w Kraju? Swoje perspektywy życiowe? A nade wszystko – czy patrzą na Kraj jako pole swojej ODPOWIEDZIALNOŚCI za to, jaki będzie? Czy raczej jak na dżunglę, w której przeżyje pazerniejszy, który umie „zrobić interes”, czy wręcz – dać w łapę komu trzeba? Jakie są ich postawy generalne – ich NADZIEJE? Jak zwłaszcza widzą swoje OBOWIĄZKI?

Bo to w ich odpowiedziach zawarta będzie prawdziwsza perspektywa przyszłości – nie tylko dla nich, ale i dla Kraju.

Ale to już dalsza historia. Nieznana na razie.

*Jacek NOWICKI*

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

**KSIĘGARNIA POLSKA**

**Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria**

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja

Volkstheater

**Tel. i fax: (1) 52 63 114**

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.



## List z Wysp Sołowieckich do Paryża

Sołowki, 27 maja

Drugim, obok latopisów, gatunkiem literackim, z którego bierze początek pisana historia Rusi, są żywoty świętych. Monach Nestor i tutaj był pierwszy, a jego *Żywot Feodosja Pieczerskiego*, ojca ruskiego monasztwa, to arcydzieło literatury biograficznej, na wieki wyznaczające wzór gatunku. Akademię Lichaczow mówi, że jest to sposób opowiadania o człowieku tak, by pokazać tylko niektóre momenty jego życia, te węzłowe, kiedy człowiek osiąga „pełnię samo-wyrazu”.

Początki literatury biograficznej na Sołowkach sięgają pierwszej połowy XVI wieku. W modzie był wtedy styl „plecenia słów”. Epifanij Przemądry, mistrz tamtych lat, uczył, „że słowa muszą oddziaływać na czytelnika nie tylko swoją logiką, ale także obrazem, często tajemnym, jakby niedoświeconym; obrazami, które powstają ze splotu słów, niczym losy ludzi wyrzucone ręką przypadku...”

Niedawno na Wyspach Sołowieckich świętowano Dzień Pobjedy, sprzed pół wieku! Wykorzystując pretekst, odwiedzałem weteranów Wielikoj Otieczestwiennoj. Notowałem relacje, wspomnienia. Oglądałem fotografie. Chodziłem po domach, patrzyłem jak żyją. Czajem mnie częstowali, a czasem samogonem. Tutaj, na północnym skraju Imperium, weterani żyją w strachu, że im na własny pogrzeb pieniędzy nie wystarczy. Ich twarze, jak ikony, więcej mówiły, niż ich słowa. Często na twarzy odnajdowałem to, co próbowali zatrzeć słowami. Wtedy pomyślałem o żywocie jako gatunku, w którym najprościej o nich opowiedzieć. Na przykład Rykusow...

Siemion Pietrowicz urodził się we wsi Nowopietrowka, w biełgorodzkim obwodzie, w 1913 roku. Jego ojca wzięli na

wojnę, „niemiecką”, rok później. Słuch o nim przepadł. Nawet fotografii nie zostało. Ich wieś skolektywizowali w 1930. Kołchoz nazwali: *Sowieckij Put’*. Siemion już wcześniej służył za parobka. Dorobił się krowy, konia i, najważniejsze, fury, bo bez fury – chłop nie gospodarz. Ledwie się poženili z Jewdokią, a przyszło oddać i furę, i konia. Do kołchozu. Krowę pozwolili zostawić, i dzięki krowie przeżyli głód w 1933. Kołchoz wydawał wtedy po trzysta gram chleba, a i to nie zawsze. W 1935 wzięli Siemiona do armii, na Daleki Wschód, do generała Blüchera, który w 1938 został rozstrzelany z grupą Tuchaczewskiego, ale Siemiona to nie dotyczyło. On się na polityce nie wyznawał. On służył. Wtedy przy samolotach, nad jeziorem Chanka w Mandzurii. Wokoło góry, drobny las. Landszaft zupełnie inny, niż w jego stronach. Pełno Korejców, Kitajców, skośnookich, płaskich, jak z innego świata. Siemion rzadko wychodził z koszar. W tamtych czasach żyła dyscyplina, nie to co dziś. Tam nie widziałeś kropli alkoholu, teraz możesz zobaczyć cały pułk pijany.

Siemion wrócił z armii w 1938. – Trzydzieści jeden dób w cielęcym wagonie, żebyś pojął jak daleko byłem. W kołchozie nic się nie zmieniło: ten sam głód, ta sama bieda. Tylko Wierka podrosła, wszak minęły trzy latka. Dzięki służbie w armii Rykusow dostał sprawkę, dzięki sprawce – paszport. Mógł więc uciec od kołchozu, jak najdalej. Sprawka dawała swobodę. Wybrał Północ, kierunek, w którym w Rosji uciekali od jarzma: od tatarskiej niewoli, od samowoli pańskiej. W Karelii, nad brzegiem Białego morza, pracowali jego ziomkowie. W osiedlu Kiem.

W 1938 w Kiemi mieściło się Uprawlenie STON-a (Sołowieckiej Tiurmy Osobowo Naznaczenia), któremu podlegały tartaki na karelskim brzegu i więzienie na Wyspach. Siemion przyjechał do Kiemi w zimie. Od razu złożył papiery na służbę. Sprawdzali trzy miesiące. W marcu odprawili Rykusowa na Sołowki.

*Wochr* (wojenizirowana ochrana) składał się z wolnonajomnych oddziałów wojskowych GPU, oraz z błatnych, starannie dobranych przez naczalstwo. Wolnonajomnym płacili od stu do trzystu rubli miesięcznie. Do tego „pajok polarny” – specjalna racja żywnościowa, zawierająca zwiększone ilości słoniny, konserw i cukru. Więźniowie służący w *Wochrze* też dostawali „pajok”, plus piętnaście, dwadzieścia rubli. Różnili



się także czapkami: wolnonajomni nosili czerwoną gwiazdę, a więźniowie metalową odznakę z napisem *Wochr*. Siemionowi dali sotnię na początek. Latem przyjechała żona. Jesienią 1939 STON zlikwidowano. Ostatnich zeka wywieźli w listopadzie. Ponoć na Nową Ziemię. A na Wyspy przywozić zaczęli jun-gów. Tworzono szkołę. Rykusowie zostali, dobrze im tu było...

W 1942 Siemiona mobilizowali. Walczył. Wielekroć raniony. W zimie 1944, przy forsowaniu Narwi, kontuzjowany. Do końca wojny służył w ochronie przewozów towarowych. Zdemobilizowany w październiku 1945. Dnia Победы nie pamięta. Wrócił do rodzinnej Nowopietrowki, gdzie czekała na niego Jewdokia z trójką dzieci. Głodna zima 1945/46. Kołchoz nie dawał im chleba, bo przestali się liczyć za swoich. Swoim Rykusow był na Sołówkach. Tutaj go znali. Dlatego wrócił, najpierw sam, potem ściągnął rodzinę. Na Wyspach dawali wtedy po 800 gram chleba.

Później na świat przychodzą kolejne dzieci: Nadia, żona obecnej „głowy” sołowieckiej administracji, potem bliźniaki Nikołaj i Władymir. Całej szóstce dali wykształcenie. Wiktor i Władymir służą dziś w „organach”, Nikołaj jest dyrektorem jednego z tartaków na karelskim brzegu Białego morza. Córki wyjechały z mężami. Na Wyspach tylko Nadia została, żona Niebożenki.

Na pytanie, kiedy mu było na Sołówkach najlepiej, bez wahania rzucił: za łagru! – Wtedy w sklepie miałeś wszystko, mięsa jakich chcesz rodzajów, świeżej i wędzonej ryby w bród, i halibut, i łosoś, i warzywa z łagiernych parników, i pomidory, i ogórki, a resztę przywozili, prosto z Leningradu: cytryny, dynie, arbuzy, mandarynki, pomarańcze, morele, granaty, jabłka, gruszki, daktyle, ale wszyscy najbardziej lubili winogrona, które brali w sołowieckim sklepie całymi skrzynkami...

– To było nie życie, a raj – wtrąciła Jewdokia Jakowlewna.

– Wtedy wszyscy trud szanowali, dyscyplinę trzymano, nie to co dziś.

– Nie mieszaj stary, nie mieszaj się...

Mariusz WILK

P.S. Szestow pisze w *Apoteozie nieoczywistości*, że po przeczytaniu książki, powinna zostać w naszej pamięci tylko twarz pisarza.

W *Autobiografii na cztery ręce* najważniejsza jest dla mnie twarz jej autora – Jerzego Giedroycia.

## Prochy

### UPADEK DOMU LORISÓW

*The storm was still abroad in all its wrath...*

*The radiance was that of the full, setting,  
and blood-red moon...*

E.A.Poe: *The Fall of the House of Usher*

I

Oto mój zapis w dzienniku z czerwca-lipca 1977.

„Wyspy Eolskie koło brzegów Sycylii, czyli w języku poezji turystycznej Siedem Pereł: Stromboli, Panarea, Salina, Lipari, Vulcano, Filicudi, Alicudi. Dwa razy w tygodniu statek odpływa z Neapolu wczesnym wieczorem. Noc zapada wkrótce po wyminięciu Capri. Chwilę jeszcze w morskiej bruździe wlecz się czerwony ogon zachodu, potem pochłania go czerń czysta i absolutna.

Pierwszą wyłowioną z ciemności Perłą jest Stromboli, tuż przed świtem. Gdy statek zarzuca kotwicę, koniec nocy wygląda jak powolne odwijanie dnia z czarnych bandaży. Zwój po zwoju, łuska po łusce, gęsty mrok rozrzedza się opornie, z krateru wysuwa się i natychmiast cofa szybkim błyskiem język ognia, ogromnieją barki przewoźników, gaśnie latarnia morska na skalnym zębie obok wyspy. Teraz widać Stromboli wyraźnie. Od czarnego piasku na plaży, poprzez



białe plamy domów i zieleń o niezwykle bogactwie odcieni, przechodzącą miejscami w fiolet i żółć, do czarnego i łysęgo stożka wulkanu. Pierwsza Perła przypomina raczej wydobyty z dna morza głaz, zapis drażenia, obtaczania, ciosania, szarpania, cieniowania kolorami.

Drugą jest Panarea, cel podróży. Znacznie mniejsza, trzy kilometry długości, dwa szerokości, dwie i pół setki stałych mieszkańców, krajobraz klasycznie sycylijski: brunatne piargi żużlu, szaro-zielone płyty skał i *piante grasse*, tłusta roślinność kaktusowa przetykana jaskrawymi, gorączkowymi wypiekami kwiatów. Jediną metryką z przeszłości jest wioska prehistoryczna na Calaiunco, cyplu skalnym w kształcie kotwicy. Kolisty składaki z kamienia na skraju wysokiego urwiska, ziemia wypalona na proch, w dole szmaragdowe morze pokarbowane jak drżąca cynfolia, za plecami nagie różowe skały i osty o krwawnikowych kwiatach. W przewodnikach zaleca się turystom inną osobliwość, też o ukrytym posmaku „prehistorycznym”. Czym jest *alba lunare*, księżycowy świt, wiadomo nie tylko tutaj. Ale może tylko tutaj z taką cudowną pierwotnością błądy dzień wysnuwa się z poblądłej na niebie tarczy.

Poza sezonem życie wyspy toczy się dookoła trzech punktów: porcik-kościół-cmentarz. Na cmentarzu znalazłem nagrobek z napisem, który obejmuje pełny cykl. Panarejski rybak, „w rękach zawsze trzymał wiosło i sieć, czcił Boga, kochał życie i morze, umarł mając sto dziesięć lat”. W porcie ludzie czekają na statki, przed kościołem na jego otwarcie. Procesja w dniu patrona wyspy, Świętego Piotra, jest pochodem garstki rozbitków.

Od wielu lat skąpa ziemia na wyspie nie jest uprawiana, jeśli nie liczyć rzadkich ogródków warzywnych. Dawne winnice i półka uprawne zdziczały, zarosły chwastami, nie ma się nimi kto zajmować. Bardziej przedsiębiorczy mieszkańcy uciekli, na kontynent bądź za granicę. Zostali niezaradni, odkładając zarobione podczas sezonu pieniądze na bezczynną resztę roku. Wszystko sprowadza się z Sycylii lub z kontynentu, na wyspie wypieka się jedynie chleb. Ale i ci nawet co pozostali, wynoszą się w większości po sezonie na dorywcze sycylijskie saksy. Jesienią i zimą wyspa pustoszeje. W części gdzie mieszkam, między cmentarzem i wioską prehistoryczną,

dwie zaledwie rodziny oczekują cierpliwie wiosny. *La vita si ferma, tira solo il vento*. Życie zamiera, dmie tylko wiatr. Eolski wiatr”.

Mieszkalem wtedy u mojego florentyńskiego znajomego Lorisa Berardi, w jego domu *Villa Toscana* na niskim wzgórzu, które pozwalało z różnych okien ogarnąć całą wyspę i dokoła morze zszyte widnokręgami z wyprazonym za dnia popielatym niebem, wieczorem zaś i nocą aż do świtu powleczone czerwonym odbłaskiem księżyca. Loris przyjechał z Florencji do swojej willi chwilowo sam, jego rosyjska żona Marina wybrała się z dzieckiem do rodziny w Stanach i dopiero sierpień miała spędzić na Panarei. Żle znosił samotność, stąd skierowane do mnie zaproszenie. Przyjąłem je z radością, od dawna marzyłem o urlopie na którejś z Wysp Eolskich.

Poznałem Lorisa w roku 1975. Przyjechał do Neapolu z listem rekomendacyjnym naszego wspólnego przyjaciela Roberto, świetnego eseisty. Uderzyło mnie w tym liście jedno zdanie: „Pamiętaj, że oddawca kocha naprawdę literaturę, a to jest dziś więcej niż rzadkie; i postanowił odwiedzić Cię w Neapolu z tego właśnie powodu, obiecując sobie długą rozmowę”. Loris i Roberto zaprzyjaźnili się w Nowym Jorku, gdzie jako antyfaszystowscy emigranci spędzili siedem lat, od roku 1938 do końca wojny. Loris był moim dokładnym rówieśnikiem, skończyliśmy obaj pięćdziesiąt lat w maju 1969. Roberto był od nas starszy.

Mój gość znał słabo Neapol, pokazałem mu więc Świętą Klarę i Pinakotekę na Capodimonte, a potem zawiozłem go do Cumy. Tam, w pustej Grocie Sybilli, zaczął obszerniej opowiadać o sobie. Pochodził z zamożnej rodziny florentyńskiej, był najmłodszym synem, po śmierci ojca dziedzicem z dwoma braćmi wcale ładnej fortuny: baru w śródmieściu, ogromnej pracowni konfekcji damskiej i męskiej, domu za miastem. Konieczność zajęcia się z braćmi spadkiem odciągnęła go od ledwie zaczętych studiów na wydziale literatury. Nie miał żadnych określonych poglądów politycznych, tyle tylko że nienawidził przemocy. I w ogóle sławionej w



latach trzydziestych Siły. To zbliżyło go do antyfaszystów, w sposób powierzchowny jednak, bez żadnych powiązań organizacyjnych. I to skłoniło go w końcu do wyjazdu z Włoch, rok przed wybuchem wojny. Nie był do emigracji niczym przymuszony: ani nie angażował się politycznie, ani nie obejmowały go ogłoszone podówczas przez Mussoliniego (dość niechętnie) „ustawy rasowe”. „Właściwie – wyjaśnił, opuściwszy oczy – zadecydowało uczucie obrzydzenia. Przechodziłem któregoś dnia w Rzymie ulicą Po, gdzie znajdowało się Ministerstwo Kultury, słynny Minculpop. Wyszedł właśnie stamtąd poeta V.C., którego znałem dobrze z Florencji (bywał często w naszym domu) i podziwiałem jako poetę. Drżącymi rękami otworzył kopertę, wyciągnął z niej czek i wyraźnie odetchnął z ulgą. Celowo stanąłem przed nim bez słowa, nie byłem nawet zdolny do wydukania paru powitalnych słów. Na mój widok zamachał w powietrzu czekiem i powiedział z bladym uśmiechem: „Tak, tak, Loris, zapamiętaj sobie do czego nas zmuszają”. Zapamiętałem, dobrze zapamiętałem. W dwa miesiące później, we wrześniu 1938, wsiadłem w Genui na okręt do Ameryki”.

Ta historyjka świadczyła także o jego stosunku do literatury. Miał dziewiętnaście lat, od szesnastego roku życia literatura stała się dla niego czymś w rodzaju Kościoła. Wychowany w atmosferze obojętności religijnej, odczuwał potrzebę (jak to sam określił) „innego wymiaru”. Ulubionych pisarzy traktował trochę jak kapłanów. Nie były to najlepsze czasy dla takich jak on „wyznawców”. Wybitny poeta V.C. znalazł się tylko w długim, i wydłużającym się coraz bardziej, szeregu. Opisując młodego Lorisę dzisiaj, w roku 1994, nie potrafię opanować wzruszenia (i smutku) na myśl, że należał do ginącego plemienia czytelników. Czyli do ginącego plemienia poszukiwaczy „innego wymiaru”. Literatura przestała być przeżyciem. Książki w księgarniach są tylko towarem, który się lepiej czy gorzej sprzedaje; i o których nic nie wie księgarz, niegdyś wytrawny doradca i rozmówca zamiłowanych nabywców.

Okazało się szybko, że lubimy mniej więcej tych samych autorów i te same książki. Było coś dziwnego i równocześnie emblematycznego w scenie naszej rozmowy. Zdarzało się, że w godzinie południowej nie zaglądał nikt do Groty Sybilli,

jakby turyści obawiali się instynktownie pory „magicznej”, gdy mrok ogarniający siedzibę Wieszczki zderzał się na zewnątrz ze słonecznym szczytem. Siedzieliśmy obok siebie na kamiennej ławce na końcu podziemnego korytarza, gdzie według legendy rozlegał się najdonośniej głos sybillińskiej przepowiedni w słynnym *antro*, jaskini rąbanej w skale. Ilekroć tam bywałem – a na początku mojego pobytu w Neapolu przytrafiało mi się to często – ogarniał mnie niepokój, a może nawet lęk, i o mój kark ocierał się chłodny dotyk czegoś nieznanego, jak (podobno) działa nocą cmentarz na samotnych włóczęgów lub żałobników. Tym razem, gawędząc z Lorisem, nie odczuwałem tego, natomiast ktoś zdawał się tajemniczym węzłem łączyć nasze losy. I odruchowo obaj przyciszailiśmy stopniowo naszą rozmowę, nadając jej charakter prawie konspiracyjnego szeptu. „Tacy jak my – zaśmiał się – będą spychani do katakumb”. „Tacy jak my?” – odparłem echem. Ale wiedziałem naturalnie o co mu chodzi. Świat, coraz wyraźniej, nasyczał wszystko rutyną, przyzwyczajeniem, tak że powątpiewało się niekiedy, czy przetrwa tradycyjna przyjaźń, tradycyjna miłość.

Tego dnia wieczorem wyjechał do Florencji, z krótkim postojem w Rzymie na obiad z Robertem. Wiedziałem, że weszliśmy na drogę przyjaźni: krótszą lub dłuższą, prostą lub krętą, lecz zmierzającą do upragnionego przez nas obu celu. Ach, gdybym był przeczuł, jak bolesny miał być ten cel!

Moje dwa tygodnie na Panarei w roku 1977 – ostatni tydzień czerwca, pierwszy tydzień lipca – były przed południem pławieniem się w cudownym czystym morzu, po obiedzie siestą z nieudanymi próbami lektury, od zmierzchu (gdy opadał upał) do północy eksploracją wysepki. Była drobnym odpryskiem świata, jej urok tkwił w tej miniaturowości. Gdyby powulkaniczne dno morskie zdołało kiedykolwiek wyprodukować *maremoto*, trzęsienie morza z falami wysokimi jak nowojorskie drapacze chmur, Panarea zginęłaby na zawsze w otchłaniach. Wraz z willą Lorisę, choć może jej wieżyczka utrzymałaby się jeszcze chwilę nad skłębioną i kipiącą masą wód.



Wygląd *Villa Toscana* skojarzył mi się natychmiast, dzięki zauważonemu na nocnym stoliku Loris tomowi opowiadań Edgara Allana Poe, z domem Usherów, opowiadaniem tytułowym. Nie miała w sobie co prawda nic z posępnego Zamku, była jednym z owych mastodontów architektury końca zeszłego stulecia, ale jak w opowiadaniu Poe tkwiła w jej brzydkich, pretensjonalnych murach, kolumnienkach i blankach dziwna zapowiedź ruiny. Założyciel rodu Berardich, nowobogacki tokański po wykupieniu rozległej lecz zadłużonej posiadłości z rąk arystokratycznego bankruta (był w niej rządcą), zbudował tę landarę nie wiadomo dla czego akurat na dalekiej Panarei, gdzie przez długi czas nieliczni tubylcy traktowali ją niemal jak świątynię. W przewodnikach epoki wymieniano ją obok wioski prehistorycznej Calaiunco.

Loris pozwolił mi zamieszkać w wieżyczce, otoczonej tarasem; z jego tylnego skraju otwierała się trzypiętrowa przepaść, oddzielająca dom od pionowej ściany skalnej. W godzinach południowych wieżyczka zamieniała się co prawda w rozpalony piec u piekarza, ale potem wszystkie cztery otwarte okna dawały wystarczający przewiew, a nocą wręcz przyjemny chłód. Gospodarze – Loris i Marina – mieszkali na parterze w dużym pokoju pełnym półek bibliotecznych pod ścianami, obwieszonym obrazami i reprodukcjami. Obok znajdował się pokój ich dwunastoletniej córeczki Iriny.

Okrążenie wysepki nie wymagało wielu czasu. Ale nasza eksploracja wzdłuż i wszerz, po dzikich przekątnych nierzadko przez gęste chaszczce, z postojami nad głębokimi lochami w ziemi, z wizytami w domkach na dalszych obrzeżach, z godzinami trawionymi na obserwacji połowów ryb siecią i wędkami (sam wyciągnąłem z graciarni pod schodami willi dobrą jeszcze wędkę i wróciłem do namiętności mojego dzieciństwa i wczesnej młodości), nasza eksploracja, powtarzam, podobna była do wolnych wydechów ludzi zatrutych życiem w mieście. Czas włókł się w rytmie stawianych ostrożnie kroków, właściwie przestał istnieć, mierzony wyłącznie zmianami światła, nieba i kolorów w przyrodzie. Poczucie wyłączenia ze świata budziło nieustanny zachwyt, który można było wyrazić jedynie milczeniem. Milczeliśmy więc, poza zdawkowymi odzywkami, jakby niechęć do

rozmów należała tu do naturalnego porządku rzeczy. Wstępowaliśmy niekiedy do ubogiego baru na przystani, żeby wypić kawę i posłuchać panarejskich plotek, tak nieciekawych, że urzekały swoją nudą jako dowodem uspienia (błogosławionego) wysepki. Jadaliśmy obiady w „restauracji” blisko plaży: przy chwiejnym stoliku wciąż to samo, *pesce-spada* i butelka białego wina. Zachodziliśmy chętnie na cmentarz: nigdy w życiu nie widziałem cmentarza tak nasyczonego atmosferą pogody i wiecznego odpoczywania.

Wieczorem zapalały się światelka w przybrzeżnych domkach, zbudowanych na ogół przez letników z kontynentu. Mijając je, widzieliśmy na stołach lampy naftowe lub lichtarze, jak w *Villa Toscana* (akumulatory używano do podtrzymywania lodówek). To letnicy, przeważnie zamożni, walczyli przeciw możliwości elektryfikacji Panarei, wywołując gorycz a nawet gniew w sercach tubylców. Przyjeżdżali tu na lato w poszukiwaniu tej „pierwotności”, która ciążyła stałym mieszkańcom.

Wieczory, przeważnie aż do północy, spędzaliśmy wśród skał i kamiennych kopczyków Calaiunco, wioski prehistorycznej, której resztki przechowywały się raczej w umysłach archeologów, niż w rzeczywistości. Stamtąd morze, lekko zaróżowione pod ogromną latarnią księżyca, wyglądało do granic martwoty, stawało się zjawiskiem, o jakim czyta się w bajkach czy w opowieściach mitologicznych.

*Alba lunare*, księżycowy świt, oglądałem ze statku, który miał mnie zabrać do Neapolu. Loris czekał na przystani do podniesienia kotwicy. Pozostały mu trzy samotne tygodnie do przyjazdu żony i córeczki. „Boże Narodzenie w Florencji!”, krzyknął. „Boże Narodzenie w Florencji!”, odkrzyknąłem jak echo. Wracałem do domu w stanie euforii, szczęśliwego odurzenia.

## II

W połowie grudnia tego roku (1977) wyruszyłem, zgodnie z daną obietnicą, do Florencji. Po drodze zatrzymałem się w Rzymie i oczywiście pierwsze kroki skierowałem do mieszkania Roberta i jego żony. Łączyła nas długa przy-



jaźń, prawie od dnia mojego osiedlenia się we Włoszech. Przyjaźń intelektualna chciałoby się powiedzieć, gdyby „intelektualizm” i jego pochodne nie były tak zeszmacane i podszyte zidioceniem postępowym (przymiotnik można odnieść tyleż do paraliżu postępowego, co do „progresizmu”). Zadawałem sobie nieraz pytanie, jak Roberto zdołał zachować taką czystość i prawość myśli, serca, duszy (dziś wypychanej uporczywie z obiegu) w nierozzerwalnym związku z inteligencją wysokiej próby. Odpowiedzią prawdopodobnie byłby odruch, więcej nawet: natychmiastowy w każdym wypadku impuls na podobieństwo Simone Weil, ucieczki z obozu zwycięzców na stronę pokonanych. Odruch wykarminiony przez nieufność do Wielkich Systemów, Doktryn i Ideologii; i przez potrzebę „kosmicznej *pietas*” w obliczu metafizycznej nieprzenikalności świata. Nazywał nasze czasy „epoką złej wiary”, nihilistycznej reakcji na wszelkie normy i nakazy moralne. Jeśli „dobra wiara” jest dokładnym przeciwieństwem „złej wiary”, to jego postawa była otwarciem na wszystko co oparte na jasnym i uczciwym rozumowaniu, oraz na nieustannym dążeniu do prawdy przy maksymalnej szczerości uczuć.

Uważałem go (z wzajemnością) za bardzo bliskiego przyjaciela, w naszej przyjaźni była wręcz domieszka braterstwa, ale nie widziałem w nim mojego mistrza. Mistrzem był dla Lorisa, który ze swoim pragnieniem wyznawstwa nadawał się na ucznia. Ja miałem już rozmaitych mistrzów w dalekiej i bliższej przeszłości. Natomiast cieszyła mnie świadomość, że mój nowy przyjaciel był uczniem Roberta, gdyż nie należąc do cechu pisarskiego, miał cenną zaletę bezinteresowności i stałego dystansu. I – czemu to ukrywać? – w podświadomości, jak teraz sobie uprzytomniam, liczyłem na podzielenie się nim z Robertem; upływ lat bowiem rozbudzał i we mnie nieśmiałe aspiracje mentorskie.

Przy obiadowym stole i później w fotelach przy kawie Roberto i jego amerykańska żona Ruth opowiadali mi, jak poznali Lorisa i jak się z nim szybko zaprzyjaźnili. W Nowym Jorku włoscy emigranci antyfaszystowscy (włoska emigracja zarobkowa, w większości zamerykanizowana, była „prorządowa”) zbierali się wieczorami w klubie amerykańskich *radicals* w dzielnicy Queens. Któregoś wieczoru zjawił się tam Loris.

Z początku przyglądano mu się podejrzliwie, zwłaszcza że milczał i przysłuchiwał się zbyt jakby uważnie rozmowom (a nie brakowało w Nowym Jorku agentów policji przystanych z Rzymu), ale za drugim razem wmieszał się do dyskusji. Mówił jasno, sensownie, z przejęciem, analizował nastroje swoich rówieśników w Florencji, ostrzegał przed tworzeniem „antyfaszystów profesjonalnego”, kładł nacisk na naturalny opór w postępowaniu i myśleniu. Swoją przyjazd do Stanów uważał za akt słabości, mógł z powodzeniem zostać i pracować w Florencji, nie mógł natomiast znieść rosnącego chamstwa faszystowskiego, epidemii wulgarności i umyślnego prostactwa. Wpatrzeni w ordynarnego (i z natury i na pokaz) *Duce* oraz w jego przyboczną drużynę, Włosi snobowali się na rzekomą „ludową bezpośredniość”, nawet w zamożnych domach mieszczańskich i w arystokratycznych salonach. Pewna duchowa, instynktowna elegancja, połączona ze wstrętem do programowej i wrzaskliwej agresywności, przechowała się – częściowo przynajmniej – wśród ludzi naprawdę prostych z nizin społecznych. Ludzie subtelni ukrywali swoją subtelność, ludzie wykształceni wstydzili się swojego wykształcenia, duchowni zdawali się zapominać o swoim powołaniu. Faszystowskim „karnym szeregiem”, „oceanicznym wiecom” zalewającym place, coraz powszechniejшему „życiu mundurowemu”, towarzyszył pęd do wyłamania się z tradycyjnych reguł ludzkiego współżycia.

Loris wzbudził natychmiastową sympatię, polubili go wszyscy. Dostawał jeszcze wtedy przekazy pieniężne z domu, które urwały się niebawem z woli władz włoskich. Znalazł wymarzoną choć kiepsko płatną posadę w międzynarodowej księgarni. Tam spotkał uroczą Marinę, z rosyjskiej rodziny, której udało się uciec za granicę po rewolucji i przez Niemcy i Francję dotrzeć do Stanów. Żył jeszcze tylko rodzeństwo Mariny, brat w wojsku amerykańskim, siostra pielęgniarka w szpitalu w Chicago. Marina przerwała, jak Loris, studia uniwersyteckie na wydziale medycyny, nie miała ich z czego opłacać. Nauczyła się produkować wzorzyste tkaniny, malowane talerze i sztuczną biżuterię. I to było jej niezłym źródłem utrzymania. Utykała od urodzenia, co ją uchroniło od służby wojskowej po przystąpieniu Ameryki do wojny. Była i jest dalej naprawdę uroczą, powiedziała żona Roberta.



Było i jest dalej przyjemnie patrzeć (dodała) na tę zakochaną parę, Lorisa i Marinę. Córeczka urodziła im się, w Florencji już, późno: mieli oboje pod pięćdziesiątkę.

Marina, żona Lorisa, była rzeczywiście urocza. I rzeczywiście sprawiało przyjemność przyglądać się tej parze, wciąż zakochanej wzajemnie i czulej po blisko czterdziestu latach małżeństwa. Nie dostrzegało się utykania Mariny, tyle tylko że męczyło ją wyraźnie chodzenie i musiała często przysiądać. Twarz miała śliczną, mimo wieku świeżą, i ogromne smutne oczy, słodkie równocześnie jak w tokańskich malowidłach Madonny. Problemem była dwunastoletnia córeczka Irina, ale o tym później.

Dom rodziny Berardi, solidny chłopski dom z kawałkiem pola, sadem i małą winnicą, znajdował się za miastem na Monte Oriolo, w pobliżu Pian dei Giullari, gdzie niegdyś miał letnią rezydencję wielki historyk florentyński Guicciardini. Trudno było wprost uwierzyć, że wystarczyło dziesięć minut samochodem, by z zatłoczonej zawsze Florencji przeskoczyć w klasyczny krajobraz Toskanii, o łagodnych wzgórzach i drogach wysadzanych cyprysami; nasyceni ciszą, zimną znieruchomiały i przezroczysty, podobny do rysunku na szkle.

Bracia Lorisa wynieśli się do miasta, stał się więc panem całego domu rodzinnego pod Florencją (bracia oddali mu również panarejską *Villa Toscana*). Byli oboje szczęśliwi. Loris z dumą pokazywał swoją bogatą i ciągle wzbogacaną bibliotekę. Marina w sezonie wyżywała się w sadzie i winnicy, a nawet próbowała dobierać się (z pomocą chłopów z sąsiedztwa) do kawałka uprawnej ziemi. Prócz tego w pokoju na piętrze urządziła swoją pracownię robót ręcznych. Zdawało się – i takie było moje pierwsze wrażenie po przyjeździe w wilię Bożego Narodzenia, – że nie ma chmurki na rodzinnym niebie.

Była, i to bardzo ciemna, mała lecz naładowana błyskami i gromami. Irina, córeczka Lorisa i Mariny, urodziła się z wadą słuchu. Nie była głuchoniema, procent zachowanego słuchu wystarczył, by mogła słyszeć gdy się do niej mówiło

bardzo wolno i przy świetle, dziennym lub sztucznym, pomagała sobie bowiem lekturą warg mówiącego; i by mogła sama mówić, choć głosem gardłowym, dobywającym się jakby z dna studni. Natomiast częściowe kalectwo – i to były owe błyski i gromy – utrzymywało ją w stanie ciągłego rozdrażnienia i agresywności. A jej rodziców wprawiało w stan czujności, samoobronnej i bezsilnej, pełnej lęku i poczucia winy, jakkolwiek niczego nie zawinili i kochali jedyne dziecko przesadną aż miłością. O tym wszystkim nie wiedziałem przed przyjazdem do Florencji, ani Loris na Panarei, ani Roberto i Ruth w Rzymie, nie uznali za potrzebne uprzedzić mnie o niepełnosprawności dziewczynki. Która była tak śliczna, tak harmonijnie łączyła dwie urody, rosyjską i tokańską, że nie mogłem od niej długo oderwać oczu, kiedyśmy usiedli do wigilijnej kolacji. Tym bardziej szokowały mnie jej rzadkie, krótkie, trochę gniewne odzywki. W zasadzie wołała milczeć, co dowodziło że miała głęboką, bolesną świadomość swej ułomności.

Stosunki Lorisa umożliwiły posyłanie jej do zakonnej szkoły, gdzie sadzano ją w pierwszej ławce i nie żałowano jej szczególnej, bardzo troskliwej uwagi, bez protestów ze strony koleżanek. Lubiano ją, ale niewiele to pomagało. Atmosfera w florentyńskim domu była ciężka i wciąż napięta, dopiero późnym wieczorem, gdy Irina wynosiła się do swojego pokoiku obok pracowni matki, mogliśmy w trójkę rozmawiać na dole z uczuciem odprężenia.

Znałem nieźle Florencję, ale nie uśmiechało mi się samotne łożenie po mieście, zwłaszcza w okresie świątecznym. Loris był mimo świąt zajęty, Marinę trudno było prosić o towarzyszenie, pamiętając o jej utykaniu. Postanowiłem codzienne spacerować proponować ich córeczce. Byli zdumieni i szczęśliwi, gdy zgodziła się bez chwili namysłu. Nie zauważyli, albo nie chcieli zauważyć, że zależało jej przede wszystkim na oderwaniu się od rodziców. Zresztą, jakież miała znaczenie prawdziwa przyczyna! W moim umyśle (i może sercu) wykluł się już zamiar zdobycia przyjaźni tej szorstkiej, opryskliwej, wiecznie najeżonej dziewczynki. Liczyłem na jej powolne odtajanie, moim punktem honoru stało się rozbicie otaczającej ją skorupy.

Loris podrzucał nas rano samochodem do śródmieścia,



wieczorem miał nas zabierać do domu z umówionego miejsca, codziennie innego. Obiady przewidziane były w restauracjach.

Była łagodna zima florentyńska, nie słoneczna lecz rozjaśniona białym, jaskrawym światłem. Chodzenie po takim mieście jak Florencja jest nieprzerwanym pasmem momentów zachwyty, pod wieczór kurczy się do minimum pojemność odbioru, i można już tylko opaść na krzesło w kawiarni i przymknąć zmęczone oczy. Każde oglądane po raz któryś miejsce – kościół, muzeum, pałac, fragment ulicy – wydaje się przez chwilę zobaczonym po raz pierwszy. I za każdym razem bije serce, jak gdy ukazuje się nagle po latach czyjaś ukochana twarz, zmieniona niby, trochę postarzała, a przecież gdzieś pod spodem znieruchomiła w swoim dawnym wyrazie, który niegdyś rozniecił miłość i może ją rozniecić na nowo. Spacerzy nabierają w końcu charakteru brodenia wśród rozsypanych hojną ręką skarbów. Złapaniem tchu, przemyciem wzroku, są częste uskoki nad Arno. Rzeka, tak groźna w okresach powodzi bądź tylko przyboru wód, ma w sobie połyskliwą miękkość, podobną do kojącego falowania tokańskich wzgórz.

Dodatkową przyjemnością w tym włóczeniu się po mieście było to, co normalnie jest raczej odstręczające: tłumy turystów. Radość sprawiało mi przepychanie się na placach i ulicach, wspinięcie się na palce w dalszych rzędach, by lepiej posmakować ołtarz czy fresk w kościele, obraz w muzeum, inkrustację starej bramy w pałacu. I podnieść do góry Irinę, by mogła obejrzeć to wszystko wraz ze mną. Kto wie, czy przełamywanie lodów w czasie spacerów z dziewczynką nie dawało mi największej satysfakcji. Bo zbliżyła się do mnie szybko, spoufaliła się nawet, szukając mnie wyciągniętą ręką w tłumie, prosząc o podniesienie przed drogocennymi zabytkami. Śmiała się niekiedy (a jej rodzice ubolewali, że nie zna i nie chce znać śmiechu), co prawda głębinowym i głośnym śmiechem, z dźwiękami przypominającymi zgrzytanie nożyka na szybie, ale dla mnie, jej towarzysza i opiekuna w florentyńskich peregrynacjach, przyjaciela jej ojca i niebawem przyjaciela jej matki, był to śmiech upragniony. Jej rodzice nie wierzyli prawie moim wieczornym sprawozdaniom ze spacerów. Gdyż – rzecz dziwna – kończyło się to wszystko

po przekroczeniu progu w domu na Monte Oriolo. Irina przybierała swą postać „domową”, czyli tak przykrą jeśli nie bolesną dla rodziców. Co więcej, zmieniała także stosunek do mnie, jak gdyby do niczego nie zobowiązywały oznaki przyjaźni za dnia w mieście. Udawałem, że tego nie dostrzegam, było mi jednak trudno zaprzeczyć w wieczornych rozmowach z jej rodzicami, że to dla nich rezerwowała całą swoją „kolczastość” (ich określenie).

Zbliżał się koniec mojego pobytu w Florencji. Ostatniego dnia rano pojechałem z Iriną do *Santa Maria del Carmine*. Siedzieliśmy długo, bardzo długo, przed freskiem Masaccia *Święty Piotr uzdrawia chorych swoim cieniem*. Gdy podniosłem się do wyjścia, przytrzymała mnie ręką. I wtedy dopiero ujrzałem w jej oczach łzy. Nie, nie płakała. Wyraz twarzy był zacięty, zły, nie licował z rozmarzonymi, załamwionymi oczami. Loris, który miał blisko kościoła swoją pracownię, przyszedł po nas, jak było umówione, wkrótce po wybicie południa przez dzwony kościołów florentyńskich. Tego dnia wróciliśmy na obiad do domu. Jej oczy obeschły, odsunęła się ode mnie na tylnym siedzeniu samochodu, nasze zbliżenie w ciągu tych dwóch tygodni wydało się naraz zwykłym urojeniem. Natychmiast po powrocie do domu odmówiła udziału w obiedzie, pobiegła do swojego pokoiku na piętrze, zamknęła się w nim na klucz, i nie pożegnaliśmy się nawet przed moim wyjazdem na dworzec. Loris dał mi na drogę prezent. Wstydził się jakby, prosił abym go rozpakował w pociągu. I w pociągu delektowałem się piękną edycją *The Fall of the House of Usher* E.A. Poe w oryginale, w przekładzie włoskim Loris (tego zapewne się wstydził) i nakładem własnym Loris, z rysunkami nie znanego mi artysty z lat dwudziestych naszego stulecia, uderzająco zbliżonego do Kubina, autora *Die andere Seite* (podaję tytuł oryginalny, nie wiem bowiem czy *Tamtą stronę* przełożono na polski).

### III

Lektura przekładu Loris (wzorowego!) była tylko odnowieniem w mojej pamięci *Upadku* czy *Ruiny* (włoski tytuł posłużył się słowem *La Rovina*, ruina, zamiast *La*



*Caduta*, upadek) domu Usherów. Czytałem *Upadek* wielokrotnie w latach zafascynowania Edgarem Allanem Poe, mojej – jak żartowali przyjaciele – „poemaniu”. I uważałem go za jedno z najlepszych opowiadań wielkiego pisarza amerykańskiego. Muszę jednak przyznać, że mój zachwyt był instynktowny, nie podbudowany analizą *Domu Usherów*, był słowem czymś w rodzaju oceny kiperą, który chwali smak wina po paru łykach, nic nie wiedząc albo wiedząc bardzo mało o sekretach jego plantacji i produkcji. Dlatego podarowany tomik zaskoczył mnie podwójnie: przekładem Lorisą i jego krótkim, trzystronicowym posłowiem.

Nie podejrzewałem takiej subtelności i wnikliwości u tego „niepiśmiennego” (jak o sobie mówił) miłośnika książek. Króciutki esej dawał zwięzły obraz pisarstwa E.A. Poe i wychodził *poza*, w rejony literatury której, być może, nowelista i poeta amerykański był jednym z ojców. Najpierw skrzyżowanie, więcej: sprzężenie, precyzji opisu (tła, postaci, wypadków) z dążeniem do abstrakcyjnej wymowy utworu. „W przełożonym przeze mnie po amatorsku opowiadaniu – pisał Loris – widać na pierwszym planie nieco upiorną co prawda, lecz wyraźną konkretność osób i krajobrazu. Ale nie są one celem samym w sobie, zasłaniają swoją istotę, czy swoją duchowość, nie poddając się zwykłym opisom realistycznym. Bohater i jego siostra-bliźniaczka, dom Usherów odbity w stawie, ocierając się o kondycję ludzką, o nieznane wyroki losu, przestają naraz należeć do rzeczywistości dotykanej, zamieniają się w zjawy samych siebie”.

Loris posuwał się dalej, odkrywał dalekie pokrewieństwo między Poe i Kafką. Czy dom Usherów nie był Zamkiem, czy Roderick i Lady Madeline nie żyli w cieniu wyroku skazującego jak K.? Loris przywiązywał wielką wagę do zdania Kafki z *Procesu*: „Czytał pan gdzieś pewnie, że wyrok skazujący człowieka zapada często w przypadkowym słowie wypowiedzianym przez przypadkową osobę w jakimś przypadkowym czasie”. Poe jednak miał istotnie obsesję „wyroku”, natomiast nie uznawał jego „przypadkowości”. Z drugiej strony w opowiadaniu nieobecny jest Bóg. Więc? Wyrok rośnie w człowieku z roku na rok jak dziedziczna śmiertelna choroba; choroba całego rodzaju ludzkiego. Aż do momentu, w którym wszystko się rozpada: w gruzach leży

dom Usherów, Lady Madeline pociąga za sobą w agonii brata, rażonego atakiem strachu. Oboje razem umierają. Narrator opowiadania ucieka przerażony, lecz czy zdoła uciec od swego losu? Czy zdoła uciec od porywistego wiatru, złowróżbnego księżyca w pełni, ruin domu pochłanianych przez dookolne bagna? Poe, według Loris, był poetą nieuchronnego upadku dzieł ludzkich i duchowego raka drzemiącego i potem szybko dojrzewającego w duszy człowieka. Zanim to chyba zgeneralizował przełożone przez siebie opowiadanie. W dorobku pisarza były i pokrewne i odmienne.

Generalizując zaś zbyt *Upadek domu Usherów*, jak gdyby był summą twórczości E.A. Poe, w kilku zdaniach nadał opowiadaniu, w sposób dla mnie jasny choć nie łatwy do wskazania palcem, charakter niezmiernie osobisty. Nie umiałbym powiedzieć, na czym to wrażenie polegało. Może odżyło moje skojarzenie *Villi Toscana* na Panarei z tomem opowiadań E.A. Poe na nocnym stoliku Loris? A może zarysował się teraz z większą jaskrawością majak wieczorów florentyńskich z Mariną i Lorisem; dziwne uczucie, że są bardziej rozkochanym w sobie bez granic rodzeństwem, niż małżeństwem? W ich miłości, w ich wzajemnej czułości tkwiło coś specjalnego, nie spotykanego w stosunkach męża i żony. Przypisywałem to ich bliźniaczemu podobieństwu, nawet fizycznemu.

#### IV

W następnych trzech latach nasz kontakt urwał się prawie całkowicie. Nie wiedziałem, co było tego przyczyną. Wiedziałem tylko, że przypadkowe i krótkie spotkanie w Rzymie odsłoniło przede mną Lorisę nie znanego dotąd, zamkniętego, oschłego, nieskorego do rozmowy w dawnym duchu przyjaźni. Spieszył się, wymijająco odpowiadał na pytania, wyższy ode mnie patrzył przed siebie ponad moją głowę. To spotkanie odbyło się w kawiarni na *Piazza del Popolo*, pożegnał się szybko i wybiegł z niej, byłem pewien że jego pośpiech był udawany. Nie odzywał się telefon w obu ich domach, w ciągu roku w Florencji, latem na Panarei. Oba ogłuchły i zaniemówiły. Raz zatelefonowałem do jego florentyńskiego biura. Odpowiedział i wymówił się natychmiast



brakiem czasu. Roberto i Ruth mieli identyczne doświadczenia. Coś złego zaszło w życiu Lorisa i Mariny. Zachodziliśmy w głowę co.

Poznaliśmy prawdę, gdy było już za późno na jakąkolwiek przyjacielską radę, pomoc, interwencję. I poznaliśmy ją nie z jego i Mariny ust, lecz od braci Lorisa.

To oni wystąpili z inicjatywą spotkania w Rzymie u Roberta i Ruth, prosząc żebym i ja był na nim obecny. Za zgodą Lorisa. Spotkaliśmy się w maju 1980.

Bracia Lorisa, opanowani, rzeczowi, przesadnie ugrzecznieni i trochę skrupowani wizytą, „ludzie interesu” poza sferą zainteresowań brata, byli jednak do niego bardzo przywiązani i w jakiś sposób dumni, że miał „takie” właśnie zainteresowania i „takich” przyjaciół. Ich relacja (bo od niej zaczęli) była zwięzła, ścisła i nie wymagała stawiania po drodze pytań dodatkowych. Dopiero po jej zakończeniu otwierało się miejsce dla ewentualnej „narady”.

Stan Iriny pogorszył się wiosną 1978 do tego stopnia, że za radą włoskich lekarzy (głównie wybitnego specjalisty z Padwy) postanowili zawieźć ją do sławnego profesora w Bernie szwajcarskim. To znaczy, jej wada słuchu nie zmieniła się na gorsze, ale dziewczynka stała się absolutnie *intrattabile*, zarówno w domu, jak w szkole. Włoskie słowo, na które bracia Lorisa kładli nacisk, oznaczało po prostu, że z dnia na dzień rozluźniały się albo pękały nici wiążące jeszcze Irinę z otoczeniem. Zamykała się w sobie, *si chiudeva in sè*, w szybkim tempie; istniała groźba, że całkiem zaniemówi, choć nie zmieniał się fizjologicznie procent posiadanego przez nią słuchu. Wiele wskazywało na to, że chciała, sama chciała, powodowana desperacją, odciąć się od świata; wypadek niezmiernie rzadki, w praktyce unikalny, skoro z reguły częściowo głuchoniemi robią uparte, kurczowe wręcz wysiłki zaczepienia się o świat. Bezradni i zrozpaczeni rodzice mieli uczucie (jak Loris raz powiedział braciom) przyglądania się tonącej w wirze jedynaczce, której nie można podać ręki. Wtedy usłuchali sugestii padewskiego specjalisty: może jednak sławny szwajcarski profesor podsunie jakieś remedium. Postanowili sami dźwignąć tę sprawę, bez żadnych rodzinnych czy przyjacielskich namów lub ostrzeżeń; odcięli się od świata, jak ich córka.

Berneński profesor, najwyższy autorytet w dziedzinie chorób słuchu, poddał Irinę z pomocą swoich asystentów dwudniowym badaniom i analizom. Znosiła to posłuszna, gotowa nawet do zgody na niektóre dość bolesne zabiegi, cały czas z iskierkami nadziei w oczach, niekiedy z ujmującym i ufnym uśmiechem. Werdykt końcowy profesora, w rozmowie z rodzicami i w obecności dziewczynki (wymogła tę swoją obecność mimo protestów profesora) brzmiał następująco: tak wysokie jak u niej defekty słuchu stały się kilka lat temu przedmiotem projektów zastępowania martwych nerwów mikroskopijnymi płytkami elektronicznymi; cała trudność polegała od pierwszej chwili i polega dalej na stworzeniu instrumentów operacyjnych, precyzyjnych i niewidocznych dla gołego oka; nie udało się ich dotąd stworzyć w bezbłędnej postaci, ale są lekarze w Paryżu i w Sztokholmie gotowi do operacji już obecnie, przy dużym stopniu ryzyka; w razie niepowodzenia pacjent może stracić posiadany procent słuchu, czyli ogłuchnąć zupełnie. On, berneński profesor, nie podejmuje tego ryzyka, czeka aż mikroskopijne narzędzia operacyjne dawać będą stuprocentową gwarancję należytego wmontowania płytki w martwy nerw. Badania i analizy uszu Iriny przeprowadził, licząc na możliwość interwencji paliatywnych, gdyby wchodziła w grę stosunkowo niska wada słuchu. Niestety, wyniki okazały się niepomysłne. Pozostaje zatem alternatywa: albo czekać – nie wiadomo jak długo – wraz z profesorem F. na absolutnie pewną operację w Bernie; albo zaryzykować w Paryżu czy w Sztokholmie. Zapisał odpowiednie adresy w notesie Lorisa.

Operacja w Sztokholmie nie powiodła się, Irina wyszła z niej zupełnie głucha. Nie utraciła jednak całkowicie tych umiejętności, jakie posiadała przed operacją. Więc wpatrując się w wargi mówiącego, mogła go z grubsza zrozumieć; mogła też nadal mówić sama, tyle że głosem jeszcze bardziej gardłowym i studziennym. Ale świadomie pogrzyżyła się w całkowitej izolacji. Odmówiła dalszego chodzenia do zakonnej szkoły. Żyła (według braci Lorisa) z patrzącymi lecz nie widzącymi oczami, poza wszelkimi związkami rodzinnymi. Rodzice drżeli bezustannie, że „zrobi sobie coś złego”. Postanowili na początku lipca pojechać z Iriną do pana-rejskiego domu. Loris, pamiętając o tym jak w czasie krót-



kiego pobytu w Florencji potrafiłem nawiązać z dziewczynką pewien kontakt, choćby skromny, prosił mnie bym w lecie spędził jakiś czas na Panarei.

„Narada” po relacji braci Lorisa była więc krótka. Nie było o czym dyskutować. Po paru jeszcze drobnych wyjaśnieniach zapadło smutne milczenie. Przerwałem je, obiecując że zorganizuję sobie tak wakacje letnie, by sierpień spędzić w *Villa Toscana*.

## V

Ten sierpień był dla mnie ciężką przeprawą. Początkowo Irina wychodziła ze mną rano na plażę, wynajmowaliśmy łódkę i wypływaliśmy na pełne morze. W upale należało ciągle wskakiwać z łódki do wody, żeby uniknąć udaru słonecznego. Ilekroć bardzo dobrze pływająca dziewczyna odbijała się daleko od łódki, towarzyszyłem jej jak strażnik. Bywało że drażniła się ze mną i uciekała, na ogół jednak nie miałem z nią kłopotów. Natomiast nie było sposobu na przełamanie jej psychicznych oporów, wypadało się pożegnać z dawną florenetyńską zażyłością. „Zamknęła się w sobie” także dla mnie. Rodzice przed południem zostawali w domu, wybierali się nad morze późno po południu, gdy ja i Irina spaliśmy po długiej kąpieli; ja w wieżyczce, ona w swoim pokoju albo na tarasie.

Miała wtedy piętnaście lat, natura wynagrodziła jej fizyczne kalectwo. Była dorosłą już panną, bardzo przystojną i rozrośniętą jak młoda kobieta. I miała świadomość swojej urody i swojej fizycznej dojrzałości. Rozpogadzała się przelotnie, lecz bez uśmiechu na twarzy, gdy biegały za nią spojrzennia chłopców na plaży.

Szczególnie uciążliwe były wspólne wieczory. Ponieważ nie jadaliliśmy obiadów, kolacyjny stół był jedyną okazją do spotkań całej czwórki. Nie wiedzieliśmy – Lorisowie i ja – jak się zachowywać. Rozmowa w trójkę, bez zwracania uwagi na Irinę, wypychała ją natychmiast po kolacji do własnego pokoju. Próby obudzenia jej ciekawości i jej współuczestnictwa, przez powolne tłumaczenie wszystkiego o czym przy stole była mowa (celowała w tym Marina), nie tylko nie dawały rezultatów, ale powodowały jej uszczywnienie: siedziała

z pochyloną głową nastroszona, jakby na brzegu krzesła, jakby gotująca się już do odejścia. Prawdę powiedziawszy (choć nikt z nas nie powiedziałby jej na głos), nie byliśmy w stanie powstrzymać westchnienia ulgi na widok jej wstania od stołu po skończonej kolacji. I dopiero wtedy odczuwaliśmy sztuczność naszych rozmów w jej obecności; wybierając błogosławioną nareszcie ciszę, albo słuchanie płyt do późnej nocy.

Szczyt sierpnia, tradycyjny *solleone*, wysuszył wysepkę falą bezwietrznego powietrza z Afryki. Nie sposób było przejść gołą nogą przez wyprazoną piasek na plaży, pękały kamienie w murkach otaczających domy, poszarzało spopieliałe niebo, drzewa i krzewy (nawet *piante grasse*, czyli kaktusowce) utraciły swą zieleń, zwiotczały i pokrył je gorący pył zawieszony w powietrzu. Godziny kąpieli skurczyły się do wąskiego pasemka czasu po świcie (księżycowym), woda morska upodobniła się do ciepłej i lepkiej zupy. Zrezygnowaliśmy, wystraszeni, z łódki. Cały prawie dzień spędzaliśmy w domu, dopiero po zapadnięciu zmroku odważaliśmy się wyjść na taras.

Noce nie tylko przynosiły wytchnienie, swą urodą i lekkim przewiewem, swym niebem tak bogatym że zdawało się inkrustowane, przywracały też równowagę światu. Z mojej wieżyczki zauważyłem na Calaiunco gromadkę kąpiącej się młodzieży. Odtąd po północy, gdy dom już niby spał, wychodziła z niego tylną furtką Irina i szybkim krokiem, raczej półbiegiem, spieszyła na Calaiunco. Powtarzało się to co nocy, wracała przed świtem z wyrazem zachwytu na twarzy. Nie wiedziała, że ją z wieżyczki obserwuję. Nie, nie mogłem mieć wątpliwości co dzieje się na Calaiunco między skałami przylądka, na skrawkach wybrzeża. Ale byłem tak szczęśliwy śledząc ją spod oka nazajutrz, że machnąłem ręką na jej piętnaście lat, zachowałem sekret przed jej rodzicami, i kiedy któreś nocy przed świtem dostrzegła mnie w górze wchodząc na palcach przez furtkę, powstało między nami współnictwo. Odżyła nasza florenetyńska poufałość. Loris i Marina byli pewni, że chodziło jedynie o to, o nawrót sympatii ich córki do ich przyjaciela. I byli również szczęśliwi. Z lękiem myślałem tylko o jednym: czy ona i jej partner (bo nie wątpię, że ma na Calaiunco „stałego” chłopca) zachowują ostrożność. Pocieszałem się, że partner jest od niej star-



szy i wie co robi. Natomiast byłem również, niestety, pewien że chodzi o krótki romans wakacyjny. Istotnie, pod koniec sierpnia wróciła do domu zaraz po wyjściu; i dłońmi zasłaniała oczy, przypuszczalnie płacząc.

Na szczęście w kilka dni później wsiedliśmy wszyscy na statek do Neapolu. I pożegnaliśmy się w porcie neapolitańskim, obok taksówki która miała ich zawieźć na pociąg do Florencji. Loris i Marina ściskali mnie i całowali na zmianę, co było rzecz jasna podziękowaniem. A Irina? Zarzuciła mi ręce na szyję, przylgnęła do mojej twarzy swoją mokrą twarzą.

## VI

Po wakacjach letnich 1980 nie miałem głowy do spraw innych poza własnymi. Trzeba było do ładu doprowadzić pewne kłopoty rodzinne; dokuczały mi okresowe bóle, o których mój przyjaciel lekarz nic jasnego nie potrafił powiedzieć i zalecał badania szpitalne, dla mnie w tym momencie nie do przyjęcia. W tym momencie, gdyż po długiej jałowej pauzie zabrałem się nareszcie znowu do pisania; nowy tekst wydawał mi się w trakcie roboty coraz ważniejszy i pochłaniał mnie bez reszty. Należę do pisarzy bardzo powolnego pióra, a w dodatku przerwy przeznaczone na odetchnięcie, na odpoczynek myśli, zwykłem z natury i cichej dyscypliny wypełniać leżącym na biurku i posuwanym stopniowo do przodu projektem pisarskim. Zdarza mi się wtedy rozmawiać pozornie z bliskimi, będąc w rzeczywistości nieobecnym, a nawet śnić nie po freudowsku „resztki dnia”, lecz strzępy rosnącego rękopisu.

Tak, byłem – jak zawsze w podobnych okolicznościach – nieobecny lub półobecny, załatwiałem machinalnie kwestie domowe, zdawkowo odpowiadałem na pytania żony i dzieci, czytywałem nieuważnie listy (nie odpisując na nie), telefony skracałem do nieodzownego minimum, zapewne zniechęcającego dla osób po tamtej stronie drutu. Bezwzględny, jeśli nie po prostu okrutny, jest egoizm tzw. „procesu twórczego”, zaskoczyłby niejednego z czytelników, gdyby mogli poznać cenę, jaką się płaci w praktyce za wyrażanie czystych uczuć.

Egoizm w cień odsunął rodzinę Berardich. Wmówiłem

sobie, że latem na Panarei „zrobiłem swoje”; że nieuchronnie wybija godzina oderwania się od „cudzych dramatów”. Zbywałem więc pospiesznie telefony Loris, nie pamiętając po odłożeniu słuchawki co mówił. Analogicznie traktowałem telefony Mariny. Rzecz pogarszał fakt, że Roberto i Ruth wyjechali na rok do Stanów, gdzie zaproponowano mu wykłady na którymś z uniwersytetów. Czyli zamilkł Rzym, który odgrywał tak wielką rolę w trójkącie naszej przyjaźni. Myślę dziś z głębokim wstydem o moim postępowaniu. I z cieniem obrzydzenia o manowcach, zapadniach i pułapkach wybujanego „ja”.

Wytrąciła mnie z tego stanu w maju 1981 (otrzeźwieniu sprzyjało zresztą słowo „koniec” położone w rękopisie) niespodziewana wizyta najstarszego brata Loris, który przyjechał na parę dni do Neapolu w sprawach handlowych. Stał w wielkim hotelu na bulwarze nadmorskim i zaprosił mnie tam na kolację.

Od razu na wstępie, po wyczerpaniu konwencjonalnych grzeczności, zorientowałem się że nic do mnie w ciągu blisko roku nie dotarło z aluzyjnych telefonów Loris i Mariny; aluzyjnych bo nie chcieli (i rozumiem ich dobrze) o rzeczach najistotniejszych, i najbardziej zarazem niepokojących, mówić wprost i to przez telefon. Nicola, brat Loris, dał mi delikatnie, z ujmującym zażenowaniem, odczuć że moi florentyńscy przyjaciele woleli uznać mnie za nagle ogłuchłego i otępiącego, niż telefonowi powierzyć swoje „bolesne sekrety”. Owe „bolesne sekrety” polegały zaś na tym, że Irina po powrocie z wakacji do Florencji „oszalała seksualnie” (wyrażenie brata Loris). Jej rodzice nie wiedzieli naturalnie o inauguracji tego „szaleństwa” w sierpniu na Panarei. Tak czy owak, wybujala i ładna dziewczyna u progu szesnastego roku życia rzuciła się na głęboką wodę romansów z chłopcami. Nie wiadomo nawet, czy tylko z rówieśnikami, skoro często odwozili ją późną nocą albo ranem do domu dorośli mężczyźni. Zachowywała się wyzywająco, jakby swoje postępowanie traktowała dziecinnie jako formę zemsty na rodzicach za urodzenie z wadą słuchu. A oni bali się, najzwyczajniej bali się interweniować; ryzykowali bowiem, tak przynajmniej sądzili, że stracą ją bezpowrotnie.

Po kolacji, w majową noc, poszliśmy bulwarem w stronę



Mergelliny. Było już ciepło, przystawaliśmy często oparci o murek nad głazami nadmorskimi; nie wymagała znacznej intuicji świadomość, że Nicola nie skończył swej opowieści. Istotnie, w kawiarence obok portu ślizgowców, wierząc się na krześle, dodał epilog.

Pół biedy jeszcze (mówił niemal szeptem) z tymi obudzonymi przedwcześnie apetytami seksualnymi. Ostatecznie, można w nich widzieć rekompensatę natury za kalectwo. Loris i Marina pocieszali się, że wytrąca ją to z wiecznego smutku, choć ich pocieszanie się podszyte było wyraźnym złudzeniem: Irina wyładowywała w swoich miłostkach desperację i wściekłość, przede wszystkim wściekłość. Wkrótce, kilka miesięcy temu, wpadła w sieć narkotyków. Tu już nie można było się łudzić. Bez końca wyciągała od rodziców pieniądze, niekiedy spędzała długie okresy poza domem, stała się agresywna. Aż w dniu swoich szesnastych urodzin, 23 marca 1981, spakowała po kryjomu torbę podróżną i znikła z domu. Zostawiła na nocnym stoliku krótką karteczkę: „Nie szukajcie mnie. *Addio*”. Loris szukał jednak i znalazł w końcu cudem jedyny trop w biurze podróży. Jej nazwisko figurowało na liście grupy osób, która wykupiła bilety lotnicze Mediolan-Delhi. Za późno było żałować, że na początku tego roku Loris uległ naleganiom córki i zgodnie z przepisami parafował jej podanie o paszport; i że nie śmiał nigdy odmawiać, gdy prosiła o pieniądze. Co ma teraz robić? Chce jechać do Indii, co jest szukaniem igły w stogu siana. Niech chociaż nie jedzie sam. Zapanowało milczenie. Wreszcie Nicola zdobył się na odwagę: „Czy to prawda, że był pan przed laty w Indiach?”

Wiedziałem do czego zmierza, zajrzawszy mi lękliwie w oczy. Bez chwili wahania zgodziłem się jechać z nim nazajutrz do Florencji.

Miał samochód, na moją prośbę pojechaliśmy do Rzymu, gdzie zastrzegłem sobie parogodzinny postój, nie autostradą lecz starą szosą *Domiziana*. Od jakiegoś czasu zaczęła mnie męczyć pustka autostrady, stara szosa przecinająca po drodze osiedla była co prawda bardziej czasochłonna, ale droga między ludźmi i domostwami wydawała się trwać krócej, niż trasa na taśmie autostrady (choć było odwrotnie). Dla rozmyślających o problemie czasu mały przyczynek do fenomenu jego względności.

Przed wyjazdem z Neapolu zatelefonowałem do mojego rzymskiego przyjaciela i zaprosiłem go na obiad w okolicach Placu Hiszpańskiego. Mój przyjaciel, zwany zdrobniale Giovannino, był dziennikarzem największej gazety stołecznej. Jego specjalnością były narkotyki, w kółach dziennikarskich przyklepiono mu przydomek *narcologo* lub *narcogiornalista*. Był rzeczywiście specjalistą w tej dziedzinie, często wzywano go na międzynarodowe konferencje naukowe i policyjne. Niezbitym dowodem jego znawstwa były kilkakrotnie na niego zamachy w ciemnych rzymskich zaułkach, spudłowane nie pozbawione jednak walorów pogroźki, a raz nawet słaba na szczęście bomba podłożona w jego mieszkaniu pod pretekstem lektury licznika elektrycznego.

Zjedliśmy naprędce obiad, poważną rozmowę odłożyliśmy do kawy. Nicola słuchał bez słowa. Ja właściwie też, prosząc tylko od czasu do czasu mojego przyjaciela o drobne wyjaśnienia i zapisując je w notesie. Rzecz jasna, wypytywałem go o Indie. Od trzech lat rejon Benares czy Banaras (a ściślej mówiąc: Varanasi) stał się ulubionym miejscem narkomanów włoskich. Nie wiadomo, co było tego powodem. To prawda, że o narkotyki było tam łatwo i kosztowały taniej niż w Europie, ale płacono się za to wysoką cenę bezdomności, ciężkich warunków codziennego bytowania, dosyć wrogiego stosunku lokalnej ludności. Na dobrą sprawę zatem pociąg włoskich narkomanów, rosnący z miesiąca na miesiąc, jest zagadkowy. Gnieźdzą się pod gołym niebem na polach, z których przeganiają ich wciąż o świcie hinduscy chłopcy, i na długiej łasze piaszczystej nad Gangesem. Chyba że – uśmiechnął się smętnie Giovannino – pociąga ich pobliski teren, duży teren, codziennej kremacji zmarłych w okolicznych wsiach. Zmarłych narkomanów włoskich też można tam spalić, chodzi o obrządek uniwersalny, narodowość i przynależność religijna nie mają w nim znaczenia. Trzeba tylko posiadać szczapy i drzewo.

Giovannino nie wiedział skąd te moje zainteresowania, jakkolwiek usiłował po dziennikarsku coś wywąchać. Nicola zatelefonował z restauracji do Florencji. Dotarliśmy późno, blisko północy, na Monte Oriolo; czekali na nas niecierpliwie Loris i Marina.



## VII

Po rzymskim telefonie brata Loris zdążył już kupić dwa bilety Mediolan-Kair-Kalkuta i z powrotem. Z Kalkuty do Benares należało jechać pociągiem, linia lotnicza była zatłoczona na najbliższe tygodnie. Do Mediolanu pojechała z nami samochodem szwagra Marina, której z trudem udało się wybić z głowy podróż do Indii. Odlot był wieczorem. Na lotnisku Marina zawisała na szyi męża i rozplakała się głośno jak skrzywdzone dziecko. Wziąłem pod rękę bladego Loris, nie opierał się, przeciwnie przylgnął do mnie i tak już pozostało, również w samolocie, również we śnie. Dzielnym, odważnym Loris nie umiał zapanować nad swoim wewnętrznym rozprężeniem. Nocna przesiadka w Kairze trochę go orzeźwiła. Na dworcu w Kalkucie zdążyliśmy zjeść obiad przed wciśnięciem się do zapchanego, aż po półki i dachy wagonów, pociągu do Benares. Pozwolono nam, pewnie jako cudzoziemcom, zająć w dwójkę jedno miejsce obok okna.

Byłem w Indiach cztery dni w roku 1952, w drodze powrotnej z Burmy do Londynu. Na Kalkutę przypadła niecała doba. Przepisuję z mojego dziennika *Podróż do Burmy* główne kalkuckie przeżycie: „Niedaleko od świątyni bogini Kali znajduje się za niskim murkiem otwarte krematorium. Pionowe smugi dymów wyglądają w drgającym od upału powietrzu jak rozchwiane słupy i unoszą się ku niebu z dołków różnej wielkości, w których krewni zmarłych obkładają zwłoki wiązkami drzewa i chrustu. W kilku wgłębieniach bieleją już tylko garstki popiołu, ale w wielu sterczą jeszcze spomiędzy tłących się gałęzi niedopalone ręce i nogi. Ludzie wchodzi i wychodzą z krematorium tak obojętnie, jak gdyby brali udział w pogodnym obrzędzie ludowym. W powietrzu unosi się swąd spalonych ciał i zapach palonego drzewa; dym gryzie w oczy, żar bije od płomieni ognisk, żar leje się z nieba obracając ziemię w brunatno-żółtą skorupę. Uciekamy od niego przez bramę wejściową kilkadziesiąt metrów w dół, nad Ganges, gdzie tylko środkiem wyschniętego łożyska płynie wąska struga wody, a w podmokłym nadbrzeżnym mule leżą bez ruchu białe krowy”.

Mijaliśmy żółte, wysuszone pola, pocętkowane strumy-

kami i kałużami, które wysysało słońce i piła łapczywie gąbczasta ziemia. Na ścieżkach widziało się grupki półnagich i bosych mężczyzn o obwiązanych głowach, z wysokimi kijami, niekiedy kroczących za mułem lub zbiedzonym koniem. Na horyzoncie, jak fatamorgana, rysowały się i znikwały płaty zieleni. Pociąg szedł wolno, sapiąc ciężko, toteż w pobliżu małych stacji biegły za nim pod nasypem gromadki dzieci oberwańców i piskliwymi głosikami domagały się jałmużny.

Drzemaliśmy w kacie, każde ocknięcie odślaniało dokładnie ten sam obraz. Do tego stopnia, że tylko stukot kół na szynach i sapanie lokomotywy były dowodem jazdy; sam widok za oknem świadczył o bezruchu. I ten bezruch – co pamiętałem z poprzedniej podróży – zdawał się panować wszędzie, wyrażał jakby paraliż całego kraju. Rzecz jasna, jedynie poza obrębem wielkich miast. Były one, zwłaszcza Kalkuta ale także Delhi, frenetycznym, gorączkowym, nieprzytomnym przeciwieństwem bezruchu.

Spod oka przyglądałem się, w chwilach ocknięcia z drzemki, twarzy Loris. Malował się na niej lęk pomieszany z popłochem; niezmienny, powielany wciąż krajobraz musiał nie przyzwyczajonemu odbierać nadzieję znalezienia czegokolwiek lub kogokolwiek w kraju, który spał – płytkim co prawda, lecz upartym snem.

Do Benares dobrnęliśmy nocą. Rikszarz, przeplatający słowa angielskie i gesty, dowiózł nas do hotelu i obiecał nazajutrz rano zabrać nas do celu naszej podróży. Wiedział czego szukamy, powtarzał *Italian, Italian*, po czym *droga, droga*, włoskie słowo oznaczające narkotyki.

Wątpię, czy uda mi się wiernie opisać cel naszej podróży; tak jak wątpię, czy da się ustalić prawdziwą przyczynę inwazji włoskich narkomanów na skrawek pola i plaży, odległy tysiące kilometrów od ich kraju ojczystego. Wspominałem już, że taniość narkotyków i względna łatwość ich zdobywania są nie do zlekceważenia, ale tłumaczą niewiele. Nie do zlekceważenia też jest argument (wysunięty przez dziennikarza rzymskiego, mojego przyjaciela), że wśród młodych zwłaszcza, początkujących narkomanów dochodzi do głosu potrzeba stworzenia swoistej komuny poza zasięgiem ukradkowych choćby spojrzeń rodaków; i on tłumaczy niewiele. Trzeba zatem przyjąć, że w grę wchodzi jakiś irracjonalny pęd,



którego istoty i źródeł nie pojmują sami zainteresowani.

Rikszarz podrzucił nas wąską drogą na skraj uprawnego pola i twardo oznajmił, że dalej nie pojedzie. Było jasne czego się obawiał: rolników gniewnie spoglądających w naszą stronę, uzbrojonych w coś w rodzaju bosaków, prócz narzędzi do uprawy ziemi. Za polem ciągnęła się szeroka i długa łącha nadbrzeżna, obmywana leniwie wodami Gangesu.

Na tej łąsce snuły się dziesiątki jeśli nie setki młodych ludzi, chłopców i dziewcząt; robili wrażenie lunatyków lub pijaków, zataczali się idąc, to przysiadali to wstawali, niektórzy leżeli nieporuszeni, śpiąc prawdopodobnie. Na końcu wiejskiej dróżki znajdował się, pod dachem-parasolem chroniącym od słońca, posterunek policji hinduskiej. Jeden z trzech policjantów mówił dobrze po angielsku. Od niego, bardzo grzecznego, dowiedzieliśmy się rzeczy najważniejszych.

Ustawy i rozporządzenia nie pozwalały w Indiach na żadną interwencję. Narkotyki nie były zakazane, mógł tu przyjechać każdy zaopatrzony w ważny paszport z wizą. Nie zabraniano też nikomu mieszkać na łąkach nadbrzeżnych, w kraju w którym jedno z największych miast, Kalkuta, pobiło rekord śpiących nocą na ulicach, około miliona nędzarzy. Jedynym sposobem powstrzymania fali młodych narkomanów włoskich były ewentualne restrykcje wizowe; to zrobiono, ale dopiero ostatnio. W tej chwili na plaży nad Gangesem mieszka i narkotyzuje się przeszło dwieście osób. Trzej policjanci dyżurują tu dniem i nocą, by bronić przybyszów przed atakami rolników, którzy pilnują swych pól uprawnych, niegdyś, na początku, czyli dwa lata temu, tratowanych i niszczonych nocami jako najlepsze miejsce do spania. Od pewnego czasu mnożą się wypadki śmierci narkomanów, zabijanych nadmiernymi dozami. W pobliskim krematorium wyznaczono im osiem dołków w pierwszym rzędzie równoległym do łąchy. Muszą sami zdobywać drzewo i chrust do podpałki, ale o to nietrudno. Trudno za to wygzekwować od włoskich narkomanów obowiązek rejestracji zmarłych i spalonych. Nie palą ich, jak miejscowi Hindusi owiniętych w białe prześcieradła, lecz w ubraniach z całym dobytkiem a więc i z dokumentami. W ciągu dwóch lat cudem posterunek zarejestrował zaledwie dwadzieścia trzy zgony, chociaż wiadomo że zmarło (szczególnie w ostatnich miesiącach) nieporównanie więcej.

Oto kopia spisu przesłanego do konsulatu włoskiego w Delhi.

Loris zbadał listę biały jak kreda, z wysiłkiem utrzymując w palcach arkusz papieru. Po czym wśród uprawnych działek poszliśmy, w asyście uprzejmego policjanta, nad rzekę. Szybko okazało się, że indagowanie siedzących lub leżących do niczego nie prowadzi. Odpowiadały nam na pytania o Irinę błędne spojrzenia, nieobecne, zamglone, nieprzytomne. Myśmy jednak szukali żywej Iriny, więc odwracaliśmy na wznak wszystkie śpiące na brzuchu (a raczej odrętwiałe czy zczadzone) dziewczyny. Wreszcie na samym końcu łąchy zauważyliśmy siedzącego nieco z boku, wpatzonego w wodę, chłopca. Był znarkotyzowany, ale nie całkowicie, na pograniczu odurzenia i resztek jasności. Tak, przyjaźnił się z dziewczyną imieniem Irina, głuchoniemą, chociaż trochę mówiła i słyszała. „Właściwie kochałem ją – rzucił zamyślony. – Umarła przedwczoraj, wstrzyknęła sobie za dużą dawkę”. Spalono ją poprzedniej nocy w trzecim dołku od lewej. Nie, on tam już nie pójdzie, nie pójdzie za żadne skarby. Chyba wróci do rodzinnej Bolonii.

Powinienem zmienić tu rejestr opowiadania. Nie potrafię, spieszo mi do końca rozdziału. Policjant zaprowadził nas do krematorium. Trzeci dołek od lewej był wypełniony po brzegi popiołem, a więc Irina nie była jedyna. Mimo to Loris przyklęknął i wysypał kilka garści popiołu do podanej mu przez policjanta torby celofanowej. Przed wyjazdem z Benares kupił metalową urnę z wrytym napisem *Ashes for Almighty* – Prochy dla Wszechmocnego. Miał suche oczy i prawie zaniemówił. Jego brat Nicola doniósł mi potem w krótkim liście, że urnę ustawiono w podziemiach *Villa Toscana* na Panarei.

## VIII

Trudno w to uwierzyć, a jednak co teraz powiem jest prawdą. W ciągu następnych czterech lat, do września 1985, widziałem Lorisa i jego żonę tylko jeden raz, na pogrzebie Roberta w Rzymie 18 listopada 1983. Roberto po pierwszym zawale wiosną 1983 wrócił na tyle do zdrowia, że mógł znów pisać, w pogodne dni chadzał z Ruth albo z przyjaciółmi



(także ze mną) na spacer po Rzymie, tak równocześnie kochanym i niekochanym, nic tedy nie zapowiadało nagłego końca. Lecz nagły, niespodziany koniec jest cechą chorób sercowych. Nagrał był właśnie dyskusję w radio, pogodnie usposobiony wszedł do windy na trzecim piętrze, wdał się w żartobliwy dialog z uczestnikiem dyskusji i naraz, ledwie winda ruszyła w dół, cicho krzyknął jakby się udławił, obsunął się bezładnie na podłogę. Śmierć była natychmiastowa, rzekłbyś: serce pęknięte lub przebite sztyłem.

Żegnaliśmy go na Verano, Ruth prowadził pod rękę brat Roberta, jego siostra szła za trumną między Lorisem i Mariną. Moje zwyczajowe uściski po pogrzebie z Lorisem i Mariną były jednymi z wielu, uderzały swoją milczącą konwencjonalnością. Przed bramą cmentarza Loris przywołał taksówkę i pojechał z żoną na dworzec, na najbliższy pociąg do Florencji; „nie mogli niestety” odprowadzić Ruth i rodzeństwa Roberta do mieszkania zmarłego. Zrobiłem to ja. Pijąc kawę, mówiliśmy więcej o nieobecnych przyjaciółach z Florencji, niż o Robercie. Ruth szepnęła: „Każdy uważa swój własny ból za najważniejszy i najgłębszy: choćby ostygł już w porównaniu ze świeżym, lecz cudzym”.

Ból rodziców po śmierci Iriny nie ostygł, mimo minionych dwóch lat. Wiedziałem coś o tym z krótkich i rzadkich listów brata Loris. W ostatnim pisał, że zamknęli się na Monte Oriolo, nikogo nie widują, Loris jeździ w dni powszednie do swojego biura nad Arno, niechętnie i zdawkowo odpowiada na telefony, jeżeli sam odpowiada pod nieobecność sekretarki, punktualnie o piątej wraca do domu. Marina nie pokazuje się w ogóle, zaniedbała wszystko czym dotąd żyła – ogród, swoje roboty ręczne, – całymi dniami słucha muzyki z płyt, albo siedzi bez ruchu w pokoju córki, wpatrując się w jej fotografie na ścianach (od dzieciństwa do ucieczki z Florencji). Przestali spędzać wakacje na Panarei. „Zdaje się, że w Neapolu – kończył swój liścik Nicola – częste są wypadki wycofywania się ze świata i przeobrażania mieszkańców w grobowce czy kaplice cmentarne, po stracie najbliższych. Ale we Florencji?”

Wycofać się ze świata po śmierci najbliższych, mieszkanie zamienić w grobowiec żywych, było dla mnie – na podstawie obserwacji neapolitańskich – sposobem podtrzymywania

związków z umarłymi. Tkwiła w tym podskórna obawa, że powrót do świata okaże się zdradą cieni, zdradą osób żyjących dalej tylko dzięki nam; i skazanych na drugą, powolną śmierć w miarę naszego zanurzania się w życiu po ich śmierci. Nigdy takiego mieszkania w Neapolu nie widziałem, wiem za to dobrze, że zjawisko zażyłości Neapolitańczyków ze śmiercią jest niezniszczalną cechą mieszkańców – może nie wszystkich – tego miasta. Wyraża się ono i w pogodnej atmosferze odwiedzin na cmentarzu, i w osobliwym traktowaniu grobów, posuwając się niekiedy aż tak daleko, jak w owym sławnym wypadku wdowca, który na dachu zamieszkałego przez siebie domu zafiksował lunetę, dokładnie wymierzoną w grób żony na pobliskim cmentarzu; i spędzał przy niej wiele godzin. Tak, to jest Neapol, bardzo materialny w swoim obcowaniu z umarłymi, pod tym względem Nicola miał rację. Istnieje jednak fenomen szerszy, wykraczający poza dawne greckie Południe, a potem poza obszar Królestwa Neapolu i Obojga Sycylii, obejmujący całą Europę, jeśli nie cały Zachód. Fenomen opisany i skodyfikowany – u szczytu Oświecenia! – w książce niemieckiego mnicha Herlichera *O przyzywaniu umarłych*; w swego rodzaju poradniku, który żywym miał umożliwić komunię z duchami ich umarłych. Nawet w Florencji...

Latem 1984 okoliczności sprawiły, że musiałem wybrać się na tydzień na Stromboli, gdzie spędzała wakacje część mojej rodziny. Stamtąd, motorówką przyjaciół, przybiłem do panarejskiej przystani. Wycieczka miała nie przekraczać pół dnia, od obiadu w restauracji obok przystani do zmierzchu.

Właściciel restauracji, „plenipotent” Berardich na Panarei, i mój dobry w przeszłości znajomy, dał mi klucz do *Villa Toscana*. Nie omieszczał tonem wymówki zaznaczyć, że od pewnego czasu Loris przestał przysyłać pieniądze na utrzymanie willi w czystości i porządku. I nie odpowiada na listowne monity. Gdybym miał okazję spotkać się z nim w Rzymie lub w Florencji, czy mógłbym go ostrzec, że w panarejskim klimacie oznacza to skazanie willi na powolny rozkład?

Przekonałem się o prawdziwości ostrzeżenia, przestąpiwszy próg willi. Nie wietrzona, pokryła się ściennymi liszajami, spęczniały sufity, w kątach pajęczyna więziła masę martwych, wyspanych owadów, książki na półkach przesiąkły wilgocią,



złowróźnie trzeszczały schody na piętro, drzwiczki do wieżyczki i do piwnicy (gdzie stała urna z prochami Iriny) zardzewiały i obsuwały się tarasując wejście, w podłogach obluźowały się i gdzieśniedzie wyskoczyły kafelki posadzki. Widok był żalosny, nawet przejmujący, pamiętam że szepnąłem cicho do siebie: „Upadek domu Lorisów”. Ledwie te słowa wyszeptałem, niewidzialna ręka popchnęła mnie w kierunku nocnego stolika obok łóżka Loris. Leżał tam, jak dawniej, tyle że wilgotniejszy od książek na półkach, prawie mokry i z rąbkami stronic wyzartymi przez mrówki, egzemplarz wyboru opowiadań E.A. Poe *Upadek domu Usherów*.

Na przystani panarejskiej funkcjonował latem mały urząd telegraficzny. Przed powrotem na Stromboli wysłałem stamtąd depeszę do Loris. Pozostała bez odpowiedzi. Dopiero w połowie sierpnia następnego roku przyszedł do Neapolu długi list od Loris. Zapoczątkowując ostatni, straszny rozdział w naszych stosunkach.

List był długi, chaotyczny, roztrzęsiony. Samą formą dawał pojęcie o nerwowym napięciu Loris. Treść, istotną treść, należało wyplątać z pokrętnych, urywanych często zdań, pisanych tak jakby towarzyszył im ciągle suchy szloch. Zaczynał się od przeproszenia, dzięki Bogu zwyciężonego i utrzymanego w ryzach godności. „Zrozum mnie, historia naszej córki wpędziła mnie w chorobę psychiczną. Miałem dwóch przyjaciół, Ciebie i Roberta. Ciebie błagam o przebaczenie. Co do Roberta, pozostaje mi słaba nadzieja, że umarł czując jak śmiertelnie zostałem ugodzony i zraniony. Teraz zwracam się do Ciebie nie tylko z prośbą o przebaczenie, lecz także z prośbą o pomoc. Od miesiąca rozpoznano raka piersi u Mariny, zoperowano ją natychmiast (za późno), zdaniem lekarzy może dożyć najwyżej do końca roku. Ale nie chce umierać w Florencji, chce zamknąć na wieki oczy na Panarei. Ponieważ nie można jej tego w żaden sposób wyperswadować, zgodziłem się wreszcie (prawdziwe szaleństwo z różnych względów, których nie muszę Ci tłumaczyć) i wyjeżdżamy w ostatnich dniach miesiąca. Sam nie podołam, przyjedź we wrześniu, jeżeli uda Ci się oderwać od Twoich zajęć i od Twojej rodziny. Wiem, że proszę Cię o bardzo dużo. Nie mam innego wyjścia”.

To był jedyny jasny fragment listu. Zawiała, popłatana reszta zasługiwała na miano „kołowaniny”. Czytałem powiele-

kroć, z ciężkim sercem, świadectwo zamąconego umysłu mojego przyjaciela.

## IX

Przyjechałem 10 września, wcześniej nie mogłem. Panarejski dom Lorisów sprzątnięto powierzchownie tylko, obecność ciężko chorej wykluczała remont generalny. Otworzono drzwi wejściowe i tylne, oraz wszystkie okna, więc wrześniowe gorące jeszcze słońce wysuszyło szybko liszaje na ścianach, nie zdołało natomiast rozproszyć całkowicie stęchlizny wiszącej w powietrzu. Służąca zaangażowana przez Loris wymiotła pajęczę gniazda w kątach pod sufitem, umyła dziurawe podłogi i trzeszczące schody, na dolny taras wyniosła najbardziej nadgniłe książki, instrumenty z pracowni Mariny, naczynia kuchenne. Nie udało się otworzyć zardzewiałych i obsuniętych drzwiczek do wieżyczki, takie same przeszkody stawały drzwiczki do piwnicy, aż w końcu Loris wyrąbał je siekierą i wyniósł do komórki, tak że piwnica stała się częścią parteru, oddzieloną paroma schodkami. Dom przybrał znośniejszy wygląd, jakkolwiek nie stracił oznak dawnego zapuszczenia; odnosiło się wrażenie usuniętej chwilowo, lecz ukrytej i zaczajonej w murach, zgnilizny. Ponieważ wejście do wieżyczki było zablokowane, zamieszkałem w pokoju Iriny, za ścianą mając jej osieroconą chorą matkę; i oczywiście Loris, śpiącego w łóżku odsuniętym teraz lekko od łóżka Mariny.

Co dwa dni rano przyjeżdżał ze Stromboli lekarz i ewentualnie przywoził potrzebne lekarstwa. Wraciał przed obiadem, który odbywał się przy łóżku Mariny. Nie mogła już wstawać, Loris mył ją i czasem prowadził ostrożnie do łazienki, a czasem obsługiwał w łóżku. Podziwiałem jego usłużność i zręczność pielęgniarza, ale cóż tu było do podziwiania, skoro robił to z wyrazem szczęścia na twarzy?

Loris i ja podzieliliśmy się dniem. On przyjmował lekarza, był przed południem na każde zawołanie Mariny, pomagał dziewczynie w kuchni. Ja wychodziłem rano i wracałem na obiad. Po obiedzie, wypchnąwszy Loris z domu, dyżurowałem przy chorej aż do zmierzchu. Gdy zapadał wieczór, towarzyszyliśmy obaj Marinie. Często do północy, na ogół jed-



nak Lorisowie wysyłali mnie około dziesiątej do mojego pokoju.

Wrzesień był gorący, ale przyjemnie, aksamitnie gorący, z okresowymi podmuchami wiatru od morza. Wałęsałem się po wyspie półnagi, od czasu do czasu wskakiwałem dla ochłody do morza, albo drzemałem w cieniu drzew pod murem cmentarza. Doświadczeni tubylcy zapowiadali deszczową i przykrą jesień; niektórzy szykowali się już do wcześniejszego wyjazdu na Sycylię.

Wałęsanie się po wyspie było jak podróż dookoła własnego pokoju. Była zbyt mała, by spacer posiadał swój naturalny „rozbieg”, w ciągu kwadransa pokonywałem przestrzeń od przystani do Calaiunco. Znałem każdy kamień, każdy krzak, każdy wykrot na ścieżce. Znałem też wszystkich mieszkańców, zatrzymujących mnie nieraz na krótką pogawędkę. *Come sta la moglie di Loris? Speriamo.* „Jak się ma żona Loris? Nie traćmy nadziei”. Po południu nie mogli zatrzymywać Loris, bo przeważnie spał w załomie skały na plaży.

Takie było nasze życie u schyłku lata. Marina czuła się wtedy nie tak jeszcze źle, napady ostrych bólów męczyły ją stosunkowo rzadko i mijały po zastrzykach morfiny. Dotkliwsza była bezsenność. To jej i swoje noce bezsenne odsypiał Loris, po południu na plaży.

Zastanawiałem się, dlaczego tak pragnęła wyjazdu z Florencji na Panareę, wiedząc naturalnie (studiowała przecież kiedyś medycynę), że jedzie tam, by umrzeć. Nie rozmawiałem o tym z Lorisem, w ogóle łączył nas od początku pakt milczenia o Marinie (i o Irinie). Nonsensem było przypuszczać, że pragnie umrzeć blisko urny z prochami córki, ostatecznie ta urna mogła być łatwo przewieziona do domu pod Florencją. Z wyspą wiązało ją coś bardzo osobistego i zagadkowego, coś (taki był mój mglisty lecz najtrwalszy domysł) wyrastającego z dziejów ich miłości i ich wspólnego życia; a także – choć to już trudniej jasno wytłumaczyć – z poczucia, jakie dawała sama wyspa, poczucia chwiejnej i zamazanej (przez morze dokoła) granicy między życiem i śmiercią. Nie umiera się definitywnie, na zawsze, wpatrując się w chwili śmierci w odprysk kosmosu; przechodząc lekkim krokiem w inny wymiar. Kosmiczna *pietas* miała, dzięki

oderwaniu mikroskopijnej wyspy od świata, siostrę: kosmiczną śmierć-nie-śmierć. Ale rozmyślając wtedy w ten sposób, wyrzucałem sobie natychmiast literacko-filozoficzną przesadę. Miała się okazać bliższa prawdy, niż sądziłem.

Po obiedzie, gdy zaczynał się mój dyżur, Marina zasympiała na bardzo krótko; ten powierzchowny, płytki sen przerywały ciche jęki wśród ciągłych zmian pozycji w łóżku. Od początku prosiła mnie, bym trzymał jej dłoń w moich. Zmieniając pozycje, pojękując, wyszarpywała ją często, ja zaś miałem wtedy wrażenie chwytania i puszczenia ręki tonącej. Loris zobaczył raz dłoń Mariny w mojej, zbladł i prędko wyszedł z pokoju.

O czwartej otrząsała się, piła przygotowaną zawczasu zimną kawę, brała przepisane pastylki, zwilżała twarz wodą kolońską i codziennie domagała się „swojej płyty”. Był nią kwintet smyczkowy Schuberta, napisany jakoby kilka godzin przed śmiercią kompozytora. Nawet nie będąc znawcą muzyki, a tylko jej miłośnikiem, chłonałem kwintet ze ścisłkiem w sercu i w krtani; i z dziwną domieszką wyzwolenia. Dla mnie był genialnym utworem o agonii, zakończonym zwycięstwem nad śmiercią. „Nie ma śmierci”, jak kończy się na chwilę przed skonaniem bohatera, przy odbłasku dalekiego światła, tołstojowska nowela o Iwanie Iljiczu. Bywało że zmęczona słuchaniem „swojej ukochanej płyty” (innych nie chciała zabrać z Florencji), zmuszała mnie do głośnego czytania poezji – mnie, pozbawionego daru dykcji. Lubiła wiersze rosyjskie, choć z domu wyniosła słabą znajomość języka rodziców. Ale jak gdyby sam ich dźwięk cofał ją do starych, zapomnianych korzeni.

Wieczorem Loris i ja prześcigaliśmy się w elokwencji, by obudzić i podtrzymać możliwie długo jej uwagę; zdając sobie sprawę z nadaremności naszych wysiłków.

Zaraz po wojnie, w Londynie, byłem świadkiem umiarkowania bliskiej mi osoby na raka piersi z przerzutami, takiego właśnie jak rak Mariny. Któregoś dnia odwiedził ją w szpitalu dawny przyjaciel, przejazdem w Londynie, i w momencie bólu malującego się na jej twarzy położył ostrożnie i czule rozwartą szeroko dłoń w miejscu zoperowanej piersi, gestem pieczy, miłości do jej chorego ciała. Skurcz bólu na jej twarzy znikł, zastąpił go lekki uśmiech. Wiedziałem, że ten



kto to zrobił, osiągając tak niespodziany efekt, był niegdyś kochankiem konającej; nie mogłem tedy oczekiwać, że Marina zareaguje podobnie na moją rękę, położoną dla złagodzenia bólu w zgrubiałym od bandażu miejscu jej wyciętej piersi, jak w transie zakochanego. A jednak i ona spojrzała mi z uśmiechem wdzięczności w oczy. Loris odwrócił głowę.

Było jasne, że zaszła zmiana w jej stosunku do Loris. Czy po śmierci ich córki, czy po diagnozie jej choroby, tego nie wiedziałem. Widziałem tylko jego rosnące cierpienie i jej rosnącą obojętność. Być może, dlatego nie chciałem być z nią sam i zaklinałem mnie, bym przyjechał do ich panarejskiego domu.

Od połowy października zaczęły się sprawdzać przewidywania tubylców. Lunęły ulewę, obfite, z rzadkimi przerwami w godzinach popołudniowych, podniosło się i wzburzyło morze, zalewając plaże i niektóre mostki przystani. Lekarz ze Stromboli nie był w stanie przyjeżdżać co drugi dzień, wykorzystywał okresy uspokojenia, skrócił swoje wizyty i nie ukrywał podczas nich pośpiechu, przynaglenia, niemal popłochu. Bogiem a prawdą, nie był tak bardzo potrzebny. Mieliliśmy znaczne zapasy lekarstw i zastrzyków, a jego lekarskie oględziny były częścią formalnością. Marina weszła w stadium przedśmiertne: wzmagaly się bez przerwy bóle, ich oznaką były już nie dawne pojękiwania, lecz siłą powstrzymane krzyki. Byliśmy bezradni, Loris snuł się po pokoju półprzytomny. Marina zapragnęła przestawienia łóżka wezłowiekiem ku morzu. Wpatrywała się w morze intensywnie, byłem pewien że w jego widoku miała nadzieję znaleźć równowagę dla ataków bólu. I znajdowała. Dział się jakiś dziwny cud, który potwierdzał moje dawne (przesadne, jak sobie wyrzucałem) odczucia. Marina wzrokiem sięgała jak gdyby poza morski horyzont, zdawała się płynąć tam, daleko od nas, i potem wracać do nas. Rzucała wyzwanie nadchodzącej śmierci, *oswajała* ją. I naprawdę nie wiedzieliśmy, czy umarła 3 listopada rano, z oczami otwartymi, dalej żywymi, przywierającymi do skłębionych fal morskich z jakąś nie-ludzką martwą mocą. Dopiero ta nieludzka martwa moc, ta

nieruchomość spojrzenia, ostatniego spojrzenia, przekonała nas że nie żyje. Loris zaciągnął jej powieki, uklęknął obok łóżka, położył głowę na jej piersiach i wybuchnął płaczem, chciałoby się powiedzieć płaczem płaczów, wszystkich powściągniętych dotąd płaczów. Ja wziąłem w dłonie jej zwisającą z łóżka dłoń w przegubie, nie tyle powtarzając to o co mnie kiedyś prosiła, ile powodowany potrzebą upewnienia się, że rzeczywiście umarła. Tak, tak, umarła rzeczywiście, puls przestał bić, lecz dla mnie ocalała pod powiekami resztkę niewygasłego życia. „Wrócisz”, wyrwało mi się (prawdę mówiąc, wyrwało się czytelnikowi książki mnicha Herlichera *O przyzywaniu umarłych*). Powiedziałem głośno to słowo, które wytrąciło Loris z jego lamentu, jak uderzenie w zgięte na klęczkach plecy. Wstał i spojrzał na mnie w dawny sposób, po przyjacielsku, ale z błyskiem ni to zdumienia, ni wiary, nadziei i ufności. Wtedy chyba narodziło się nasze milczące przymierze, które dla niego obróciło się najpierw w głęboką niechęć do mnie, a potem w ciężką, apatyczną depresję.

## X

Jedyny na wyspie stolarz zbił prymitywną trumnę i hakami przymocował jej wieko. Loris wynajął od panarejskich rybaków motorowy stateczek z załogą, który miał go z trumną zawieźć do Messyny. Tam zamierzał załadować się na zwykły statek pasażerski do Palermo. Okazało się to zbyt kosztowne, także Messina posiadała niewielkie krematorium. Po trzech dniach zjawił się w domu z urną, na której widniał napis *Eterno Riposo*, Wieczne Odpoczywanie. Zeszliśmy razem do piwnicy i ustawiliśmy urnę Mariny obok urny Iriny. Dał się objąć, ale czułem w nim opór, nie zwrócił uścisku i wywinął się od pocałunku. Przypuszczalnie spostrzegł ślady mojego zejścia do piwnicy w czasie jego nieobecności. Wahał się chwilę, po czym sam podszedł do mnie i oparł głowę o moje ramię, jak na początku podróży do Indii. Widocznie, po szybkim namyśle, postanowił jednak wierzyć dalej w nasze milczące przymierze.

W ciągu jego trzydniowej nieobecności panarejski dom Lorisów stał się dla mnie siedliskiem czy raczej wylegarnią



dziwów, których nie mogę pominąć w moim opowiadaniu, jeśli chcę je kontynuować, nie dbając o kryteria tzw. wiarygodności. Wiem doskonale, że pióro pisarza (z nielicznymi wyjątkami) wzdraga się przed opisem zjawisk zbyt nieuchwytnych, obawiając się ich nieuchwytności właśnie, czyli bytu (nazwijmy to tak) pozajęzykowego. A przecież nie wolno omijać czegoś, co ujawnia niekiedy przelotnie swoje istnienie.

Istniała atmosfera tak naelektryzowana po wyjeździe Loris, tak pełna niewidzialności usiłującej stać się widzialną, że dom w którym pozostałem sam (odprawiliśmy dziewczynę do posług) narzucał mi bezruch, lecz nie bezruch dobrowolny; bezruch człowieka spętanego niedostrzegalnymi więzami. Nie mogłem wyjść z domu, mogłem tylko poruszać się z wysiłkiem w czterech ścianach pokoju Mariny i Loris. Wieczorem, jak przez kogoś pchnięty, upadłem na łóżko Mariny; i spadłem na dno snu, dno bez odbicia. We śnie widziałem Marinę za szybą okna, przez które ostatnio patrzyła na morze. Mówiła coś do mnie, lecz nic nie słyszałem, prócz powtarzanego często imienia Loris. W końcu znikła, ujrzałem morze i leżącą w płytkiej, przybrzeżnej wodzie Irinę, z twarzą zakopaną w piasku. Obudziłem się o północy. I znowu, jak przez kogoś popychany, zszedłem po schodkach do piwnicy. Usiadłem na krześle obok urny Iriny, zdziwiłem się że znikł z niej napis *Ashes*. I zasnąłem na siedząco. Pochłonał mnie ciemny sen bez snów. Rano wyszedłem z piwnicy i dobrałem do telefonu. Był głuchy. Wszystko było głuche. O kark ocierało mi się czyjeś dotknięcie, jak w magicznych momentach Cumy. Nie słyszałem szumu morza, nie słyszałem ludzkich głosów. Miałem poczucie, że zatrzymał się czas. Widocznie potknąłem się i upadłem na dywanik koło łóżka Mariny, bo tam obudził mnie po powrocie Loris.

Słowo „wróciś”, rzucone do cienia Mariny natychmiast po jej zgonie, potwierdzone moimi sennymi widzeniami, napięło czujność Loris do ostatecznych granic, gdy mu zaraz po przywitaniu opowiedziałem o trzech samotnych dniach spędzonych w domu po jego wyjeździe do Messyny. Odtąd towarzyszył mi wszędzie jak wierny pies, wodził wzrokiem za moim wzrokiem gdziekolwiek go kierowałem. W ten sposób, jak sądzę, rozumiał nasze milczące przymierze: wierzył, że wraz ze mną i dzięki mnie wejdzie w krąg zjaw, które mnie

tylko udało się wywołać. Ale moje widzenia nie powtórzyły się więcej, ani we śnie, ani tym bardziej na jawie. Słyszałem jedynie co pewien czas czyjeś stąpanie (którego on nie słyszał), dwukrotnie widziałem w drzwiach do sąsiedniego pokoju białą postać ludzką wyrzeźbioną z mgły lub dymu (której on nie widział). Loris poczuł się okradziony, obrabowany przeze mnie ze wszystkiego, co mu było najdroższe? Prawdopodobnie, w każdym razie nasze milczące przymierze pękło, ustępując miejsca niechęci, jeśli nie uczuciu zbliżonemu do urazy. Gdybym nie obawiał się zostawić go samego w panarejskim domu, wszedłbym na pierwszy statek do Neapolu. Niebawem wpadł w depresję i całe dni przesiadywał w piwnicy obok swoich dwóch urn. Wieczorami musiałem go stamtąd, posiniałego z zimna, dosłownie wynosić na tapczan koło zapalonego kominka. Zdawał się nie poznawać mnie, patrzył na mnie pustymi oczami.

Zatelefonowałem do Florencji. Nicola przyjechał niezwłocznie. Zamknęliśmy panarejski dom, mimo złej pogody przeprowadziliśmy się z Lorisem (nie stawiającym żadnego oporu) do Messyny, tam wsiedliśmy do mediolańskiego pociągu. Wysiadłem w Neapolu. Nicola zamierzał przenieść się ze swoją towarzyszką życia z Florencji do domu na Monte Oriolo, dopóki Loris był w tak „opłakanym” stanie. Obiecaliśmy sobie nawzajem utrzymywanie stałego kontaktu.

## XI

Z tego „opłakanego” (*lamentevole*) stanu nie wyszedł już nigdy. Viviana (towarzyszka Nicoli) opiekowała się nim jak dzieckiem. Wybitny lekarz florentyński rozłożył bezradnie ręce: „Rzadka dosyć choroba, można ją nazwać odmową życia. Jest nieuleczalna, ale niekoniecznie kończy się samobójstwem”.

U progu wiosny Nicola i Viviana usłyszeli nocą w jego pokoju (dawnym pokoju Iriny) bardzo głośny krzyk. Drzwi zamknięte były na klucz od wewnątrz. Wyłamanie zamku zajęło sporo czasu. Loris umarł klęcząc na dzieciennym podnóżku Iriny pod oknem, jego głowa leżała bokiem na parapecie okna, lewa ręka rozczapierzoną dłonią przytknięta



była do szyby, prawa ścisnęła zakrzywionymi palcami serce. W szufladzie stolika od dawna już leżał jego zwięzły list. Prosił o spalenie zwłok i o postawienie trzeciej urny w piwnicy panarejskiego domu. Urna produkcji florentyńskiej opatrzona była werselem po włosku: „Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz”. Nicola zawiózł ją na Panareę sam, nie prosił mnie nawet o towarzyszenie.

Towarzyszyłem mu natomiast, gdy w grudniu, na alarm panarejskiego „plenipotenty” rodziny Berardich, pojechał samochodem do Messyny, tam zaś wynajął motorówkę, gotową przedrzeć się przez burzę na wyspę. Alarm „plenipotenty” był uzasadniony. Piorun trzasnął w wieżyczkę na tarasie i obciął część ściany górnego piętra, zagrożona więc była statyczność całego domu.

Zamieszkaliśmy u „plenipotenty”, który w sezonie i poza sezonem wynajmował chętnie pokoje. Z naszego wyiębionego pokoju widać było dobrze panarejski dom. Przyjechaliliśmy wieczorem, postanowiliśmy następnego dopiero dnia urządzić „wizję lokalną”. Została nam zaoszczędzona przez los.

Burza wzmagająca się bezustannie, fale morskie, nie zaudato jeszcze groźne podczas naszego przejazdu, wykołysały w końcu małe *maremoto*, trzęsienie morza, uderzając naraz z hukiem w dom Lorisów. Woda wlała się do środka przez wywalone drzwi, po czym odpłynęła na chwilę, by ponowić natarcie. Skąd wziął się płomień w dolnym oknie obok drzwi? Skądkolwiek się wziął, ogarnął szybko cały parter domu Lorisów, i wygasał stopniowo zalewany przypiływami morza. Dom obsuwał się, a w górze na niebie, jak w *Upadku domu Usherów*, przebił się na krótko przez chmury czerwony księżyc, *blood-red moon*.

Styczeń-luty 1995

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

## Wiersze

### Warsztat liryczny Auschwitz

Wśród licznych gości biorących udział w obchodach 50-lecia oswobodzenia więźniów obozu koncentracyjnego Auschwitz znalazła się dziewięcioosobowa grupa poetów niemieckich działających w ramach projektu „Warsztat liryczny Auschwitz”.

Inicjatorem projektu jest znany saarlandzki poeta i dziennikarz Peter Christian Keller. W listopadzie 1989 roku Peter C. Keller po raz pierwszy przywiózł grupę poetów niemieckich do Oświęcimia. Byli wśród nich Hannah Lang, Ruth Müller, Waltrud Bruhn, Peter Schütt, Johann Voss i inni. Ambitnym zamierzeniem tych autorów była próba poetyckiej konfrontacji z tym, co się stało w Auschwitz.

Warsztat liryczny w tak strasliwym miejscu, czy coś takiego w ogóle jest możliwe? Krytycy Theodor W. Adorno (Niemiec) i George Steiner (Anglik) napisali już dawno, że wierszy o Auschwitz pisać się nie da. Auschwitz, ich zdaniem, to koniec sztuki. Wobec grozy Auschwitz poeta może tylko milczeć.

Grupka poetów skupionych wokół Petera C. Kellera jest innego zdania. Poszczególni autorzy dobitnie podkreślają, że o Auschwitz należy mówić i pisać, i od czasu ich pierwszej wizyty w Oświęcimiu powstało kilkanaście ambitnych, bolesnych, potrzebnych wierszy. „Warsztat liryczny Auschwitz” okazał się pożyteczną inicjatywą.

50-lecie oswobodzenia więźniów obozu Auschwitz to niewątpliwie bardzo specjalna rocznica. Jest ona dla nas przede wszystkim próbą pamięci, a jednocześnie pozwala zobaczyć z perspektywy czasu czego nauczyła się ludzkość po Auschwitz, poprzez to, co się w Auschwitz stało. Dla artysty, pisarza, poety, pamiętać to przykazanie numer jeden. Zapomnieć historię – dla pisarza to samobójstwo.



Ten rocznicowy pobyt poetów niemieckich w Oświęcimiu był równie owocny jak poprzednie wizyty. Peter C. Keller dokooptował do grupy „Warsztat...” Bruno Haina i Olafa Eybe, a także piszącego niniejsze słowa, który mieszka wprawdzie od wielu lat w Niemczech, ale jest poetą i pisarzem polskim.

W wyniku tej ostatniej wizyty grupy „Warsztat...” w Oświęcimiu powstaje m.in. obszerny (20-30 stron) poemat składający się z kawałków pisanych indywidualnie przez członków grupy, jak również przez poetów spoza grupy. Roboczy tytuł poematu brzmi „Warsztat liryczny Auschwitz – fragmenty”. Utwór ten będzie zaprezentowany czytelnikom w dwu wersjach językowych, polskiej i niemieckiej. Za redakcję i ogólny kształt całości odpowiada piszący niniejsze słowa.

28 stycznia grupa poetycka „Warsztat...” zaprosiła na obiad kilkunastu byłych więźniów obozu Auschwitz. Obiad miał miejsce w krakowskiej restauracji „Wierzynek”. Podczas obiadu Dr Friedrich Leidinger, wiceprzewodniczący stowarzyszenia „Deutsch-Polnische Gesellschaft der Bundesrepublik E.V.”, zapoznał obecnych z fragmentami przełożonej przez siebie na język niemiecki znanej książki „Refleksje w przedścionku do komory gazowej”. Autorem tej wybitnej książki jest nieżyjący już dzisiaj, były więzień obozu Auschwitz, Alfred Gawalewicz. Dr Friedrich Leidinger opowiedział również o swojej znajomości z Alfredem Gawalewiczem. Na zakończenie każdy z poetów zaprezentował zebrany jeden z własnych wierszy.

Z kolei 30 stycznia grupa „Warsztat...” była zaproszona przez krakowską Konfraternię Poetów na wspólny polsko-niemiecki wieczór autorski. Wśród poetów polskich znaleźli się m.in. Krystyna Szłaga, Jacek Lubart-Krzysica, Józef Baran i Eugenia Basara-Lipiec. Wieczór odbył się w krakowskim Klubie Dziennikarza, w restauracji „Pod Gruszką”. Impreza była bardzo udana i stanowi początek planowanej serii spotkań poetów polskich i niemieckich, które będą się odbywać na zmianę w Polsce i w Niemczech.

Andrzej SŁOMIANOWSKI

Ruth MÜLLER

## CZECZENIA

Niewielki kraju –  
wszystkie domy spalone,  
zranione każde serce,  
w tkance twoich oczu głębokie wyrwy.  
Twoje rany wyleczyć,  
Komu na tym zależy?  
Kto ci pomoże  
odzyskać wolność i pokój?

Ruth MÜLLER

(przełożył Andrzej Słomianowski)

Peter SCHÜTT

## MOST NAD NERETWĄ W MOSTARZE

Przetrwał więcej  
niż czterysta lat  
oparł się  
trzęsieniom ziemi  
najeźdźcom  
wyprawom krzyżowym

Był  
mostem pomiędzy wieczorem i rankiem  
pomiędzy Mekką i Rzymem

Odważnie wygięty  
niczym łuki brwi  
Szeherezady

Był tęczą  
pomiędzy brzegami  
czasu i wieczności



sierpem księżycą  
łączącym ziemskie  
i niebiańskie Jeruzalem

Most nad Neretwą  
jest zniszczony

Jego kamienie  
spadły do  
otchłani naszych serc

Już się nie da  
przekroczyć rzeki

Chyba żeby  
po naszych własnych barkach

*Peter SCHÜTT*

(przełożył Andrzej Słomianowski)

Aloys TERBILLE

### TAK DŁUGO AŻ

Pogrzebacz  
w żar.

Tak długo,  
aż ogień  
znowu będzie  
pożogą.

Łuny dookoła.

A potem  
zacząć lament.

Opłakiwać wszystkie  
niegodziwości świata.

Rozpaczać.  
Z pogrzebaczem  
w ręku.

Tak długo,  
aż wszystko  
legnie  
w gruzach.

*Aloys TERBILLE*

(przełożył Andrzej Słomianowski)

Bruno HAIN

### WOKÓŁ POKOJU GADAĆ

W słońcu grzeją się pedanci  
pod gołębih skrzydeł daszkiem  
a siekierą naostrzoną  
ktoś rozszczał mysie łajno

Daltoniści pacykują  
pstre marzenia o przyszłości  
jak pień głusi komponują  
głośne hymny o zwycięstwie

Okrągłutkie jest robactwo  
a za kradzież strączka groszku  
stawia śmierć pod ścianą dziecko

*Bruno HAIN*

(przełożył Andrzej Słomianowski)



Andrzej SŁOMIANOWSKI

## POCZĄTEK

„Czym są korzenie, które trzymają...?”  
T.S. Eliot „Ziemia jałowa”

Nieustannie  
Wracam  
Do początku

Wrzesień  
1943  
Zatem

Co  
Widzę  
Tam?

Gertrud Kolmar  
Umierającą  
W Auschwitz

Dym  
Nad  
Majdankiem

Stosy  
Trupów  
Wszędzie

Hordy  
Nadciągające  
Ze Wschodu

I  
Tak  
Dalej

Nie chcę  
Tej  
Wyliczanki

Za mało  
W słowach  
Prawdy

Ale  
Nie umiem  
Inaczej

Andrzej SŁOMIANOWSKI



## WARSZTATY ARTYSTYCZNE IM. JÓZEFA CZAPSKIEGO

Z inicjatywy Polskiego Funduszu Humanitarnego i pod jego patronatem, we wrześniu 1995 r. odbędą się w Lailly-en-Val (Francja) pierwsze „Warsztaty artystyczne im. Józefa Czapskiego”, w których weźmie udział siedmiu artystów środowiska krakowskiego. Warsztaty te pomyślane są jako pomoc dla wyróżniających się studentów polskich, jak i Polaków z Rosji i krajów byłego Związku Sowieckiego studiujących w Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie.

Warsztaty, które odbywać się będą każdego roku we wrześniu w Lailly-en-Val gdzie Józef Czapski wielokrotnie przebywał, służyć mają:

- utrwalaniu pamięci Artysty,
- pogłębianiu znajomości Jego twórczości i działalności,
- poznawaniu kultury francuskiej, z którą zmarły Artysta tak bardzo był związany,
- spotkaniom z artystami polskimi żyjącymi we Francji,
- pogłębianiu więzi polsko-francuskich poprzez sztukę.

Zwracamy się do wszystkich, którym droga jest pamięć Józefa Czapskiego o pomoc finansową w realizacji tego przedsięwzięcia, które zbiega się z bliską już, setną rocznicą Jego urodzin. Dary prosimy przekazywać na adres:

Fonds Humanitaire Polonais,  
24 rue de la Mairie,  
45740 LAILLY-EN-VAL (France).

## Archiwum polityczne

### Polska-Niemcy: po Dniu Zwycięstwa

Mimo upływu wielu tygodni po majowych uroczystościach polsko-niemiecki spór o formę obchodów 50-tej rocznicy końca drugiej wojny światowej skłania nadal do podstawowej refleksji nad stosunkami polsko-niemieckimi. Uznane przez Niemców polskiej granicy zachodniej, wręcz wzorowy traktat o sąsiedztwie polsko-niemieckim, dynamicznie rozwijająca się współpraca przygraniczna oraz historyczne przemówienie prezydenta Herzoga z okazji rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego wprowadziły polityczne elity dwóch państw w euforyczny nastrój, który został zagrożony przez polsko-niemiecki spór o obchody 8 maja. Wielu obserwatorów ocenia, że stosunki polsko-niemieckie są dzisiaj najlepsze od 200 ale najgorsze od 5 lat. Polacy wpadli w znany z historii strach przed izolacją oraz kompleks niższości, a rząd niemiecki nie tylko za granicą lecz też we własnym kraju ponownie podejrzewano o zamazywanie obrazu ostatniej wojny.

Jakie znaczenie miały przemówienie Bartoszewskiego i berlińskie uroczystości dla stosunków polsko-niemieckich? Jak rozwinie się polsko-niemiecki tandem dwóch nierównych partnerów?

#### *Spór o przyszłość*

W przeddzień uroczystości duży rozgłos w mediach niemieckich wywołało opublikowane we *Frankfurter Allge-*



*meine Zeitung* płatne ogłoszenie przypominające, że dzień 8 maja nie tylko jest końcem faszyzmu „lecz początkiem terroru wypędzeń oraz nowego ucisku na wschodzie i początkiem podziału” Niemiec. Inicjatorami tego ogłoszenia byli znani przedstawiciele chadeckiej prawicy oraz inteligencja „niemieckiej nowej prawicy”. Ten apel „przeciwko zapomnieniu” nie tylko był próbą przypomnienia cierpień niemieckiej ludności cywilnej. Przez postawienie na równi ofiar faszyzmu i wysiedlonych Niemców zamazywał przyczyny wybuchu wojny oraz relatywizował niemiecką winę. Treść ogłoszenia przypominała deklarację kukielkowego rządu ostatniego przywódcy Rzeszy, admirała Dönitza, który w końcowych dniach wojny usiłował zdobyć poparcie zachodnich aliantów nie tylko poprzez antybolszewicką retorykę, ale i jako obrońca „gwałconego na wschodzie narodu niemieckiego”. Czytając wypowiedzi Dönitza można było odnieść wrażenie, że główną ofiarą wojny są Niemcy. Dzisiejsza skrajna niemiecka prawica jest w swej retoryce bardziej wyrafinowana. Z propagandą hitlerowskiego admirała łączy ją odwracanie uwagi od odpowiedzialności za popełnione zbrodnie.

Mimo wielkiego rozgłosu prawicowego apelu w mass mediach i telewizyjnych dyskusji na temat interpretacji 8 maja można było zaobserwować, iż historyczne przemówienie ówczesnego prezydenta Republiki Federalnej Niemiec, Richarda von Weizsäckera, sprzed dziesięciu lat odebrało Niemcom potrzebę interpretowania tej historycznej daty. Według niego w 1945 roku większość Niemców odczuwała koniec wojny jako osobistą klęskę. Powszechny był strach przed przyszłością. Dzień ten oznaczał również uwolnienie od hitlerowskiego totalitaryzmu. Koniec wojny umożliwił przede wszystkim stworzenie wzorowej demokracji i otwartego społeczeństwa w zachodniej części byłej Rzeszy.

Współcześni Niemcy wychowali się w kraju, który odwoływał się i odwołuje do oporu przeciw Hitlerowi, zobowiązuje się do solidarności z ofiarami Hitlera. Jak pisał niemiecki dziennikarz Klaus Bachmann na łamach *Rzeczpospolitej*: „W takim rozumieniu 8 maja jest dniem wyzwolenia nie dlatego, że wyzwolono Niemcy, ale dlatego, że wyzwolono ofiary Niemiec”<sup>1</sup>.

1. Klaus Bachmann, „Nie ma za bardzo czego świętować”, *Rzeczpospolita*, 6-8 maja 1995.

Dyskusje wokół 8 maja 1945 oraz formy jego obchodów – jak słusznie zauważył Bachmann w swoim znakomitym esej – a zatem też udziału Polaków w niemieckich obchodach, nie były tak naprawdę sporem o „interpretację tego, co się stało przed pięćdziesięcioma laty, lecz o to, jaką drogą mają teraz iść Niemcy. Nie jest to spór o historię, lecz o politykę”.

Dyskusja wokół obchodów pokazała wyraźnie, iż kanclerz Kohl odwołuje się do tradycji antyhitlerowskiej, podkreśla znaczenie 8 maja jako wyzwolenia, nie dlatego aby jedynie wyrazić swą solidarność z ofiarami niemieckiej zbrodni, lecz dlatego, żeby móc znaleźć się wśród tych, dla których rok 1945 był i wyzwoleniem i zwycięstwem.

Chcąc być razem ze zwycięzcami, Kohl świadomie postawił na wyłączenie z uroczystości przedstawicieli sąsiadujących z Niemcami narodów-ofiar, do których nie należeli przecież tylko i wyłącznie Polacy. Bulwersująca była przy tym makiaweliczna uporczywość Kohla, który za cenę ostrej krytyki za granicą i we własnym kraju nie zmienił swojego zdania i ograniczył uroczystości do udziału aliantów.

### *Dwie opcje polityki niemieckiej*

Większość niemieckiej opinii publicznej zdystansowała się od projektu uroczystości przedstawionego przez Kohla. Wydawca renomowanego tygodnika *Die Zeit*, były kanclerz RFN Helmut Schmidt, ostro zaatakował Kohla twierdząc, iż nie ma wyczucia Polaków i nie rozumie, że takie postępowanie może zagrozić historycznemu pojednaniu i przyszłości wspólnego sąsiedztwa<sup>2</sup>.

Ocena Schmidta nie była rutynową krytyką rządu przez opozycję. Oburzenie opozycji oraz części chadecji i liberałów doprowadziło nawet do stworzenia ponadpartyjnej inicjatywy ratowania obrazu Niemiec, co spowodowało zaproszenie polskiego ministra spraw zagranicznych przez obydwie izby ustawodawcze, przez Bundestag i Bundesrat.

Spór o obchody 8 maja ujawnił podział zdań o przyszłość

2. Helmut Schmidt, „Falsche Symbole”, *Die Zeit*, 31 marca 1995.



ci niemieckiej polityki zagranicznej nie tylko pomiędzy rządem a opozycją, ale także wewnątrz koalicji chadecko-liberalnej. Z jednej strony są tacy politycy jak prezydent Bundestagu, pani Süßmuth z CDU, czy też socjaldemokraci i zieloni, którzy reprezentują opcję polityki zagranicznej wystrzegającej się nowej narodowej pewności siebie i samozadowolenia z pięćdziesięciu lat wzorowej demokracji. Owszem, są świadomi znaczenia państwa niemieckiego, chociażby jako gospodarczego mocarstwa Europy. Z dystansem odnoszą się do niemieckiego udziału w wojnach w Somalii czy w Bośni, nie ufając przyśpieszonym militarnie rozwiązaniom konfliktów na arenie międzynarodowej. Dla obserwatora polskiego ważny jest fakt dystansu tej części polityków od mocarstwowej *Realpolitik* zainspirowanej Jałtą. Wspólną ich cechą jest dążenie do skoordynowanej polityki zagranicznej państw Unii Europejskiej, z jednoczesnym zaakceptowaniem ograniczenia suwerennej polityki zagranicznej Niemiec.

Po drugiej stronie jest opcja Helmuta Kohla, która na pewno nie stanowi podłoża do podziału Europy na sfery wpływów ani do całkowicie niezależnej, odciętej od Brukseli polityki nowego niemieckiego mocarstwa. Wzorem zwolenników opcji Kohla jest Francja. Tak jak i Francja chciałaby podkreślić swoje znaczenie poprzez aktywny udział niemieckiego wojska w konfliktach, a nie jak podczas wojny z Irakiem jedynie poprzez finansowe poparcie. Kluczowym celem tej opcji polityki zagranicznej jest otrzymanie stałego miejsca w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Polityka ta, której zwolennikiem jest między innymi minister spraw zagranicznych Klaus Kinkel, ryzykuje zakłócenia atmosfery w stosunkach z sąsiadami, którzy nie należą do wielkich mocarstw. Wiele ważnych decyzji zapada w grupie kilku mocarstw, a więc dobrze byłoby zakotwiczyć się na stałe w tym klubie, z ryzykiem pewnych irytacji w Hadze, w Warszawie lub w Pradze. Obchody 8 maja w Berlinie miały symbolizować akceptację Niemiec jako równego partnera w gronie byłych zwycięzców.

W tym miejscu podkreślić trzeba fakt, często pomijany przez polską publicystykę, iż nie tylko Kohl pcha Niemców na arenę światowej polityki w roli nowego mocarstwa. Francja, a może nawet bardziej Stany Zjednoczone życzą sobie,

aby Niemcy przejęli część ich ciężaru w obronie porządku atlantyckiego. Oczekiwania Amerykanów trafiają na niechęć ze strony niemieckiej opinii publicznej. Rekordowy deficyt budżetu oraz dwubilionowe (!!) zadłużenie państwa zmuszają Niemców raczej do ograniczania wydatków na obronę. Należy spodziewać się ograniczenia niemieckiej pomocy finansowej dla państw Europy Wschodniej. Do finansowych ograniczeń dla niemieckiej polityki zagranicznej dochodzi powszechne uczucie Niemców, porównywalne z dyskusją w Stanach Zjednoczonych, iż państwo powinno zająć się własnymi problemami. Większość Bundeswehry jest psychicznie przygotowana na obronę ojczyzny a nie na działania wojenne w obcych regionach.

Myślę, że skromność w polityce bezpieczeństwa nie budzi u Niemców kompleksu niższości tak jak przed dwiema światowymi wojnami. Zachwiać niemiecką tożsamością może jedynie wypadnięcie z grupy najważniejszych potęg technologicznych czy też handlowych. Dlatego Niemcy konsekwentnie dążą do pogłębienia struktur Unii Europejskiej, widząc w integracji jedyną możliwość ratowania gospodarczego znaczenia Europy poprzez wspólny wysiłek najbogatszych na naszym kontynencie. Niemiecki rząd zaakceptowałby także dalsze ograniczenia suwerenności, jak wprowadzenie wspólnej waluty, która zlikwidowałaby żelazną markę.

Niemieckie poparcie dla pogłębienia procesu europejskiej integracji może być oczywiście także interpretowane jako próba zdominowania kontynentu poprzez tworzenie struktur ponadpaństwowych. Myślę jednak, że każda taka próba spowodowałaby stworzenie skutecznych antyniemieckich koalicji wewnątrz Unii czy też nawet doprowadziłaby do zatrzymania procesu integracji, co nie jest w interesie niemieckiego biznesu.

Jak widać, obraz polityki zagranicznej Niemiec obfituje w sprzeczności. Helmut Kohl wyrывa się do Rady Bezpieczeństwa ONZ. Często podkreśla znaczenie Niemiec nie tylko jako mocarstwa gospodarczego ale i militarnego, przyznaje się do chęci przejęcia części odpowiedzialności za los świata od klasycznych mocarstw. Z drugiej strony ten sam Helmut Kohl dąży do pogłębienia integracji europejskiej, która nie zapewni Niemcom większych wpływów. Przy



wygórowanych ambicjach Niemcy muszą liczyć się z dużym oporem ze strony partnerów z Unii Europejskiej, który doprowadziłby do nie chianej izolacji.

### Lekcja historii

Chciałbym tutaj znów nawiązać do sporu o obchody Dnia Zwycięstwa. Czy słusznie ocenił Jerzy Giedroyc na łamach *Tygodnika Powszechnego* wystąpienie Władysława Bartoszewskiego przed parlamentem niemieckim jako niewłaściwe?<sup>3</sup>

Przemówienie Bartoszewskiego przyjęte zostało przez prasę niemiecką jak kamień milowy w stosunkach polsko-niemieckich. Myślę, że trafnie ocenił treść przemówienia redaktor berlińskiego dziennika *Der Tagesspiegel* Christoph von Marschall<sup>4</sup>:

Bartoszewski „nie powiedział ani jednego zdania, którego z niemieckiego punktu widzenia nie można byłoby podkreślić. Jednocześnie nie poddał się pokusie wątpliwego stwarzania harmonii, która godzi tylko tymczasowo, ale nie na stałe. Niezłomnie nazwał niesprawiedliwość niesprawiedliwością i rozróżniał pomiędzy przyczynami i skutkami”.

Potępienie gwałtownego wypędzenia Niemców z Polski było bardzo ważnym gestem przedstawiciela polskiego rządu, gestem na który czekała nie tylko niemiecka prawica albo organizacje ziomkostwa, lecz także ci Niemcy i Polacy, którzy dążą do obrazu wspólnej historii bez białych plam. Jak na suwerenną demokrację Polacy zdecydowali się na ten gest zbyt późno. Vaclav Havel kilka dni po objęciu urzędu prezydenta Czechosłowacji jesienią 1989 roku przeprosił ofiary wysiedlenia Niemców sudeckich. Ta zaskakująco szybka reakcja zapewniła uznanie w Niemczech nie tylko Havlovi, ale całemu narodowi. W oczach Niemców polscy demokraci pozostali nietolerancyjnymi nacjonalistami. Jak wiemy obraz

3. Jerzy Giedroyc, „Przed Dniem Zwycięstwa”, *Tygodnik Powszechny*, 23 kwietnia 1995.

4. Christoph von Marschall, „Mit den Augen eines Polen”, *Der Tagesspiegel*, 29 kwietnia 1995.

polskiej polityki nie odpowiadał rzeczywistości, ponieważ szybko zaakceptowaliśmy organizującą się w Polsce mniejszość niemiecką, otwierając szerokie pole dla działalności kulturalnej i politycznej w przeciwieństwie do rządu w Pradze, który schizofrenicznie boi się mniejszości w swoim kraju. A jednak nie udało się nam zdobyć sympatii poprzez wczesny gest w stosunku do niemieckich ofiar polskiej polityki.

Podczas wystąpienia Bartoszewskiego można było odnieść wrażenie, iż mimo imponującego przemówienia ministra jubileuszowe zebranie parlamentu niemieckiego stoi w cieniu berlińskich obchodów. Jedna trzecia ławek Bundestagu świeciła pustką, co nie dziwi podczas rutynowych posiedzeń plenarnych izby, ale nie podczas historycznych uroczystości. Widocznie część posłów odebrała wystąpienie polskiego ministra jako drugorzędną imprezę obchodów końca wojny. Głosy tych, którzy chwalili przemówienie Bartoszewskiego, wyrażały również wstyd za niezręczność i arogancję kanclerza. Wizyta Bartoszewskiego miała też nie zauważone przez wielu Polaków wewnątrzniemieckie znaczenie. Jeśli wyjdziemy z założenia, że dyskusja na temat obchodów ukazała dwie różne formy tożsamości niemieckiej oraz opcji politycznej naszego sąsiada, to przyjmując zaproszenie prezydium Bundestagu Bartoszewski stanął po stronie tych, którzy dążą do umiarkowanej polityki, dystansując się od nowej *Realpolitik* ekskluzywnego klubu mocarstw, i wreszcie stanął po stronie tych, którzy potępiają dwuznaczną symbolikę.

Jak pokazały sondaże wśród młodzieży większość młodych Niemców popiera taką u rkwianą opcję polityczną. Ciekawy obraz historycznej świadomości daje przeprowadzony w kwietniu bieżącego roku sondaż niemieckiego tygodnika *Die Woche*, z którego wynika, że zdecydowana większość młodzieży pomiędzy 14 a 25 rokiem życia potępia nie tylko nazizm, ale i wszelkie formy skrajnych prawicowych postaw. Tylko jeden procent młodzieży na wschodzie a dwa procenty na zachodzie zaakceptowałyby użycie broni przez Niemców do przeforsowania narodowych interesów na świecie<sup>5</sup>.

5. „Gespaltenes Bewußtsein”, *Die Woche*, 5 maja 1995 r.



### Emocjonalne trudności

Jak widać trudno jest jednoznacznie ocenić przemówienie Bartoszewskiego. Jego wystąpienie przyniosło wiele sympatii i poparcia dla polskiego ministra w Niemczech. Słusznie zaobserwował Adam Krzemiński z *Polityki*, że niełatwo jest zdecydować „czy uznanie dla polskiego ministra da się bezpośrednio przenieść na uznanie dla polskiego państwa i społeczeństwa”<sup>6</sup>.

Rzeczywiście, obserwujemy sprzeczność pomiędzy klimatem stosunków polsko-niemieckich a entuzjazmem polityków. Helmut Kohl wykorzystał ten emocjonalny dystans między dwoma narodami przy przeforsowaniu własnej koncepcji obchodów 8 maja. Zdawał sobie sprawę z tego, że przeciętnego Niemca jego decyzja nie zbulwersuje, ponieważ Polacy są mu obojętni. Znowu możemy sięgnąć do ciekawych wyników sondaży: 57 procent młodych Niemców uważa, że Polacy jako naród są gorsi od nich. Na skali sympatii Polacy znaleźli się na ostatnim miejscu. „Nie lubiani w Niemczech Polacy nie zasługują na to, by – w razie przyjęcia do struktur europejskich — niemiecka armia miała ich bronić. Według niemiecko-amerykańskiego sondażu, aż 54 procent Niemców zgodziło się na prewencyjny atak własnych żołnierzy w Libii, 41 procent na obronę Turków przed Irakiem, a tylko 25 procent przystałoby na wysłanie Bundeswehry do obrony Polaków przed atakiem Rosji”<sup>7</sup>.

Antypatii tych nie można jednak ograniczać wyłącznie do stosunków polsko-niemieckich. Niestety Polacy także w wielu innych krajach nie cieszą się zbyt wielką sympatią. Równocześnie tolerancja Polaków w stosunku do cudzoziemców oraz gotowość zrozumienia innych narodów też nie stanowią silnej strony naszego kraju. Wciąż „lawirujemy między kompleksem niższości i irracjonalnym poczuciem wyższości, które objawia się nawet wtedy, gdy nic go nie uzasadnia”, zauważył profesor Jerzy Szacki.

6. Adam Krzemiński, „Kto w końcu wygrał wojnę?”, *Polityka*, 13 maja 1995.

7. „Czarny charakter Europy”, *Wprost*, 26 marca 1995.

### Nierówne partnerstwo

Polsko-niemieckie stosunki jeszcze przez długi czas nie dorównają francusko-niemieckiemu partnerstwu, które polsko-niemieckie *lobby* wyznaczyło sobie jako wzór. Jedną z głównych przeszkód jest oczywiście różnica w poziomie życia, budząca u bogatszych Niemców niechęć do biedniejszych Polaków. Dochodzi do tego fakt, iż w egzystencjalnie ważnych dla Niemców strukturach NATO oraz Unii Europejskiej nie liczy się nasz głos. Na co dzień niemieckie elity polityczne konfrontowane są w Brukseli z polityką tak małych i odległych państw jak Portugalia i Grecja. Wspólny rynek Unii powoduje, iż dla niemieckich inwestorów Półwysep Iberyjski jest bliższy od środkowoeuropejskich sąsiadów. Dopiero członkostwo w Unii Europejskiej oraz NATO otworzy drogę do równego partnerstwa poprzez równouprawnienie.

Wymienić można wiele innych przykładów, z powodu których punkt wyjścia dla nowych stosunków polsko-niemieckich różni się od modelu francusko-niemieckiego pojednania. Nadmienić należy tutaj fakt, iż Polska w dwudziestym wieku nigdy nie odgrywała militarnej albo gospodarczej roli porównywalnej z Francją. Z „łaski” aliantów wojska francuskie po wojnie zajęły część Niemiec i pozostały przez ponad czterdzieści lat na ziemi niemieckiej. Mimo politycznych antagonizmów elity niemieckie nigdy nie interesowały się kulturą, językiem, historią Polski, tak jak czyniły to w stosunku do Francji. Zainteresowanie Polską nawet zanika, czego dowodem jest coraz mniejsza ilość wydawanej polskiej publicystyki, czy beletrystyki. Innym przykładem nierównego partnerstwa może być wymiana młodzieży polsko-niemieckiej. Budżet organizacji polsko-niemieckiej wymiany młodzieżowej (*Jugendwerku*) wynosił w ubiegłym roku dziewięć milionów marek, czterdzieści lat temu ta sama niemiecko-francuska instytucja dysponowała trzydziestoma milionami marek, a więc zdecydowanie lepszymi środkami finansowymi.



### *Model dla Europy*

Bilans stosunków polsko-niemieckich ostatnich lat jest imponujący. W ciągu zaledwie pięciu lat kraje należące do wrogich bloków przekształciły się w partnerów, którzy w zasadniczych sprawach politycznych często mają to samo zdanie, a ich wojska w ubiegłym roku przeprowadziły aż cztery wspólne manewry. Liczba obywateli odwiedzających sąsiadów jest o dwanaście razy większa niż pięć lat temu, a po upadku komunizmu obroty handlu wzrosły sześciokrotnie. W tym miejscu muszę podkreślić fakt, iż – jak słusznie stwierdził minister Bartoszewski w swoim przemówieniu przed Bundestagiem – „uregulowania polsko-niemieckie, ich realizacja, są postrzegane dziś przez wiele innych państw jako dobry model skutecznego rozwiązywania problemów mniejszości”.

Polsko-niemiecki traktat o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy stał się wzorcem dla uregulowania stosunków zjednoczonych Niemiec z innymi państwami na wschodzie.

Mimo tych wręcz historycznych osiągnięć polsko-niemiecka współpraca w każdej dziedzinie utrudniana jest „przez asymetrię wkładu materialnego i intelektualnego we wspólnym procesie budowania nowego partnerstwa. Ta asymetria jest aspektem normalności we wzajemnych stosunkach między społeczeństwami i państwami, które dysponują odmiennymi potencjałami gospodarczymi i które na poziomie międzynarodowym nie mogą być stawiane na tym samym stopniu”<sup>8</sup>.

### *Zbieżność interesów?*

Rządy obu państw łączą zbieżność interesów w tak zasadniczych problemach jak członkostwo Polski w Unii Europejskiej i w NATO. Jednak w tych dwóch kluczowych

8. Instytut Zachodni, *Raport o współpracy polsko-niemieckiej 1990-1995*, Poznań 1995.

problemach polityki zagranicznej zaobserwować można różnice postaw w niuansach. Poszerzenie Unii Europejskiej dla gospodarki niemieckiej byłoby na pewno szansą dalszej ekspansji na wschód. Wśród przeciętnych obywateli perspektywa ta nie budzi zachwytu, wręcz przeciwnie, otwarty rynek pracy dla Polaków może nasilić problemy socjalne zjednoczonych Niemiec. Z nowych baz produkcyjnych przemysłu niemieckiego na wschodzie będzie raczej korzystać rynek pracy nowych członków poszerzonej Unii.

Na polsko-niemieckich konferencjach przedstawiciele rządu niemieckiego deklarują poparcie dla szybkiego wstąpienia Polski do Unii Europejskiej. Wyobrażenia na temat tempa integracji wschodnich sąsiadów są jednak różne. W najbliższej przyszłości przychylni Polsce Niemcy konfrontowani będą z wieloma problemami w Brukseli, które zdecydują o szansach pogłębienia integracji europejskiej, a rozwiązanie ich jest warunkiem do dalszych kroków w stronę poszerzenia wspólnoty na wschód. Wymienię tutaj kilka kluczowych problemów.

1. Reforma struktur podejmowania decyzji. Nadal każdy z członków Unii dysponuje vetem, co przy przyjmowaniu coraz to nowych członków hamuje proces integracji.

2. Wprowadzenie wspólnej waluty europejskiej. Projekt ten zagrożony jest przez brak spełnienia ustalonych kryteriów stabilności przez większość członków Unii.

3. Reforma polityki agrarnej, co oznacza ograniczenia subsydiów dla rolnictwa, niepopularne w wielu krajach należących do przeciwników dalszego poszerzenia Unii. Udział krajów wyszehradzkich w nie zreformowanej polityce agrarnej Unii obciążałby Brukselę o dalsze subsydia sięgające dwudziestu miliardów ECU. Dla niemieckiego rolnika Polak byłby konkurentem przy podziale egzystencjalnie ważnej pomocy finansowej.

Większą nadzieję na spełnienie ma członkostwo Polski w NATO, popierane w tym wypadku konsekwentnie przez Niemców. Pewne różnice poglądów polskich i niemieckich można zaobserwować jednak w koncepcjach politycznych oraz w spojrzeniu na problemy bezpieczeństwa. Polacy nie znajdują zrozumienia i wydają się być zirytowani niemieckim



dystansem do myślenia wyłącznie w strukturach bilateralnych, faworyzowaniem przez Niemców amerykańskiej multilateralnej perspektywy i nieodłączaniem problematyki polskiej od całego tła kontynentalnego bezpieczeństwa. W perspektywie niemiecko-amerykańskiej członkostwo Polski w NATO poszerza jedynie terytorium układu północnoatlantyckiego i nie zwiększa bezpieczeństwa w tej części Europy, która należała kiedyś do sfery wpływów Związku Sowieckiego. Ważniejszym problemem dla Niemców jest bezpieczeństwo krajów bałtyckich czy też Ukrainy, „bliskiego sąsiedztwa” Moskwy, budzącego apetyt rosyjskich nacjonalistów. Porównując swoją sytuację geopolityczną z Drugą Rzeczypospolitą Polacy zapominają, że po upadku imperium sowieckiego demokratyczna Polska przesunęła się na politycznej mapie Europy na zachód, a *de facto* na wschód od Polski powstał nowy „bufor”, od bezpieczeństwa którego zależy przyszłość kontynentu. Jako inny ważniejszy przykład można podać chociażby strach NATO przed wciągnięciem Węgier do wojny bałkańskiej, nie mówiąc już o całej skomplikowanej wojnie w Bośni i Chorwacji, która coraz bardziej wciąga w konflikt sojusz atlantycki. Irytujący dla Polaków jest stosunek Niemców i Amerykanów do Rosji. Bonn na pewno, tak jak i Waszyngton, dalej będzie się liczyć z mocarstwem rosyjskim akceptując wyjątkową rolę Moskwy w architekturze bezpieczeństwa europejskiego.

Dalej jednak będzie łączyć Polaków i Niemców głęboko zakorzeniona świadomość, iż bezpieczeństwo Niemiec jest zależne od sukcesu przekształceń w Polsce. Dlatego niemieckie elity polityczne i gospodarcze mimo zastrzeżeń i ostrożności zmuszone są do poparcia politycznych ambicji Polaków na drodze do NATO i Unii Europejskiej. Polacy i Niemcy skazani są wręcz na zbieżność interesów.

Berlin, 12 czerwca 1995

*Basil KERSKI*

## O rzekomej determinacji Pragi słów kilka

Jestem historykiem z wykształcenia i zawodu, także z zamiłowania i od ponad 40 lat zajmuję się nowożytną, głównie dwudziestowieczną historią Europy Środkowej i Polski, stosunkami polsko-czeskimi, polsko-czechosłowackimi i *vice versa*. Już z tego wynika, że różne kwestie i problemy dotyczące Zaolzia nie są mi obce lub nie znane, nieraz o nich pisałem – naukowo i publicystycznie – u siebie w kraju lub w Polsce. Zapewne w poszczególnych sprawach mogę się różnić i różnić się od polskich kolegów, nikt mnie jednak nie posądził o nastawienie antypolskie. Bywało między naszymi narodami i państwami bardzo różnie, dziś jednak chyba panuje w Trzeciej Rzeczypospolitej i w pierwszej w dziejach Czeskiej Republice zgoda co do tego, że obydwie nasze państwa i narody nic nie dzieli, żadne poważne ogólnopństwowe interesy. Nawet sprawa Zaolzia i żyjącej tam mniejszości polskiej. Dlatego artykuł pana Janusza Mondrego, zamieszczony w grudniowej *Kulturze* (nr 12/567, s. 58-62), naprawdę był dla mnie dużym zaskoczeniem z wielu przyczyn.

Przede wszystkim wyraźnie nie rozumiem konfrontacyjnej tonacji tekstu, która zaczyna się już tytułem prezentującym czytelnikowi rzekomą „czechizację Zaolzia” jako fakt niewątpliwy i bezsporny. Żeby zaś czytelnik nie zapomniał, jakie wnioski powinien z artykułu wysnuć, artykuł kończy się podkreśleniem przekonania, że właśnie „ostateczna czechizacja” jest przedmiotem „nie tak jawnej, lecz niewątpliwej determinacji Pragi”. Między początkiem i końcem lubuje się p. Mondry w zaskakujący sposób w zwrotach wyraźnie emocjonalnych i raczej drastycznych, jak „ponura rzeczywistość”, „bezwzględna czechizacja”, „drakońskie zarządzania Pragi”, itp. Wszyscy wiemy, co z dziennikarskiego lub publicystycznego tekstu pozostaje po pewnym czasie w świadomości czytelnika: z reguły niewiele szczegółów, raczej ogólniki, mgliste pojęcia, że były jakieś skargi, itp. – no i tytuł, zwłaszcza jeśli jest tak drastycznie i emocjonalnie sformułowany. Na wieść o ucisku rodaków „za kordonem” reaguje się przecież w Polsce (zresztą nie tylko tam) już



tradycyjnie. Na serio jednak przekonywających dowodów owej rzekomej czechizacji w tekście nie ma, albo dotyczą one drobnostek. Mieszkam i pracuję w Pradze, wydaje mi się jednak, że bywam na Zaolziu znacznie częściej od p. Mondrego, który zdany jest raczej na opinie swych informatorów, bez możliwości ich sprawdzenia. Niedawno byłem w Czeskim Cieszynie na wernisażu wystawy „Polacy na Zaolziu” w tamtejszym muzeum. Jest to skrót (ze względów przestrzennych) wystawy, eksponowanej w swoim czasie w warszawskim Muzeum Narodowym. Zaproponowałem, by ją przedstawić także w Pradze, mam nadzieję, że się to uda. Przechodząc ulicami, patrzyłem na napisy na sklepach. Racja, dawniej państwowe organizacje handlowe – innych nie było – bardziej dbały o dwujęzyczność napisów, aniżeli dziś prywatni właściciele. Niewątpliwie świadczy to o braku nadzoru władz miejscowych czy powiatowych. Sprawy te mają być przekazane przysłanym wyższym organom szczebla ponadpowiatowego (tzn. jakichś województw lub regionów), sprawa tych organów jest jednak w zawieszeniu, rządząca w RCz koalicja nie jest w stanie dogadać się, jaki ma być zasięg ich kompetencji i nawet ile ich ma być. Luka ta jest coraz bardziej w wielu sprawach kłopotliwa, np. przy finansowaniu szpitali itd. Czy jednak braki w dwujęzyczności szyldów sklepowych są na tyle ważne, by służyły za dowód czechizacji?

Wiele miejsca poświęca p. Mondry tzw. roszczeniom majątkowym organizacji polskich na Zaolziu, niestety nie informuje o sprawie ściśle. Znam owe memoriały wysyłane do władz w Pradze. O ile mogłem stwierdzić, *żadna* z obecnie istniejących organizacji polskich na Zaolziu *nie jest* w rozumieniu prawnym „prawowitym spadkobiercą” dawnych zrzeszeń, nie sposób więc tym pojęciem argumentować, jak czyni to p. Mondry (bo to jest wprowadzanie zamętu pojęciowego i mylenie czytelnika). Owe nieruchomości zostały skonfiskowane, wówczas jako tzw. majątek polonicki, nie przez „władze komunistyczne”, ale przez władze czechosłowackie w 1945 r., więc w czasie, kiedy nie mogło być mowy o „komunistycznym reżymie” w Czechosłowacji. Jeżeli p. Mondry wspomina niechęć urzędów gminnych do przekazywania obecnie owego majątku Polakom, trudno mówić o graniu na zwłokę. Podstawowym faktem jest to, że nie ma do tego żadnej podstawy prawnej (ustawy) i sądę, że jej nie będzie i zresztą nie może być. Żaden rząd praski nie może czynić jednostronnych ustępstw tylko w stosunku do

jednej mniejszości w państwie; precedens taki zostałby niewątpliwie wykorzystany przez mniejszość niemiecką. Chyba nie muszę wyjaśniać, co by to oznaczało, czytelnik polski powinien to zrozumieć. Zupełnie otwarcie powiedział to prezydent Wałęsa podczas niedawnej wizyty w tymże Czeskim Cieszynie.

Podstawowym błędem referowania p. Mondrego o sprawach majątkowych jednak jest to, że nie powiedział ani słowa o stanie prawnym całej tzw. restytucji majątkowej w Rep. Czeskiej. Czytelnik łatwo może się przekonać, że w tym kraju jakoś zwraca się wszystko wszystkim, tylko nie Polakom – ze złej woli. Obecny rząd premiera V. Klausea od wyborów w 1992 r., jak zresztą i rząd P. Pitharta po wyborach 1990 r. stały i stoją na stanowisku, że absolutna restytucja majątków wg stanu z r. 1945 lub nawet 1938 r. jest nie do pomyślenia i nie do zrealizowania, po prostu państwa na to nie stać. To, co u nas potocznie określa się jako „restytucja”, jest *sensu stricto*, jak to określa odnośna ustawa, tylko „częściowym” naprawieniem krzywd spowodowanych przez reżym komunistyczny”. Akceptowano przy tym dwie nieprzekraczalne zasady: pierwszą jest, że restytucje dotyczą tylko zmian majątkowych po dniu 25 lutego 1948 r. (data puczu komunistycznego), drugą zaś respektowanie serii dekretów prezydenckich z mocą ustawy z 1945 r., przeprowadzających m.in. wywłaszczenie majątku Niemców, Węgrów i kolaborantów czeskich i słowackich. Istnieje ponadto trzecia zasada mówiąca, że owo częściowe naprawienie krzywd dotyczy tylko i wyłącznie dawnej własności osób indywidualnych, nie zaś majątku jakichkolwiek osób prawnych (wyjątkiem była częściowa restytucja majątku Kościoła). Żeby to uprzytomnić czytelnikom, wyobraźmy sobie, że majątek rodziny został podzielony tak, że starszy syn dostał nie tylko kamienicę, w której mieścił się sklep rodzinny, który on miał dalej prowadzić i odziedziczyć, ale też np. rodzinną willę w danym mieście. Młodszy syn, przeznaczony np. do wolnego zawodu, otrzymał tej samej wartości akcje przemysłowe, obligacje państwowe itd. Więc obecnie starszy syn otrzyma z powrotem obydwie nieruchomości, młodszy zaś nic. Jeżeli jednak np. owa kamienica ze sklepem została w księgach wieczystych zapisana nie jako własność indywidualna, ale jako własność firmy, rodzinnej spółki (gdzie wszystkie udziały były tylko w rękach rodziny – niekiedy tak postępowano np. ze względów podatkowych), to taka nieruchomość jako własność dawna



osoby prawnej restytuowana nie zostanie. Zapewne to można określić jako niesprawiedliwość czy niedoskonałą sprawiedliwość.

Jeżeli więc organizacje polskie na Zaolziu domagają się zwrotu własności z okresu przedwojennego, w dodatku drogą ustawy, stoją temu na przeszkodzie aż trzy zasady natury zupełnie podstawowej i wagi ogólnopolskiej, przyjęte w imię słusznie i realistycznie pojmowanego interesu ogólnopolskiego. Tak wygląda strona prawna całego problemu. Tylko jakieś *on dit* jest podstawą twierdzenia p. Mondrego, że rzekomo władze czeskie wymagają uprzedniego zrehabilitowania przedwojennych polskich organizacji, zanim mogłyby być mowa o restytucji ich dawnych majątków. Żadna z obowiązujących czeskich ustaw nie przewiduje „kadrowania” organizacji jako warunku zwrotu majątku. Nie znam żadnej czeskiej przedwojennej organizacji, która zostałaby „zrehabilitowana”. W jaki sposób miano by to robić? Istnieją rehabilitacje prawne, polityczne, moralne i nie wiem jakie jeszcze. Ponieważ ustawy obowiązujące w Pradze są te same jak na Zaolziu, starałem się dociec, skąd się ta informacja wzięła. Otóż rzeczywiście, któreś z delegacji zaolziańskich powiedział to w Pradze urzędnik bardzo niskiego szczebla w ministerstwie jako swoją opinię, bynajmniej nie było to nigdy stanowiskiem oficjalnym władz.

Czytelników *Kultury* należy poinformować też o tym, że istnieje spory nieruchomy majątek mniejszości polskiej względnie PZKO, czyli głównej polskiej organizacji na Zaolziu. Jest to ponad 40 budynków gminnych klubów i świetlic, mniejszych i większych. Powstały one głównie poczynając od lat 60-tych w ramach tzw. „akcji Z”, czyli w czynnie społecznym. W ten sposób budowano w miasteczkach i wsiach w całej Czechosłowacji świetlice, „domy kultury”, kina, przychodnie lekarskie, sklepy itd. Zaryzykowałbym twierdzenie, że nasycenie terenu Zaolzia obiektami tego rodzaju jest wyraźnie większe aniżeli w innych rejonach; niewątpliwie wybitną, nawet decydującą rolę w tym grała aktywność miejscowej ludności. W minionym systemie nie było problemem uzyskanie z kasy ogólnopolskiej nawet dość dużych środków pieniężnych przy poparciu gminy, instancji tzw. Frontu Narodowego i nawet KPCz; kłopot był z tzw. mocami przerobowymi przedsiębiorstw budowlanych, dlatego robociznę trzeba było dostarczyć drogą pracy społecznej. Zbudowane kluby, świetlice itd. służyły przy

okolicznościowych oficjalnych akcjach i kampaniach (np. przedwyborczych), także jako świetlice agitacyjne, lokale wyborcze, itd. Nie wytykam tego, takie były po prostu czasy.

Reasumując można stwierdzić, że tak wyśrubowana przez p. Mondrego sprawa tzw. restytucji majątkowej oznaczałaby w praktyce zastrzeżenie dla stowarzyszeń polskich na Zaolziu sytuacji absolutnie uprzywilejowanej wobec wszystkich innych organizacji czeskich, co uważam za stanowisko raczej niezbyt racjonalne. Zostawiam na boku pytanie zupełnie praktyczne, jaki sens miałoby domaganie się zwrotu takich nieruchomości, jak np. park miejski, wymagający przecież corocznie poważnych środków na utrzymanie, z trudno wymiernymi dochodami. Analogicznie sędzę, że właśnie dla mniejszości o wiele lepiej, jeżeli np. budynki szkół polskich pozostają w rękach państwa względnie gminy, bo państwo i gmina ponoszą też odpowiednie, dziś wcale poważne koszty remontu. Pan Mondry wzmiankuje o możliwości ewentualnej odsprzedaży obiektów, zamiast restytuowania, za symboliczną koronę. Pod tym względem zaznaczam, że na taki kierunek zapewne niezbyt budująco i zachęcająco działa fakt, że jak przeczytałem w prasie zaolziańskiej, hotel Piast w Czeskim Cieszynie, który za sprawą jeszcze rządu P. Pitharta odsprzedano tanio spółce polskiej (w latach 60-tych PZKO odsprzedał hotel z powodu ciągłych strat państwowemu przedsiębiorstwu restauracyjnemu), ma znów poważne straty w bilansie rocznym. Z reguły na hotelach i restauracjach się zarabia, i to nieźle.

Dotykając sprawy dotacji rządu praskiego dla mniejszości polskiej, p. Mondry ani słowem nie wspomina, że wg analogicznych zasad finansuje działalność mniejszościową także rząd polski. Oznacza to, że finansuje się konkretne akcje i przedsięwzięcia, a nie przydziela się, jak dawniej, globalnej sumy dla mniejszości jako całości. Zmniejszenie dotacji rządowych spowodowało w początkach 1994 r. niemałą burzę w prasie zaolziańskiej, w której całkowicie zignorowano fakt, że zmiana metody przydziału subwencji była zawczasu znana, należało więc projekt budżetu do tego dostosować. Z trudem ktoś z czytelników zrozumie, co kryje się za mocno enigmatycznym zwrotem, że „teoretycznie dotacje jako takie nie zostały zawieszone”, wobec tego nie ma podstaw do „ostrzejszych protestów wobec rządu RCz”. Faktycznie praskie ministerstwo kultury do subwencji w wysokości 1 miliona koron z początku roku dodało we wrześniu 1994 r.



następne 1,114 miliona koron, właśnie by zapobiec poważniejszym trudnościom w działalności PZKO. Obok tej wcale pokażnej sumy (to nie miliony starych złotych, 1 USD=ok. 28 koron!) przyznano w 1994 r. subwencję prasie polskiej na Zaolziu w wysokości 6,6 mil. koron. Czy takie postępowanie mieści się w ramach „sprytnego manewru politycznego Pragi” celem osłabienia działalności PZKO itd., jak to określa p. Mondry?

Zgoda, są ograniczenia i kłopoty finansowe, brak pieniędzy ciąży jednak w nie mniejszej mierze także na czeskich organizacjach społecznych, kulturalnych i naukowych i ich czasopismach lub publikacjach, w wielu wypadkach nawet więcej, aniżeli na prasie zaolziańskiej. Weźmy np. taki fakt, że czeskoszczyński miesięcznik społeczno-kulturalny *Zwrot* był w ub.r. wyjątkowo tani: numer o 80 stronach druku, z kolorową okładką, formatu *Kultury* kosztował zaledwie 8 koron. Porównywalne czasopismo czeskie kosztuje przynajmniej trzykrotnie tyle (czyli tyle samo co paczka papierosów).

Jeśli reaguję w/w informacjami na artykuł p. J. Mondrego, to dlatego, że *Kultura* jest pismem poważnym i opiniotwórczym, jej czytelnicy mają, sądzą, prawo do rzetelnej informacji. Nie chcę twierdzić, że społeczeństwo zaolziańskie problemów nie ma, leżą jednak gdzie indziej. Tekst p. Mondrego skoncentrował się na sprawach raczej peryferyjnych i nawet o nich referuje tak, że zamiast o realiach opowiada o pozorach, z domniemań snuje bardzo daleko idące wnioski, do których zaliczam także tytuł jego artykułu. Nie wiem, na ile czytelnicy poza krajem przypomną sobie, że w Polsce jak dotychczas nie przeprowadza się restytucji nawet w tym ograniczonym zakresie, jak w państwie czeskim. Zresztą z regularnej lektury *Kultury* wiem, że p. Jerzy Giedroyc nieraz dawał wyraz swemu stanowisku przeciwko zbyt daleko idącemu zagalopowaniu się w krajowej restytucji stanu majątkowego sprzed ponad pół wieku.

Jaroslav VALENTA

## A jednak czechizacja

Byłem raczej zaskoczony, iż mój ostatni artykuł o problemach Zaolzia wywołał aż tak gwałtowną reakcję z Pragi, ze strony jednego z czołowych czeskich znawców stosunków polsko-czechosłowackich. Od razu na początku prof. J. Valenta zarzuca mi „konfrontacyjną tonację” tekstu i „emocjonalne” sformułowania. Innymi słowy, artykuł celowo „wyśrubowany” dla siania zamętu w stosunkach czesko-polskich, które są dziś idealne, bez problemów. W moim reportażu w grudniowej *Kulturze* przedstawiam sprawy tak, jak o nich piszą Polacy w prasie zaolziańskiej, jak je widzą i odczuwają, no i tak jak je widzę ja sam, po każdej kolejnej wizycie Zaolzia. Nie neguję, iż prof. Valenta bywa na Zaolziu częściej ode mnie, z Pragi bliżej niż z Londynu. Nie ścigam się również z prof. Valentą o teoretyczne znawstwo problematyki stosunków czesko-polskich, moje profesjonalne zainteresowania leżą gdzie indziej. Jednakowoż w odróżnieniu od prof. Valenty – dla którego problematyka Zaolzia jest przedmiotem akademickich dociekań, a najwyżej sprawą obrony interesów czeskich, w szerszym kontekście stosunków polsko-czeskich, dla mnie bóleczki i problemy Polaków zaolziańskich są sprawami znanymi mi z „pierwszej ręki”. Na Zaolziu się urodziłem, wychowałem, własnymi oczami obserwowałem różne aspekty procesu czechizacji, na własnej skórze doświadczałem antypolskiej dyskryminacji, tak jak zresztą całe rzesze moich rodaków. Cena uporczywego trzymania się polskości była często wysoka. Pod koniec studiów uniwersyteckich w Pradze otwierała się przede mną realna szansa kariery naukowej – przeszkodą okazały się nie tylko brak przynależności partyjnej, lecz również moja narodowość polska. W teorii więc szumne deklaracje równouprawnienia, a w praktyce najbardziej pospolita dyskryminacja.

Przejdę teraz do meritum sprawy, a więc do głównych, polemizujących z moim artykułem wywodów prof. Valenty. Jak prof. Valenta słusznie zauważa, najwięcej miejsca w moim artykule poświęcam sprawie odzyskania majątków polskich, gdyż w moim przekonaniu chodzi tu o problem absolutnie kluczowy dla już nie tyle rozwoju, co samego przeżycia polskości na tych terenach. Prof. Valenta zarzuca mi nieścisłości,



oraz wręcz wprowadzanie „zamętu pojęciowego i mylenie czytelnika”. Obawiam się jednak – i przykro mi to powiedzieć pod adresem tak wybitnego uczonego – iż to właśnie prof. Valenta sprowadza sprawę majątków na zupełnie mylne tory, próbując zredukować to, co jest zasadniczo problemem politycznym, do wąskich ram mocno zagmatwanego stanu prawnego. Co więcej, sprawę naprawienia krzywd wyrządzonych mniejszości polskiej podszywa pod całokształt restytucji majątkowej w Czechach, co jest kompletnym pomyleniem pojęć.

Żeby uwypuklić czytelnikowi fałsz argumentacji prof. Valenty, przypomnę krótko, w jakich okolicznościach dokonywano rabunku mienia polskiego po wojnie. Opieram się m.in. na materiałach z pracy pt. „Korzenie Zaolzia” (aut. St. Zahradnik, M. Ryczkowski, wyd. PAI-press, Warszawa-Praga-Trzyniec, 1992), w której wykorzystano prace zarówno historyków czeskich jak i polskich (m.in. również prof. J. Valenty), a więc trudno posądzać autorów o jednostronność prezentacji omawianych tematów. Przed II wojną światową w Czeskiej Republice istniało 218 polskich organizacji, spółek i spółdzielni, szacuje się że łącznie dysponowały one majątkiem o wartości 40 mln koron przedwojennych. Podkreślam tutaj, że nie chodziło tu o jakieś wielkie przedsiębiorstwa kapitałowe, fabryki itp., lecz o dobra zgromadzone w wyniku pracy i ofiarności ludności polskiej. Bez tej bazy materialnej trudno było sobie wyobrazić proces reaktywowania instytucji narodowych Polaków. Przykład nieruchomości spółdzielni spożywczych ilustruje tu typowy sposób, w jaki majątek polski „przechodził” w czeskie ręce. Skonfiskowany przez Niemców (w czasie okupacji) polski majątek, bezpośrednio po wojnie w sobie tylko znajomy sposób zaczęły wchłaniać czeskie spółdzielnie (np. „Budoucnost” w Ostrawie). Gdy dawni członkowie zarządów polskich zorientowali się, że dochodzi do nic nie mającego z prawem wspólnego transferu, wnieśli do władz stosowne apele o zwrot. Po licznych interwencjach obiecano, iż roszczenia te ureguluje parlament na mocy odpowiedniej ustawy. Ustawa taka (Nr 200/46 Zb.) weszła rzeczywiście w życie w październiku 1946 i teoretycznie dopuszczała odzyskanie przez Polaków zrabowanego majątku. W praktyce jednak zwrot ten był skutecznie blokowany przez opór miejscowych władz powiatowych, wynajdujących coraz nowe przeszkody, przy cichej aprobacie Pragi. Np. trzy miesiące przed lutym 1948 Powiatowa Rada Narodowa w Cz. Cieszyńie wystąpiła

z projektem oddania majątków polskich pod zarząd państwowy. Polacy jednak nie dawali za wygraną, walka o majątek trwała. W r. 1945 rozprawiono się i zamknięto ostatecznie kwestie majątków niemieckich i węgierskich, lecz Polacy należeli politycznie do innej kategorii, trzeba więc było coś wymyślić. I wymyślono, czy też „wyśrubowano”. 17 marca 1952 Komitet Okręgowy Kompartii w Ostrawie zaakceptował projekt Komisji, której zadaniem było ostateczne rozwiązanie problemu majątków polskich organizacji i spółdzielni. W wydanym przez Komisję oświadczeniu widnieje m.in., iż „Polskie organizacje w Cieszyńskim uległy w większości w okresie I Republiki beckowskiemu faszyzmowi i szowinizmowi polskiemu, dlatego nie można przyjąć do wiadomości ich planów wznowienia działalności i roszczeń majątkowych”. Polskie organizacje na Zaolziu zostały więc nie tylko okradzione, lecz również znieważone, na mocy arbitralnie podjętych, politycznych decyzji. Dlatego też odzyskanie bezprawnie zagrabionego mienia jest dziś przede wszystkim sprawą politycznej decyzji Pragi, co przy odrobinie dobrej woli można by załatwić w mig. Oznaczałoby to jednak wzmocnienie żywiołu polskiego na Zaolziu, co oczywiście nie może leżeć w interesie żadnego rządu w Pradze. Sprawa tzw. „rehabilitacji” jest tutaj raczej mniej istotnym, pochodnym zagadnieniem. Wiem tylko, że występuje ona zawsze równoległe z żądaniem zwrotu majątku we wszystkich petycjach Rady Polaków w RCz, a więc nie może być zupełnie wysana z palca.

Porównywanie roszczeń Polaków zaolziańskich do powojennej konfiskaty majątku niemieckiego uważam co najmniej za nietakt. Przypomnę tutaj prof. Valencie, iż sprawę majątków niemieckich zupełnie niepotrzebnie otworzył prezydent V. Havel, co zostało swego czasu wrogo przyjęte przez czeską opinię publiczną, a wszelkie wznowienia roszczeń niemieckich z góry odrzucono. Niemcy są jednak dziś najsilniejszym sąsiadem Czech, ich marka najtwardszą walutą w Europie, stąd niełatwo ignorować siłę argumentów niemieckich. Rzeczywiście dobry pretekst dla blokowania roszczeń Polaków zaolziańskich.

Odnosnie sprawy „dotacji”, której prof. Valenta poświęca tyle miejsca, to podtrzymuję pierwotne twierdzenie, iż zmiany w systemie dotacji są w sumie poważnym osłabieniem bazy finansowej organizacji polskich na Zaolziu. Nie wiem, w jaki sposób dotuje działalność mniejszości narodowościowych



Warszawa, lecz podpisując traktat dwustronny z Polską strona czechosłowacka zobowiązała się do dotowania mniejszości polskiej jako całości, a od tego zobowiązania się obecnie uchyla. Kluczową jednak sprawą dla odbudowy bazy gospodarczej Polaków na Zaolziu jest sprawa odzyskania zagrabionego mienia, co w przeliczeniu na dzisiejszy kurs stanowi całkiem pokaźną sumę. Na tym też problemie skoncentrowałem się w moim grudniowym artykule, a nie na sprawach „peryferyjnych”, jak mi to zarzuca prof. Valenta. Zgadzam się z prof. Valentą, że w wypadku zwrotu nieruchomości sprawa nie zawsze jest prosta i że Polacy muszą być odpowiednio przygotowani do zarządzania takimi majątkami – wzmiankuje o tym zresztą w moim pierwotnym tekście. Prof. Valenta podaje przykład cieszyńskiego „Piasta”, zgoda, ale są również inne, pozytywne przykłady, jak np. Dom Polski w Ostrawie. Nikt nie wątpi również w kompetencje takich organizacji jak Macierz Szkolna czy też tow. sportowo-turystyczne „Beskid Śląski”, od lat bezskutecznie zabiegających o zwrot zagrabionego mienia.

Nie podoba się prof. Valencie termin „czechizacja”, a jednak twierdzi, iż postępuje ona w zawrotnym tempie i wszędzie jest widoczna. Dla prof. Valenty znikanie polskich napisów na szyldach sklepów może być mało znaczącą bagatelą, niedopatrzaniem administracyjnym (a kto ma dogłądać, skoro do wyższych władz lokalnych nie dopuszcza się Polaków?), lecz nie dla mnie. To nie pozory, ale twarde realia postępującej czechizacji.

Odrzucam również zarzut rzekomo „konfrontacyjnej tonacji” mojego tekstu. W Pradze spędziłem wiele lat, mam wśród Czechów wielu przyjaciół i podobnie jak prof. Valenta jestem przekonany, iż w przyszłości nie powinno być żadnych przeszkód dla dobrych i serdecznych stosunków między naszymi narodami, a już na pewno nie sprawa Zaolzia. Nie oznacza to jednak zgody na systematyczne ograniczanie zakresu działalności od wieków tam osiadłej ludności polskiej, na systematyczne tępienie polskości na Zaolziu.

Londyn, 8 maja 1995

Janusz MONDRY

## Sprawy i troski

### Polska prasa w Australii

W 1947 roku wypłynął z portu Southampton statek MS *Asturias* i przywiózł na Tasmanię 280 Polaków z płk. Andrzejem Racięskim na czele. Pasażerami-imigrantami byli żołnierze Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich.

Ilu z blisko siedemdziesięciu tysięcy Polaków żyjących obecnie w Australii pamięta jeszcze o tej garstce, która otworzyła drogę dla Polonii na tym kontynencie? – Chyba tylko nieliczni. Bo ludzie szybko zapominają. Niewiele jest już wśród nas takich, którzy wiedzą o „pionierach powojennego planu migracyjnego Australii” jak określiła ich oficjalnie tutejsza opinia rządowa. Ta pierwsza grupa była awangardą emigracji polskiej, która w następnych latach wzrosła do prawie sześćdziesięciu tysięcy. To imponujący wzrost – jeżeli pomyśleć, że w roku 1939 nie przekraczała 1000 osób.

Po drugiej wojnie światowej przybyli tu przede wszystkim żołnierze, którzy walczyli o wolną ojczyznę i nie chcieli, nie mogli, wracać do Kraju będącego pod jarzmem komunizmu. Do nich dołączyli uwolnieni z hitlerowskiej pracy przymusowej, bo i oni nie wyobrażali sobie możliwości powrotu do ustroju niewiele różniącego się pod tym względem od tego z którego ich zwolniono.

Czyli była to emigracja nastawiona na powrót, na walkę z komunizmem z nowej pozycji zagranicznej. Chyba dlatego w owym okresie tylko mniej niż jedna trzecia przyjęła obywatelstwo australijskie. Ich działalność społeczna miała wtedy



charakter polityczny. Chcieli tu, na antypodach, przyczynić się do uwolnienia Polski. Jak to określił Krzysztof Łańcucki, prezes Rady Naczelnej Organizacji Polskich w Australii: „próbowaliśmy być głosem wolnej Polski wobec społeczeństwa w którym żyjemy”.

Wtedy to powstały stowarzyszenia kombatanów oraz polskie sekcje w australijskich kołach kombatanckich. Wówczas też powstała polska prasa, ta bodaj najważniejsza i najskuteczniejsza broń w walce politycznej na emigracji.

Charakter polityczny polskiej społeczności w Australii – tak jak zresztą w innych polskich ośrodkach na całym świecie – uległ zmianie na początku lat dziewięćdziesiątych. Jak to określił Krzysztof Łańcucki: „Teraz nasze cele zmieniły się radykalnie. Polska jest państwem suwerennym, może decydować sama za siebie i nie potrzebuje żeby emigracja wypowiadała się w jej imieniu”. Nie wszyscy wśród tutejszych Polaków stosują się do tej rady, co widoczne jest przede wszystkim w naszej prasie; w złudnym poczuciu ważności niektórych panów.

Zmiana nastąpiła nie tylko w Polsce. I tu, w Australii, po blisko pięćdziesięciu latach od wyładowania MS *Asturias* już nieliczni pozostali z pierwszej emigracji. Ci zaś, którzy jeszcze żyją, są już zbyt zaawansowani wiekiem, osłabieni, chorzy i mało zdolni do aktywności socjalnej. Dowodem może być takie ogłoszenie, podpisane przez komendanta planowanego marszu kombatanów: „Jeszcze jeden trudny dla nas dzień się zbliża. Trudny na niemłode już nasze lata”.

Mimo tych wymarłych i tych już bliskich śmierci, ostatni spis ludności wykazuje prawie tę samą ilość Polaków w Australii. Ale już 86% ma obywatelstwo, 73% ma własne, przeważnie już spłacone domy. Znakomita większość zna dostatecznie język angielski. Jednak nie są to ludzie młodzi; średnia statystyczna określa wiek Polaka w Australii na 51 lat, znacznie więcej niż przeciętny wiek wszystkich mieszkańców: 32 lata. Osiemdziesiąt procent obecnych Australijczyków urodzonych w Polsce (jak ich określa terminologia oficjalna) – przybyło tu w latach solidarnościowych i po odzyskaniu suwerenności. Lecz zaledwie 2,7% podało w ostatnim spisie ludności, że posługują się w domu językiem polskim.

Jak wobec tego przedstawia się sprawa czytania gazet

polskich i jak te gazety – szczególnie tutejsze – wyglądają, gdy już nie walczą z komunizmem?

W tym miejscu wypada przypomnieć, że w pierwszej fali imigracyjnej znalazła się stosunkowo spora ilość dziennikarzy zawodowych i ludzi pióra, którzy zasilili tutejszą prasę w walce politycznej. Prawie wszyscy pracowali bez wynagrodzenia. Honoraria – sporadyczne – były czysto symboliczne, dosłownie grosze, które redakcje płaciły niektórym luminarzom raczej dla spokoju sumienia i „ratowania twarzy” – nie jako rekompensatę. Jednoosobowe redakcje nie miały funduszu na honoraria. Bo mimo poszanowania dla słowa drukowanego w „naszej gazecie” nakłady były więcej niż skromne. I gdyby nie ta wydatna pomoc zawodowych dziennikarzy pracujących honorowo i z autentycznym entuzjazmem – kto wie czy polska prasa w Australii nie byłaby już dziś historycznym wspomnieniem.

Pod względem materialnym i obecnie nie jest o wiele lepiej. Według kompetentnych opinii prasa polska na antypodach robi bokami. Ale próbuje dostosować się do zmienionych warunków. Jak pisze Jerzy Krajna w artykule pt. „Czasopiśmiennictwo polonijne”: „Istnienie polonijnego czasopiśmiennictwa na przykład w Australii ma sens tylko wtedy, jeżeli redakcje pism dla Polonii interesują się lokalnymi sprawami i umożliwiają autorom mieszkającym w tym kraju wypowiedanie się publiczne o sprawach którymi żyją ich ziomkowie oraz promują pióra lokalnych twórców”. (Cytuję dosłownie, choć może ująłbym to zdanie inaczej).

Do takiej rozsądnej rady nie zastosował się redaktor sydneyjskich *Wiadomości Polskich* (i właściciel księgarni „Vistula”), który już od ponad roku zamieszcza w swoim tygodniku nieomal wyłącznie artykuły przedrukowane lub po prostu sfotografowane z prasy w Polsce, na domiar wybrane na łapu-capu, drukowane na kiepskim papierze, najtańszą farbą – tak, że po lekturze trzeba dosłownie umyć ręce.

Rezultaty takiej polityki redakcyjnej nie dały na siebie długo czekać. Setki czytelników zapominają o odnowieniu prenumeraty, jak skarży się w druku redakcja, która stoi przed bankructwem i próbuje ratować sytuację przez ogłoszenie tzw. Funduszu Wydawniczego; przez oświadczenie że redaktor będzie zmuszony do zlikwidowania pisma, jeżeli czy-



telnicy nie uratują go darami dziesiątków tysięcy dolarów. Redakcja podaje co do grosza kwoty miesięczne potrzebne na ratowanie (na jak długo?). Fundusz? – można to też inaczej określić.

O wiele rozsądniej prowadzi pismo redaktor melbourneńskiego *Tygodnika Polskiego* – Michał Filek. Próbuje rekrutować współpracowników lokalnych i pisać o sprawach tutejszych – lecz wciąż nie może wypełnić numeru bez nieproporcjonalnie dużego wkładu materiału o polityce w Kraju, której zawilgości i pogmatwania chyba coraz mniej interesują miejscowego, już mocno zaaustralizowanego Polaka, szczególnie tego młodszego, nie tak bardzo spragnionego wiadomości o tym że businessman Jan C. w Polsce został oskarżony o paserstwo i wyłudzenie odszkodowania za rzekomo skradziony samochód. Tak jak i tego starszego czytelnika może nie zaciekać, że drużyna „Sokół” w Pniewach jest już na 14-tym miejscu tabeli Ligi. A na takie informacje tygodnik poświęca prawie całą kolumnę, tłustym drukiem w dziale sportowym. I dlaczego sport to przede wszystkim piłka nożna – skoro ci młodzi zaczynają interesować się krykietem.

Mimo tych usterek, które redakcja niewątpliwie usunie gdy pismo mocniej stanie na nogach – *Tygodnik Polski* jest w tej chwili najpopularniejszym periodykiem polskim w Australii.

Obok dwóch tygodników wychodzą też dwa miesięczniki: *Przegląd Katolicki*, jak wynika z tytułu, pismo religijne; oraz *Kurier Zachodni* wydawany w Perth nad Oceanem Indyjskim i redagowany przez zdolnego realistę, Andrzeja Basińskiego. W przeciwstawieniu do obu tych tygodników podkreślających swą polskość, Basiński ma odwagę i wycucie czasu, które nie tylko nakazują mu określić swój periodyk jako czasopismo australijsko-polskie, ale też zamieszczać w nim od czasu do czasu artykuły w języku angielskim, na co żaden z tygodników dotychczas się nie zdobył. I w tym miejscu znów nasuwają się te dane statystyczne: że mniej niż 3% Polaków mówi w domu po polsku; i że łączny nakład prasy australijskiej Polonii wynosi obecnie około 13 tysięcy egzemplarzy, jak ocenił niedawno Jerzy Grot-Kwaśniewski, autor sporadycznej kroniki australijskiej w *Kulturze*.

Wracając do zachodniej Australii: *Kurier Zachodni* jest starannie wydany, inteligentnie redagowany, estetycznie łamany, z zapewnioną współpracą uzdolnionych autorów lokalnych. To nie chroni go jednak od kłopotów finansowych, czego dowodem że nie zawsze ukazuje się na czas i niekiedy z miesięcznika robi się dwumiesięcznik.

W obecnym okresie może byłoby wskazane przypomnieć tutejszym redaktorom i wydawcom to co napisała niedawno p. Elżbieta Szczepańska, delegatka na konferencji australijskiego *Bureau of Immigration and Population Research*: „Jakie zatem perspektywy stoją przed polską społecznością etniczną? Można przypuszczać, że jako szybko starzejąca się grupa, o niskim współczynniku przyrostu naturalnego, będziemy się licznie zmniejszać i coraz mniej znaczyć. Pozostaje jedynie liczyć na drugie pokolenie Polaków, ale czy będzie ono chciało identyfikować się z rodzicami, ich tradycjami i krajem ich pochodzenia? Na to pytanie będziemy mogli odpowiedzieć dopiero za kilka lat”.

Te lata okazały się przełomowe w historii polskiej prasy w Australii.

Maj, 1995

Adam NASIELSKI

## Dziwne drogi polskości na Syberii

Drodzy Przyjaciele Irkuckiej Parafii,

mamy za sobą z pewnością półmetek zimy i związane z tym kaszle, przeziębienia i grypy. Wszyscy przeszliśmy przez te niedogodności a teraz, kiedy mocno przygrzewa słońce w środku dnia, słyszy się w ciepłym powietrzu i kapaniu topniejącego śniegu przybliżającą się wiosnę.



Na tym tle kreślę do Was wraz z całym zespołem duszpasterskim kolejny list. Tym razem obok słów wdzięczności za duchową i materialną pomoc pragniemy przesłać Wam słowa o radości życia i nadziei, albowiem zbliżają się święta paschalne.

Radość życia wiąże się w naszym przypadku z wielością zdarzeń, w których Bóg wyraża Swą miłość i troskę o Kościół na Syberii. Znaki tego rodzaju nietrudno dostrzec każdego dnia. Chcę opowiedzieć Wam o kilku z nich.

Kościół na Syberii cieszy się, że szczęśliwie wraca do zdrowia, sił i pełni fizycznej sprawności po dokuczliwej kontuzji nogi jego arcybiskup, biskup Józef Werth. Na początku października ubiegłego roku, w przeddzień otwarcia I Pastoralnej Konferencji w Burmistrzowie koło Nowosybirsk, Ksiądz Biskup złamał sobie nogę. Po nieudanym pierwszym złożeniu kości w jednym ze szpitali Nowosybirsk trzeba było łamać nogę na nowo. Z obawy przed kolejnymi perturbacjami nieszczęsny pacjent zdecydował się na dalsze leczenie w Niemczech, ponieważ tam żyje jego najbliższa rodzina. Przed Bożym Narodzeniem powrócił stamtąd jako rekonwalescent. Chociaż porusza się o kulach, sprawnie zarządza największą diecezją świata. W pierwszej połowie stycznia odwiedziłem go. Był w doskonałej formie psychicznej. Rozmawialiśmy o parafii i różnych potrzebach związanych z naszą apostolską administraturą. Pozwoliłem sobie zaprosić Księdza Biskupa do Irkucka na swój srebrny jubileusz kapłaństwa.

W drodze powrotnej z Nowosybirsk do Irkucka zrobiłem jednodniową przerwę w rejonowym mieście Zalari, leżącym między Zimą i Czeremchową. Stamtąd do Irkucka będzie nieco ponad 200 km. Zrobiłem to dlatego, że nowy przewodniczący Ogniwa p. Eugeniusz Wrzaszcz powiedział mi, że czekają na mnie Polacy żyjący w Pichtyńsku, wiosce zaszytej w lasach, zachowujący swój język, obyczaje i religijne tradycje. Z pomocą i w towarzystwie zalarińskich przyjaciół p. Eugeniusza udałem się tam samochodem. Do pokonania mieliśmy prawie 100 km drogi. Słoneczna pogoda oraz mroźne i przezroczyste powietrze gwarantowały dobrą widoczność. Rzeczywiście po jakimś czasie można było zobaczyć przez szybę naszego „moskwicza” postrzępione pasmo Gór Sajańskich. Wznosząc się wysoko ponad granatem bezkresnej

tajgi były jakby jej przedziwnym zwieńczeniem w formie biało-złotej korony. Mijaliśmy typowe syberyjskie wsie z charakterystyczną stylistyką zabudowań. Po przeszło dwugodzinnej jeździe dotarliśmy do miejscowości przypominającej wioskę z polskiego Podkarpacia, prawie wolną od dominującej na wsi syberyjskiej architektury. W architektonicznym planie polska wieś Wierszyna jest typową rosyjską wsią. Tu w Pichtyńsku zauważyłem zabudowaną po polsku wieś. Wrażenie spotęgowało się, kiedy oczekujący mnie ludzie odpowiedzieli na moje „dzień dobry” i „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” nie tylko tak jak trzeba, ale jeszcze głośno. Spotkanie z nimi odbyło się w pobielonej izbie. Ludzie siedzieli na drewnianych ławach i kuchennych stołkach. Przed nimi stał stół nakryty białym obrusem, z postawionym na nim krzyżem w otoczeniu dwóch lichtarzy oraz pięknie oprawioną i wydaną pod koniec XIX wieku Biblią. Na ścianie wisiał jeden święty obraz, przy czym przywieziony jeszcze z Wołynia w 1910 roku i bardzo już wypłowiały. Od sąsiadujących z nim rodzinnych fotografii odróżniał się wielkością, centralnym położeniem i kątem nachylenia w stosunku do podłogi. Podczas powitania zwróciłem uwagę na nazwiska. Większość z nich brzmiała po niemiecku: Kunz, Hilderbrand, Ludwig. Zwracali się do mnie po polsku, chociaż w polszczyźnie w symbiozie z niemieczyną. Niemal wszystkie kobiety i mężczyźni trzymali w rękach zawiniątka. W czystych chusteczkach znajdowały się modlitewniki wydane w Berlinie pod koniec XIX wieku, w języku polskim lecz gotyckim pismem, oczywiście za zezwoleniem władzy duchownej, chociaż nie wiadomo jakiej. Już od początku wiedziałem, że ich pochodzenie i religię okrywa jakaś tajemnica. Starłem się ją odsłonić. Niewiele udało mi się dokonać, albowiem ludzie już zapomnieli swoją przeszłość. Najbardziej wiązało ich i wiąże z zapomnianym dziedzictwem Biblia, modlitwa i pieśni religijne, których polski tekst został zapisany w księgach strzelistym gotykiem. Polska, a konkretnie Wołyń, była ojczyzną ich bliższych przodków. Podobno dalsi przodkowie przybyli do Polski z Niemiec albo z Holandii. Jakie jest ich wyznanie? Ścisłej odpowiedzi na to pytanie nie otrzymałem. Jednak upewniłem się, że nie są im obce pojęcia „ksiądz” i „pastor”. Nie rozminę się z prawdą,



jeśli określe Polaków z Pichtyńska jako potomków mieszanych, katolicko-protestanckich rodzin. Być może w najbliższym czasie podczas kolejnych odwiedzin wspólnoty w Pichtyńsku uda mi się zdobyć więcej informacji o pochodzeniu i tożsamości jej członków. Niezapomnianym przeżyciem była liturgia Mszy św. Jego intensywność wiąże się ze śpiewem ludzi otaczających kapłana i zwykły stół, który się wówczas przemienił w ołtarz. To był śpiew z całego serca i z całej duszy. Nikt głosu nie żałował. Niektóre pieśni słyszałem pierwszy raz. Mogłem śpiewać z wiernymi jedynie koledy. Po Mszy św. śpiewaliśmy także pastorałki. To, że Polska jest w Polsce mnie nie dziwi, ale żeby była w Pichtyńsku na Syberii! Tego się nie spodziewałem!!! – tak sobie myślałem przy wieczerzy u pana Kunza patrząc na pachnące pęta wędzonej, domowej kiełbasy. Toż to Polska właśnie! – krzyknąłem ku uciechu gościnnych gospodarzy.

Niech Was Bóg błogosławi

Irkuck, 24 lutego 1995 roku

ks. Ignacy PAWLUS

●  
A oto komentarz do listu przekazany na początku maja br. przez jego autora, ks. Ignacego Pawlusa, salwatorianina, od r. 1991 proboszcza parafii irkuckiej. Początek parafii dała misja jezuitów otwarta w r. 1812. Po kasacie zakonu, w r. 1820 przybyli do Irkucka ojcowie franciszkanie z prowincji bernardynów; w r. 1825 uzyskali od biskupa mohylewskiego akt erekcyjny dla parafii Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Parafia przetrwała do r. 1937. W dniu 14 września 1991 administrator apostolski katolików azjatyckiej części Rosji, bp Józef Werth, wznowił działalność parafii (jej filie znajdują się obecnie w Angarsku, Bracku, Majsku, Pichtyńsku, Usolju Sybirskim, Wierszynie). W parafii pracuje dwóch księży salwatorianów (ks. Ignacy Pawlus i ks. Dariusz Kopiec) i dwie siostry betanki (s. Bernadetta Sidorczuk i s. Bożena Fulara). Największym skupiskiem katolików jest Irkuck (praktykujących ok. 150, drugie tyle utrzymuje luźniejszy związek z parafią; trzon stanowią Polacy, potem Niemcy). W Wierszynie wspólnota jest wyłącznie polska (Polacy przybyli

tu w r. 1910 z dawnej guberni piotrkowskiej i kieleckiej; na ok. 400 mieszkańców – praktykujących jest powyżej 50). W Pichtyńsku (nazwa wsi od „pichta” – jodła) żyją spolonizowani Niemcy, może Holendrzy, w znacznej części protestanci z odłamu „nordorfców”. Należą do wielkiej grupy, która w XVII lub XVIII wieku przybyła z Niemiec, prawdopodobnie za chlebem, na ziemię lubelską, wołyńską i białostocką. Władze rosyjskie, realizując reformy stołypinowskie, proponowały mieszkańcom tych przeludnionych regionów wyjazdy na Syberię w celach kolonizacyjnych. W ten sposób w r. 1910 pojawili się w Pichtyńsku pierwsi Niemcy z Wołynia, owi Kunzowie, Hilderbrandowie, Ludwigowie. Karczowali tajgę, budowali domostwa w polskim stylu, uprawiali ziemię, zajmowali się tkactwem, młynarstwem, zakładali wędzarnie. Mężczyźni zasłynęli w okolicy jako drwale i budowniczowie domów. W czasach stalinowskich – uznani za Niemców – byli represjonowani, pracowali w „trudarmiach”, wielu powróciło do domów grubo po zakończeniu II wojny.

Od czasu poprzedniego listu proboszcz irkucki kilkakrotnie odwiedzał Pichtyńsk wypełniając ekumeniczną posługę pojednania. Dla większości mieszkańców jest pastorem, dla katolików i prawosławnych – „batuszką”, ojcem. Mieszkańcy Pichtyńska proszą go o przyjazdy, o pomoc w odnalezieniu ich własnej tożsamości religijnej i narodowej; mają świadomość zagrożenia ich dawnej jedności przez pojawiające się coraz częściej sekty, głównie przez świadków Jehowy. Dzięki życzliwości władz szkolnych ks. Pawlus wraz z s. Sidorczuk prowadzą naukę Biblii w przedszkolu i w 3-klasowej szkole pichtyńskiej. Innej szkoły w wiosce nie ma. Dawny kołchoz przekształcił się w spółkę udziałową, sytuacja materialna mieszkańców jest mizerna; w wiosce jest kilka telewizorów i jeden magnetowid. Mieszkańcy nie utrzymują żadnych kontaktów ani z Polską, ani z Niemcami.

Poznań, 11 maja 1995

Zofia TROJANOWICZOWA



## Kraj

### Prezydenci – ciąg dalszy

1.

Kandydatów na prezydenta RP nadal przybywa, mnożą się jak wirusy. Jest ich już... 56!

Po pięciu latach prezydentury człowieka bez żadnych kwalifikacji, ale z charyzmą, mamy tabun kandydatów bez charyzmy, ale za to również bez kwalifikacji. Jest kilka powodów, dla których w Polsce tak łatwo jest rozmaitym tuzinkowym politykom przymierzać prezydencki frak. Dwa najważniejsze – i sprzężone – to brak pozytywnego wzorca sprawowania tego urzędu oraz powszechny brak autorytetów politycznych, gdyż te, które jakoś się jeszcze trzymają, należą wszystkie do minionej epoki. Brak wzorca i brak autorytetów powodują, że nic właściwie nie studzi szalejących ambicji. Prezydencki frak rzeczywiście pasuje na każdego, bo to nie frak ale worek.

Z kolei sytuacja, w której nie ma właściwie kandydatów zupełnie nieprawdopodobnych, zachęca rozmaitych kombinatorów politycznych do zgłaszania coraz nowych „pomysłów na prezydenta”. Ten, o którym w taki sposób zaczyna się mówić, natychmiast wchodzi w rolę i udziela wywiadów, a jego sponsor zyskuje monetę przetargową: wycofam się z pomysłu, ale co mi za to dacie... Wielu z kandydatów na prezydenta RP to kreacja fikcyjna, małpi pieniądz, jak się mawia we Francji...

Ale mimo niepowagi, w której po 1989 coraz częściej pogrąża się oficjalna polityka kraju, stawka jesiennych wyborów będzie poważna.

Perspektywa pojedynku Kwaśniewski – Wałęsa w drugiej

turze wyborów napawa lękiem bardzo wielu ludzi. Boją się jej, niezależnie od wyniku ludzie rozsądni. Wiedzą, że takiemu starciu musi towarzyszyć rozpalenie i wysunięcie na pierwszy plan polityczny podziału, który wywodzi się z przeszłości i który, co gorsza, nie zawiera żadnego programu pozytywnego na przyszłość. „Obóz niepodległościowo-solidarnościowy” i „postkomuniści” – powtarza stale Marian Krzaklewski swoim klientom i wygląda na to, że proponuje całej Polsce zabawę w wojnę kombatantów z dwóch konkurencyjnych zrzeszeń. Wojna kombatantów jest szczególną, zintegrowaną formą rozmaitych konfliktów i rywalizacji, które toczą się w Polsce od 1989 r.:

- o udział w kosztach i zyskach reform gospodarczych,
- o partycypację we władzach rozmaitych obozów politycznych,
- o kształt kultury i tożsamości narodowej Polaków.

Każdy z tych sporów z oddzielną byłby najzupełniej uprawniony w każdym normalnym kraju pluralistycznej demokracji. Zebrane razem i zintegrowane w postaci starcia dwóch obozów kombatanckich mogą zagrozić przetrwaniu tej demokracji. I są zarazem karykaturą i spotwornieniem własnej problematyki. Zniekształcenie polega oczywiście na tym, że każdy konflikt aktualny zostaje natychmiast przebrany w kostium wypożyczony z historii, zresztą ideologicznie przefiltrowanej. Przy tym przebranie nie jest tu dobrym określeniem: w pierwszym rządzie chodzi o zniekształcone postrzeganie rzeczywistości. W wojnie kombatantów – by podjąć znany okrzyk eks-premiera Olszewskiego z 1992 roku – chodzić będzie wyłącznie o to, czyja ma być Polska, a wcale nie o to – jaka.

Krzyczy o tym, oczywiście, głównie prawica, zresztą z każdym rokiem krzyczy coraz głośniej, ponieważ jest coraz dalej od upragnionych profitów. Najpierw była tylko niezadowolona z rezultatów Okrągłego Stołu i zwycięstwa wyborczego z 4 czerwca 1989, ale potem, od czerwca 1992 do września 1993 straciła wszystko... Nieważne w tym miejscu, że swą polityczną katastrofę prawica zawdzięcza głównie własnej głupocie i zacierzwieniu. Ważne, że miała powody, by krzyczeć. Ludzie SdRP przeciwnie: mieli się cały czas lepiej, niż się początkowo obawiali, tym bardziej więc zach-



wywali się cicho i powściągliwie i odzęgnywali od wszelkiego kombatanctwa. Do niedawna. Teraz jednak zwłaszcza po powstaniu rządu Oleksego, to się zmieniło. A już zgłoszenie kandydatury Aleksandra Kwaśniewskiego było wyraźnym punktem zwrotnym. I to właśnie dlatego, że Kwaśniewski ma całkiem realne szanse zwycięstwa (inaczej niż Cimoszewicz w 1990) i całkiem wyraźnie zamierza nie zaniechać niczego, by zwyciężyć. W jego własnej formacji tylko Cimoszewicz ostrzegł publicznie, by nie podejmować takiego ryzyka. Przeważały racje – nazwijmy to – partyjne. Przywódcy SdRP mogą być niemal pewni, że ich kandydat przejdzie do drugiej tury i że wobec tego kampania, niezależnie od ostatecznego wyniku, przyniesie umocnienie tożsamości i samopoczucia ich formacji. Rezultat na pewno cenny w perspektywie późniejszych wyborów parlamentarnych. Ale najważniejszym znaczeniem takiego rezultatu będzie konsolidacja pozycji SdRP w elitach politycznych, społecznych i ekonomicznych. Są to dziś pozycje bardzo znaczne lecz często wstydlive. Nie tylko dlatego, że dawna przynależność do PZPR, do jej aktywu czy tym bardziej do nomenklatury lub aparatu jest nadal w wielu środowiskach obciążeniem; przede wszystkim dlatego, że nie bardzo wiadomo, co to dzisiaj znaczy być wyborcą lub nawet członkiem SdRP: prawie to samo co liberałem czy prawie to samo co bolszewikiem. Otóż kierownictwo SdRP (i całego SLD) chce konstruować tożsamość swej formacji nie poprzez ideologię i nawet nie poprzez program, ale poprzez jej miejsce w społeczeństwie politycznym i w państwie – SdRP jako *establishment* w systemie demokracji. Idealem byłby układ dwubiegunowy na wzór RFN z SdRP w roli jednego z biegunów. Kierownictwu SdRP byłoby, oczywiście, milej, gdyby na drugim biegunie znalazła się chadecja liberalna i europejska, ale jeśli na początek trzeba wojny kombatanctwa SdRP się nie cofnie, ważna jest dla niej dwubiegunowość układu. Nominując Kwaśniewskiego kierownictwo SdRP podjęło duże ryzyko polityczne, ale podjęło je, jak sądzę, świadomie. Ci, zresztą, którzy myślą\*, że w starciu Wałęsa-

\* z pozycji zaangażowanego polityka jak Karol Modzelewski lub profesjonalnego mędrca-katastrofisty jak Andrzej Szczypiorski (*Gazeta Wyborcza* 10-11.06.95).

Kwaśniewski ten drugi musi przegrać, nie doceniają efektu zmęczenia Wałęsą. Wielu ludzi środka pozostanie po prostu w domu, żeby na niego nie głosować – 50 % ankietowanych przez CBOS w końcu maja deklaruje, że w żadnym razie nie poprze Wałęsę – elektorat zaś SLD okaże się na pewno bardziej zdyscyplinowany. Gdyby nawet, co również możliwe choć wcale nie konieczne, Wałęsa ostatecznie wygrał, elektoratowi SLD przybędzie wielu nowych wyborców, którzy zatem przewyższą regułę, że na postkomunistów się nie głosuje w dobrym towarzystwie. W wyborach parlamentarnych będą jak znalazł, SLD zaś okaże się właściwą alternatywą dla szalejącej prawicy.

## 2.

Lech Wałęsa (piszę w połowie czerwca) ciągle jeszcze nie zdecydował formalnie czy będzie kandydował. Tymczasem na scenie robi się tłoczno od kandydatów prawicy. Wydaje się zresztą, że ludzie prezydenta celowo rozmnażają teraz ten gatunek. Najbardziej spektakularnym przybytkiem po Andrzeju Olechowskim, dzisiaj mocno przyblakłym, jest pani Gronkiewicz-Waltz, prezes NBP, wsławiona nową złotówką, wojną z Kołodką i miłością Kościoła. Wszystkie te osoby deklarują zgodnie, iż przeciw Wałęsie kandydować nie będą i to je odróżnia od samoistnych kandydatów prawicy, jak Strzembosz czy Olszewski. Oczywiście funkcją nowych nazwisk jest roztopienie w szumie informacyjnym owych samoistnych kandydatur i taktyka ta skutkuje: Strzembosz nie wydaje się już alternatywą Wałęsy na prawicy, raczej kształtuje się obraz „Wałęsa i wszyscy inni”.

Pięćdziesięciu sześciu wspomnianych na wstępie kandydatów to, oczywiście, ci, którzy poczuli wolę bożą i zdołali powiadomić o tym redakcje w Warszawie. W Polsce powiatowej prezydentów jest zapewne znacznie więcej, ale niestety nic o nich nie wiemy. Z tego folkloru ok. 20 uczestniczy jakoś w ogólnopolskim życiu publicznym. Trzy czwarte z tych poważnych (niech będzie!) kandydatów deklaruje swą przynależność do prawicy. Siedmiu zgłosiło swą ochotę w Konwencji św. Katarzyny u ks. Maja, gdzie zbiera się 16 partii „niepodległościowych” oraz NSZZ „Solidarność” i Solidarność Rolników Indywidualnych: Moczulski, Olszewski,



Parys, Gronkiewicz-Waltz, a także Wojciech Ziemiński (Stronnictwo Wierności Rzeczypospolitej – Kluby Służby Niepodległości), niezmordowany składacz wieńców, Henryk Bąk (PSL-PL), ostatni agrarysta Rzeczypospolitej oraz Roman Ciesielski, były senator, o którym nie wiem, skąd się tam wziął. Z tych siedmiu Zespół Koordynacyjny Konwentu ma w lipcu wybrać jednego. Ale nikt nie wierzy, że np. Moczulski, Parys i Olszewski nie zablokują się w drzwiach. Zresztą nie ma to i tak znaczenia. Na prawicy są jeszcze i nie ustępują, chyba że za dobrą cenę – Korwin-Mikke, Bryczkowski, Tejkowski, Olechowski (ze znakiem zapytania) oraz Religa, który wspomagany przez businessmenów z BBWR, satyryka Drozdę i reżysera Zanussiego rozkręca teraz całkiem nową partię, Ligę Republikańską, na wzór amerykańskiej partii republikańskiej – nasz kardiolog senator fotografuje się teraz z pluszowym słoniem\*\*.

Ale najważniejsze, że na prawicy są jeszcze Strzembosz i Wałęsa, którzy żadnym prawyborom u św. Katarzyny (mawia się również i u św. Wita) nie zamierzają się podporządkować. I nie wydaje się, by Marian Krzaklewski, który upodobał sobie rolę Twórcy Królów, zdołał ich do tego nakłonić perspektywą nadzwyczajnego Zjazdu NSZZ „Solidarność”, który miałyby się zebrać w lecie na jeden dzień i udzielić inwestytury kandydatowi prawicy pod warunkiem, że będzie tylko jeden taki kandydat. Wątpliwość tłumaczy się bardzo prosto: inwestytura zjazdowa nie musi się przełożyć na rzeczywistą pomoc w kampanii i tym bardziej na zdyscyplinowane głoso-

\*\* Temat nie na ten tekst, ale fenomen warto odnotować. Polscy republikanie zapowiadają, iż w przyszłych wyborach wezmą szturmem Sejm na Wiejskiej, jak ich imiennicy Kongres w Waszyngtonie. O to mniejsza. Ciekawe jest, że na naszej zapyziałej prawicy pojawił się nowy wzorzec: amerykański konserwatyzm, agresywny, krzykliwy i równie obskurancki jak nasz rodzimy. Jest to wzorzec telewizyjny: w I programie TVP niejaki Wojciech Cejrowski „Naczelną Kowboj RP”, z zawodu *showman*, flekuje co tydzień intelektualistów, lewicę, postępowców, antyklerykalizm, feminizm i wszelką rozpustę. Jest ulubieńcem Kościoła. Otóż warto pamiętać, że ten sam wzorzec amerykańskiego konserwatyzmu – wprawdzie raczej z giełdy w Chicago niż z miasteczka na Środkowym Zachodzie – jest lansowany w Polsce przez elitę liberałów. Jest całkiem możliwe, że aktywizacja amerykańskiego wzorca wśród tradycyjnych, katolickich nacjonalistów jest dziś przejawem konwergencji obu wielkich szkół polskiej prawicy.

wanie. NSZZ „Solidarność” jako Komisja Krajowa i aparat związkowy jest na pewno w rękach prawicy, ale w tzw. terenie rzeczywistość jest o wiele bardziej zróżnicowana. Skoncentrowani w wielkich przedsiębiorstwach państwowych, a zupełnie stłamszeni w sektorze prywatnym związkowcy, zaprzężeni do wozu z prawicowymi partiami, są bliscy schizofrenii. Domagać się mają prywatyzacji od zaraz, a żyją dzięki państwu. Szumnie głoszony program uwłaszczenia powszechnego jako wyjścia ze sprzeczności niczego w rzeczywistości nie rozwiązuje: „powszechnie uwłaszczona” kopalnia, huta czy ZM Ursus nadal potrzebować będą pomocy, której nowi właściciele czyli 10 milionów Kowalskich, każdy z jednym kuponem, na pewno im nie udzieli. Jeśli zaś uwłaszczenie ma nie być powszechne, lecz zakładowe (akcje dla każdego zatrudnionego), to najpierw całe społeczeństwo odejdzie z kwitkiem, a potem załogi deficytowych fabryk pozbędą się swych akcji za bezcen – jeśli w ogóle znajdą nabywcę – i wrócimy do sytuacji wyjściowej, rabunkowej prywatyzacji, której Solidarność podobno chce zapobiec.

Gwałtowna, radykalna, prawicowa retoryka na VII Zjeździe NSZZ „Solidarność” w Oliwie (8-10 czerwca) wyrażała w dużo większym stopniu pragnienie i nadzieję liderów i aparatu: raz jeszcze złamać komunę, ale tym razem zabrać samemu całą pulę (tzn. bez „pośrednictwa” OKP, Mazowieckich, Geremeków, Balcerowiczów) – niż autentycznie koherentny program rządzenia. Innymi słowy, chodzi o wzięcie władzy. Wałęsa jako gość Zjazdu był tego doskonale świadom: najbliższy sercom delegatów był wówczas, gdy nakazywał im spisywać wszystkich nominatów obecnej koalicji, bo – mówił – gdy już zwyciężymy (tzn. i w wyborach prezydenckich i w parlamentarnych), to ich co do jednego pozrzucamy, co do jednego... Zarazem jednak Wałęsa choć przymilał się i łasił, starannie unikał dopisywania się do programu Solidarności, całej tej płataniny pomysłów, intencji i sprzeczności, zwłaszcza zaś odmawiał „salutowania sztandarów” prawdziwej prawicowości, które najbardziej krzykliwi („Wrzodaki”, od nazwiska lidera „S” w Ursusie) coraz to podsuwali mu pod nos: pomoc i radiostacja dla Czeczenii, order dla Kuklińskiego, lustracja do dna, won z Milczanowskim i Cioskiem. Wałęsa powtarzał stale, że potrzebny jest „blok solidarnościowo-reformatorski”...



Paradoksalnie, odnotowany wyżej sukces prezydenta, jakim jest wytworzenie się obrazu „Wałęsa i wszyscy inni” jako wizerunku prawicy, stanowi zarazem zagrożenie jego finalnych szans. Wałęsa zawsze starał się o pewną niezależność od politycznego spektrum. Teraz widzi, że wpada w sidła własnej retoryki i rozpaczliwie konstruowanych sojuszy: znalazł się na prawicy i tylko od niej zależy. Otóż Wałęsa, jak sądzę, lepiej niż Modzelewski i Szczypiorski zdaje sobie sprawę, że jeśli zostanie się do drugiej tury, to aby w niej zwyciężyć nie może być po prostu kandydatem prawicy. Jakkolwiek by liczyć, cała prawica jest tak samo mniejszością jak SLD: m.w. 25% elektoratu. Jeśli nasz prezydent ostatecznie wystartuje, i z powodzeniem, wówczas w dzień po pierwszej turze wykona *salto mortale*: z prawicy do środka. Ale będzie ciężko, bo inaczej niż w 1990, kiedy Mazowiecki sam się poddał zwycięzcy, środek będzie w 1995 zajęty i niechętny.

Tymczasem Wałęsa stara się przynajmniej usprawnić funkcjonowanie swego sztabu politycznego, Mieczysław Wachowski został odsunięty w cień (do zadań specjalnych?) wraz ze swym adiutantem, Andrzejem Kozakiewiczem. „Mieciu” stał się zbyt niepopularną postacią, by Wałęsa mógł się z nim afiszować w kampanii, w której nie będzie już ludziom imponował wszechwładzą i wszechwiedzą. Na faworyta wedle własnego gustu może sobie pozwolić Król Słońce, u innych faworyt musi się przede wszystkim podobać publiczności lub przynajmniej jej nie drażnić. Szefostwo kancelarii prezydenta przejął Tomasz Kwiatkowski, specjalista od spektakularnych operacji likwidatorskich wielkich firm („Igloopol”). Bliski znajomy Falandysza. Gdy tamten określał siebie jako „żołnierza” prezydenta, Kwiatkowski mówi o sobie jako o „narzędziu” i rzeczywiście robi wrażenie dłuto-młotka. Ale to, podobnie zresztą jak Wachowski, bystry facet. Ma dobre kontakty w sferach businessu.

### 3.

Środek zajmują Kuroń, kandydat Unii Wolności, Zieliński, kandydat Unii Pracy oraz X, kandydat PSL. Z tych trzech naprawdę kandydatem partii jest ten trzeci, którego jeszcze nie ma. Komitety wyborcze dwóch pierwszych już zbierają podpisy (minimum 100 tys. obywateli, aby zgłosić

formalnie kandydaturę). O Kongresie Unii Wolności, który ostatecznie wybrał Jacka Kuronia, pisałem już na tych łamach (*Kultura* 5, 1995 r.), Kongres Unii Pracy mnie ominął, byłem za granicą. O kontrowersji wokół kandydatury z ramienia UP było dość głośno, nie będę powtarzał wiadomości z drugiej ręki. Wybór na Zjeździe UP miał charakter negatywny: głównym argumentem zwolenników Kuronia było zablokowanie groźby drugiej tury Wałęsa-Kwaśniewski, natomiast dla rzeczników Zielińskiego liczyła się chęć zmanifestowania obecności i odrębności Unii Pracy. W gruncie rzeczy, najbardziej namacalne różnice pomiędzy obu kandydatami sprowadzają się do odmienności osób – sylwetek, stylu i doświadczenia – nie zaś programu (ale ich elektoraty, wg ostatnich badań CBOS, pokrywają się w niewielkim stopniu). Żaden z nich nie będzie w toku kampanii afiszował jakiegokolwiek partyjności i zwycięstwo żadnego z nich nie oznaczałoby jakichkolwiek poza satysfakcją profitów politycznych dla sponsorującej go partii. Dlatego nie są to w istocie kandydaci partyjni, zresztą żaden mimo uchwał zjazdowych nie może oczekiwać, by cała partia wsparła jego kampanię. Prawica „chrześcijańsko-narodowa” z Unii Wolności na pewno nie zaangażuje się za Kuroniem, kierownictwo UW z Balcerowiczem też raczej będzie się zachowywać dyskretnie, choć w tym wypadku raczej na prośbę kandydata, z kolei zaś w Unii Pracy wielu wesprze właśnie Kuronia (jest uchwała zezwalająca na to indywidualnym członkom partii, aczkolwiek nie organizacjom partyjnym). Szczerzy sympatycy obu panów nie tracą nadziei, że przebieg kampanii przyniesie rozstrzygnięcie i że aby kandydować mają dość klasy, by w razie wyraźnej przewagi rywala w sondażach wycofać się z honorem. Problem polega na tym, by nie chcieli czekać aż do pięć po dwunastej, zwłaszcza zaś, by ich elektoraty były skłonne wesprzeć wtedy rywala: jak wspominałem, pokrywają się one słabo. Ale nie wyprzedzajmy zbyt wiele wydarzeń w komentarzu.

Obaj ci kandydaci są w tym sensie przewidywalni politycznie, że ich zwycięstwo, przy całej odmienności w rozumieniu prezydentury i w zachowaniach na urzędzie w porównaniu z Lechem Wałęsą, nie zbulwersuje sceny publicznej. W szczególności nie będzie z niego wynikać wola przedtermino-



wego rozwiązania parlamentu, choć przebudowa większości rządowej nie byłaby wykluczona. Inaczej mają się sprawy z trzecim kandydatem środka sceny, PSL-owcem. Nie potrafię powiedzieć, czy to Józef Zych tak rozprowadza tę grę, czy też wiatr tak dla niego popycha piłkę, ale rywalizacja o inwestyturę PSL godna byłaby epickiego pióra. Zacząć wypada od stwierdzenia, iż upadek gabinetu Pawlaka załamał całą strukturę dowodzenia w PSL i w ogóle porządek dziobania (*pecking order*, w języku drobiarzy). Zakotłowały się wszystkie stłumione dotychczas ambicje i bez mała każdy poseł i senator PSL odnalazł w teczce buławę przynajmniej wiceministra, kilku zaś nawet prezydenta... i to, nim jeszcze prezes Pawlak zdążył się odezwać: Zych, marszałek Sejmu, ale i Struzik, marszałek Senatu, i Jagieliński, wicepremier, i nawet poseł Pęk, jedna z barwniejszych postaci w Sejmie, młot na prywatyzację i harcownik chętnie odwiedzający konwentykle prawicy. Było jasne, że PSL nie zgodzi się na propozycję SLD wspólnej kandydatury, choć wcale nie było jasne, czego PSL-owcy spodziewają się po swoim jeszcze nie wyznaczonym kandydacie: że wygra, że znajdzie się w finale, czy że drogo sprzeda swoje głosy po pierwszej turze? Każdy z tych wariantów ma swoją odmianę kandydata. Do handlu najlepiej pasuje ktoś w rodzaju Struzika: młody, ambitny, ale i tak już nadspodziewanie wywindowany, może teraz trochę popracować, pozarabiać dla stronnictwa. Wejść do finału, nawet bez szans na wygraną, to rola dla Pawlaka, wpisałby się w ten sposób na listę *présidentiabiles* i za 5 lat znów mógłby spróbować, a tymczasem utrwałaby swą zachwianą pozycję w partii i w pierwszym szeregu polityków. Józef Zych, 57 lat, marszałek Sejmu, na co czekał długo, nie ma żadnej racji, by ryzykować bez bardzo dobrych szans: lepszy wróbel w garści... Dla niego przegrać – znaczyłoby spaść wyraźnie w rankingu, może nawet utonąć w poselskiej masie. Józef Zych rozpoczął więc od tego, że na pewno nie chce kandydować – i czekał. W stronnictwie tymczasem pawlakowcy i antypawlakowcy kunsztownie się zaklinczowali. W tym miejscu ukazuje się palec boży (wiatr z piłką, dla ateistów): na kilka dni przed decyzjami w PSL Solidarność robi zadymę w Alejach Ujazdowskich. Marszałek Zych przyjmuje delegację protestujących, jest na wszystkich

ekranach, znakomicie wypada w roli dostojnika Rzeczypospolitej, któremu obce są partyjniackie swary: obiecuje, że przedstawi stanowisko związkowców rządowi i rzeczywiście zaprasza się na posiedzenie gabinetu, gdzie odbiera pierwszą rolę Oleksemu, przynajmniej w mediach. Prasa jednogłośnie chwali Zycha, odkrywa w nim męża stanu. PSL, którego życie polityczne nie rozpieszcza, jest zachwycone. Kandydować musi Zych! A Zych tymczasem jako marszałek Sejmu prowadzi dostojne konsultacje ze wszystkimi formacjami politycznymi na temat daty wyborów. Całego krzyku jest pięć niedziel – od 22.X do 19.XI – więc niby co tu radzić, ale za to jest rola do odegrania i jeszcze jedna okazja mediatyczna: konsultacje wewnątrzsejmowe to żadne frykasy, ale kiedy do marszałka przychodzi *in corpore* Konwent św. Katarzyny, jest na co popatrzeć na wszystkich ekranach... Marszałek Zych zatem działa, ale ciągle jeszcze się nie decyduje. Sugeruje, że wypowie się „raczej nie” na rozstrzygającym posiedzeniu PSL, ale „wobec nalegań” znów odracza decyzję i posiedzenie grzecznie odracza swoją o miesiąc, a Pawlak, który się już zbierał, rozpakowuje walizkę... Na co czeka Józef Zych? Może po prostu się waha... Ale może spodziewa się jeszcze jakichś dodatkowych informacji o szansach i ewentualnych przegrupowaniach. Dość powszechnie mówi się teraz o flirtach PSL z prawicą. Józef Zych, co należy podkreślić, powstrzymuje się w tym względzie od wszelkich spektakularnych gestów i nie wizytuje zgromadzeń prawicy jak Pęk, nie wygłasza antyeuropejskich przemówień jak Pawlak, nawet nie afiszuje się religijnie i nie fotografuje z prymasem. Ale gdyby prawica (i Kościół) zrozumiały, że kandydat PSL miałby większe szanse wejść do drugiej tury i wygrać w niej, niż ktokolwiek poza tym z prawicy z Wałęsą włącznie... A w zamian za co ta pomoc?

Parokrotnie już zaznaczałem w tym tekście, że mimo wagi symbolicznej i prestiżowej wyborów prezydenckich, politycy coraz wyraźniej dostrzegają poza nimi perspektywę wyborów parlamentarnych. Dla rozproszonej dzisiaj prawicy jest to w istocie jedyna perspektywa zaistnienia. Wałęsa obiecuje, że im tę perspektywę przybliży i otworzy. Ale co trzeźwiejsi wiedzą, że Wałęsa wcale nie będzie w stanie tego zrobić, nawet z pomocą Krzaklewskiego i Wrzodaka, chyba



żeby chciał wezwać gen. Wileckiego, a Wilecki przyszedł. Z Wałęsą trzeba byłoby odczekać długie dwa lata z obecną koalicją u władzy. Tylko PSL zrywając koalicję mogłoby zmienić sytuację.

Jest bajka u Andersena o krasnoludku, który mieszkał u kupca, gdzie miał masło i miód, a nocą chadzał na poddasze podziwiać piękno Poezji, nawiedzającej ubogiego studenta. Kiedyś zdarzył się pożar i krasnoludek zamiast ratować sklep popędził na strych bronić Poezji. Ale pożar ugaszono i krasnoludek zsunął się ze schodów na swoje miejsce. – Tam zostało moje serce – pomyślał krasnoludek – lecz u kupca jest masło i miód.

Działaczom PSL również śnią się czasem rycerskie skrzydła i Matka Boska jak u ks. Maja w Konwencie św. Katarzyny. Ale masło i miód mają w koalicji. Przynajmniej dopóty, dopóki sondaże dają SLD 25% wskazań a im niespełna połowę.

Warszawa 16 czerwca 1995

Krzysztof WOLICKI

PS. 1. Wybory prezydenckie mają oczywiście charakter personalny: głosuje się raczej na ludzi niż na programy i na pewno bardziej na ludzi niż na partie. Jest bardzo trudno zracjonalizować takie decyzje elektoratu i jeszcze trudniej je przewidywać. W szczególności popularność kandydata w rankingach sympatii czy zaufania wcale nie musi się tłumaczyć na szanse wyborcze (choć jest zależność odwrotna: obrzydliwca się nie wybiera), ponieważ te zależą jeszcze od oczekiwań, jakie wiąże wyborca z urzędem prezydenta. Nie kupujemy sympatycznego, przyjacielskiego szczeniaka, jeśli szukamy złego, obronnego psa. Tutaj można by zacząć o telewizji i jej wizerunkach, ale i tak się rozgadałem.

PS. 2. Pod naciskiem Kościoła Adam Strzembosz zgodził się wziąć udział w Konwencie u księdza Maja, który przy okazji potwierdził publicznie, że tę misję sprawuje na polecenie prymasa.

K.W.

## Z ukosa

Dawni śmiertelni wrogowie komunistów wykonują ponownie ciężką i wytrwałą pracę, by prezydentem został postkomunista Aleksander Kwaśniewski, który rozpoczął już swoją kampanię prezydencką w Kielcach. Pójdą pod sztandarem z którego splukano czerwień, będzie przezroczysty jak przyszłość. Ich hasło – „głosowanie na Aleksandra Kwaśniewskiego oznacza wybranie przyszłości”. Grupa plastyków próbuje nawet tę przyszłość narysować. Z rysowaniem przyszłości zawsze kłopot, bo wiadomo, że będzie inna niż się sądzi, może być ciemna lub jasna, ale zawsze jest przezroczysta, jak to narysować? Co do postkomunistów też jest pewne, że ich przyszłość zostanie okaleczona jak organ po częściowej amputacji. Amputowana zostanie przeszłość.

Obiad spożył Kwaśniewski w kieleckim Pizza Hut, w tle grał zespół jazzowy, lecz by obraz dopełnić powinien Kwaśniewski występować w džinsach, pić coca-colę a w przerwach między daniami czytać Orwella i Sołżenicyna. Na spotkaniu w sali Wojewódzkiego Domu Kultury ktoś jednak się pomylił i przemawiając do Kwaśniewskiego zaczął od słów „towarzyszu przewodniczący”. Nieco wcześniej szef ZSMP obiecał mu „serca młodych dziewcząt i czyny młodych chłopców”, a szefowa Demokratycznej Unii Kobiet przypomniała hasło „Każda Polka głosuje na Olka”. W badaniach opinii publicznej popularność Kwaśniewskiego skacze do góry, bije on już na głowę wszystkich konkurentów.

Co robią w tym czasie przeciwnicy SLD? Wysuwają coraz to nowych kandydatów na prezydenta, a każdy zjada głosy rywala Kwaśniewskiego. To zjadanie odbywa się bez noża i widelca. Wszyscy z prawej strony rwą włosy z głowy, krzyczą, że sytuacja jest tragiczna, i nadal się kłócą. Do gromadki głodnych prezydentury dołącza rzecznik praw obywatelskich prof. Tadeusz Zieliński, emanując niespodziewanie barwną fontanną próżności. Oto rzecznik praw obywatelskich konkurować będzie z Prezesem Sądu Najwyższego. Czy wypada z



takich państwowych funkcji robić bloki startowe do prezydenckiej kampanii? Nasza polityka nie ma reguł gry, one się obecnie tworzą, czy raczej utrwala się złe obyczaje?

W środku tego kolorowego kłębowiska, gdzie przeważa purpura, bo próżność ma ten właśnie kolor, krząta się purpurowy Wałęsa, zerka sprytnie i kombinuje jak tu kogoś wykołegować...

A rosyjscy liberałowie zazdroszczą nam Wałęsy, mówią – „przy Jelcynie to on prawie święty i zawsze trzeźwy”. Że też nigdy o tym nie pomyślałem. Nasz prezydent nie jest alkoholikiem, należy to docenić.

Jakby mało było nieszczęść swoje dodają intelektualiści. Oto 130 osób, podpisało się pod apelem, który woła dramatycznie o poparcie Kuronia na Prezydenta. „My niżej podpisani, powodowani głęboką troską o losy ojczyzny...”. Jezus Maria, coś we mnie jęknęło, znowu intelektualiści są zatroskani o losy ojczyzny! I z powodu tego zatroskania opowiadają się za Kuroniem jako Prezydentem, bo tylko on, jak piszą, daje rękojmię i „przeciwstawi się wszelkim zamachom na demokrację”.

Ta lista intelektualistów wygląda jak abstrakcyjne dzieło pijanego malarza realisty. Gdyby to się nazywało apel zatroskanych obywateli, albo apel ludzi co mają słabość do Kuronia, ale to są INTELEKTUALIŚCI. Smutek ściska, no powiedzmy serce, bo niczego się nie nauczyli przez lata porażek. Dzisiaj tacy mali, chudzi, głodni, a gdy wypną piersi to koszule puszczają w szwach a guziki podobne do pocisków uderzają jak groch o ściany naszej rzeczywistości.

A sam Kuroń wychodzi ze szpitala po tym jak się wykołysał na rowerze. Na spotkaniu mówi – „dawna sitwa rwie się do władzy”. Przyznaje, że ich zlekceważył, był naiwny, wierząc, że się samooczyszczą i zmieniają. „Wiadomości”, oj nieładnie, pokazują to spotkanie z Kuroniem i kubek w jego ręce, który trzęsie się jak liść osiki. Wkrótce potem Wałęsa na spotkaniu w stoczni bierze publicznie szklankę z wodą do ręki i mówi – „mi się ręka nie trzęsie”. Nawet gdybym nie wiedział o nim więcej, to jedno zdanie kazałoby mi go skreślić jako kandydata na Prezydenta. Prof. Tadeusz Zieliński też szybko oświadcza publicznie, że jest zdrowy.

A ja mam wrażenie, że wszyscy nasi politycy są chorzy.

Występuję na seminarium poświęconym reklamie. Nie byle gdzie, bo na Zamku. Zdarzało mi się jadać na różnych zamkach w świecie, a nawet podejmować parę królewską, brałem udział w licznych dyplomatycznych przyjęciach nie tylko w Polsce, ale takiej pałacowej szopy to jeszcze nie widziałem. Dziwny kraj ta Polska, biedno-bogaty, z dobrym i złym smakiem dziwnie przemieszany. Na dziedzińcu specjalnie dla tej imprezy zrobiono sztuczną sadzawkę i pływały się tam różne zdarzenia artystyczne. Półnagie dziewczę jako Europa nurzało się w falach, a ja poczułem nagły skurcz wzruszenia, bo znałem dziewczę przed laty gdy jeszcze Europą nie było. Wśród snujących się dymów zajechała po nią biała limuzyna... Był też chór z Grecji, były liczne wystąpienia pod malowanym sklepieniem pięknej sali, dyskoteka z licznymi atrakcjami, ruletką, sobowtórami polityków. Na koniec w sali niezwykle długiej ujrzeliśmy stół na metrów kilkadziesiąt, uginający się pod wszystkim co sztuka kulinarna wymyślić potrafi. Z boku we wdzięcznych wnękach na posągi stały liczne modelki w postaci nieruchomej, w najnowszych kreacjach mody. U czoła stołu rozgrywała się prawdziwa opera. Tłum stał obok stołu ale nie wolno mu było jeść do końca występów. Bo po nich miało nastąpić uroczyste otwarcie stołu. Kilka osób jednak nie mogło się powstrzymać, szczególnie, że godzina była bardzo późna a wcześniej jeść nikomu nie dano. I tak nagle godność intelektualnej publiczności rozpruła się jak stary worek i otwartą drogą złego przykładu, wszyscy rzucili się na pulsujący jadłem stół. Niewiasty porządkowe, biegały i dawały po łapach, ale na próżno. Widomy znak, że stadne instynkty nie omijają elity, na co wiele jest przykładów w historii, choćby naszej i nie tak znowu dawnej.

A zawartość intelektualna, jądro sesji, której oprawę opisuję. To było nic. Pył z dmuchawca, jeśli ładne są usta dziecka, znaczy więcej.

Papież odwiedza na chwilę południe Polski. Wypowiada słowa, które zbulwersowały wielu, a wielu nawet zgorszyły. Zaskoczyła mnie ilość ludzi bliskich Kościołowi a zbulwersowanych. Papież powiedział: „Pod hasłami tolerancji w życiu publicznym i w środkach masowego przekazu szerzy się nieraz



wielka, może coraz większa nietolerancja. Odczuwają to boleśnie ludzie wierzący". Dalej mówił o programowej ateizacji, atakach na Kościół, oraz ośmieszaniu wartości chrześcijańskich. Oczywiście miejscem dramatu jest Polska.

Byłbym tylko równie zdumiony gdybym usłyszał, że ludzie niewierzący padają w Polsce ofiarą nietolerancji. W Polsce dzisiaj jest wiele brzydkich rzeczy, ale tu akurat nadspodziewanie jest dobrze.

Nawet Włosa potem prosi by nie łapać Papieża za słówka. A za co przepraszam wierni mają łapać Papieża? Może należy popatrzeć uważnie w oczy informatorów Papieża, ale czy to jedynie ich wina? Niestety pomysł kanonizacji księdza Jana Sarkandra, co męczony przez lutrów zginął za wiarę, też okazał się więcej niż nieszcześliwy. Ewangelicy są dotknięci do żywego mięsa.

Dwa tak poważne błędy za jednym papieskim rozdaniem głęboko smuć. Czy już naprawdę ostatnie autorytety nam się kruszą?

Pierwsze od stanu wojennego tak gwałtowne zamieszki w Warszawie. Przyjechali górnicy walczyć o zdychający Śląsk, a robotnicy z Ursusa uważają, że walczą o swój umierający zakład. Gdzie tu jest prawda, czy rzeczywiście nasza władza haniebnie zaniedbuje, niszczy, partoli, nie słucha i nie rozmawia? Czy raczej ludzie nie chcą pogodzić się z okrutnymi prawami kapitalizmu i demokracji, są sfrustrowani, że mają za mało żyjąc obok świata, który ma tak wiele. Są zrozpaczeni panującą wokół niekompetencją, niechlujstwem w szerokim sensie tego słowa, ale czyż sami nie są niechlujni i niekompetentni. Czy prawda jest tu pośrodku, a może prawdą jest tu wszystko po trochu?

Doszło do bijatyk, starcia jednak chyba spowodowało tłum. Kilka osób jest ciężko rannych. Ale to już nie jest totalitarne państwo. Ranni są po obu stronach, bo górnicy przyjechali z drewnianymi pałkami, a robotnicy z Ursusa mieli ze sobą śruby. Mass media próbują relacjonować zdarzenia obiektywnie, członkowie rządu odwiedzają w szpitalach obie strony.

Szef „Solidarności” Ursusa Zygmunt Wrzodak, słynny populistą zostaje potem oskarżony przez przewodniczącego

„Solidarności” regionu Mazowsze Macieja Jankowskiego o sięganie po metody faszystowskie. Podjudzony tłum krzyczał w kierunku urzędów państwowych „do gazu”. A Jankowski wie, że w Polsce po Oświęcimiu bardzo nieładnie tak krzyzczeć. Wrzodak tego nie wie, i część tłumu też nie wie.

Obecny szef MSW Andrzej Milczanowski, był działaczem podziemia i przesiedział 2,5 roku w latach 80-tych. Wspomina, że mimo siedzenia to były najlepsze lata jego życia. I oto teraz Milczanowski wydał rozkaz policji ataku na tłum, w którym musiało być sporo jego kolegów z czasów podziemnej działalności. Pytany czy w razie potrzeby wydałby rozkaz strzelania, zamyślił się, a potem powiedział, nie. Jako że ma nawyk przetykania każdej swojej wypowiedzi „że tak powiem”, brzmieć ta kwestia winna „że tak powiem... nie”.

Na ulicy Bagatela widziałem tego dnia dziesiątki pojazdów policyjnych i bardzo młodych ludzi w mundurach z tarczami, maskami i pałkami. To bezpośredni potomkowie ZOMO. Mogłbym bez wahania do ich poprzedników strzelać z automatu. Teraz patrzę z sympatią, jak korzystają z automatów telefonicznych by dzwonić do swoich mamus, bo jest dzień matki.

Obserwując potem starcia uliczne po raz pierwszy w życiu ze zgrozą czuję, że jestem raczej po stronie policji, a nie ludu. Jestem tak przerażony tym uczuciem, że staram się je zepchnąć w przepaść, ale ono twardo trzyma się krawędzi.

Partactwo postkomunistów i partactwo dawnej opozycji, przy władzy czy w walce o władzę, czy choćby na stanowiskach kierowniczych, jest mniej więcej sobie równe. Tak często spotykam na swojej drodze ludzi z dawnej opozycji, którzy jako szefowie wykazują się nepotyzmem oraz ignorancją, nie uczą się na błędach, olewają, biorą pieniądze za nie wykonaną pracę. A poza tym, to są w zasadzie bardzo porządni ludzie.

Nudzę czasami powtarzając pewne motywy w swoich tekstach. Mam jednak na usprawiedliwienie, że te motywy powtarzają się w naszej rzeczywistości jak chorobliwa czkawka. Pisałem nieraz o braku u nas odruchu rzetelności. I los sypnął mi garścią bolesnych przykładów. Oto pierwszy z brzegu, drobny, ale przecież suma źle przykręconych śrubek,



to nasz zaniedbany, rozklekotany pojazd, który jedzie wolniej, brudniej i hałaśliwiej do przodu niż powinien.

R. ma 30 lat. Jest w ZChN-ie, uważa się za narodowoprawicowego. Często wygłasza poglądy, które pachną mi autorytarnie. Nie lubi jednak armii, wymigiwał się ze szkolenia. Głosząc zasadę cnoty, biega za dziewczynami. Nie znosząc zachodniego liberalizmu z pasją pochłania libertyńskie filmy, oraz inne produkty tej marki. To wszystko nie trzyma się kupy – czy to właśnie ten słynny postmodernizm? R. jest pełen cytatów ze wszystkich opcji politycznych, z tym, że podkreśla konserwatywno-prawicowe, co nie znaczy, że nie używa tych nie podkreślonych.

Gdy wykonujemy wspólnie pracę dostrzegam ewidentny i kompromitujący błąd. Macha ręką, nie ma siły poprawiać, nic się nie stanie. Pomyślałem, to odruchowe, niechłujne machnięcie ręką wykonywane jest w tej chwili w setkach tysięcy miejsc w Polsce. Odruchowo. Gdy w Niemczech odruchowo w tym samym miejscu poprawia się zrobione błędy.

Rozpisując dla pewnego miesięcznika ankietę, zadajemy dwa pytania uczniom ostatnich klas liceum. Czy oddaliby życie za ojczyznę, ewentualnie na jakich warunkach, czy zgłosiliby się do wojska na ochotnika, w jakiej sytuacji?

Jest zawikłanie w odpowiedziach, i brak konsekwencji, każda odpowiedź jest możliwa. A jednak wybijają się takie głosy.

1. „Jeżeli by to miało sens? Ale z perspektywy czasu nie wiem czy nasi dziadkowie ginęliby na wojnie, gdyby wiedzieli co to da”.

2. „Tak naprawdę to ostatnio zastanawiałem się czy posiadam jakiekolwiek uczucia patriotyczne. Ze zdziwieniem zauważyłem, że tych uczuć nie posiadam”. Ale za chwilę jest zastrzeżenie: „Nie, żeby nie obchodził mnie los kraju, w którym mieszkam”.

Uczeń nr 3, tak pisze: „W dniu dzisiejszym nie byłbym w stanie oddać życia za moją ojczyznę. Dlaczego? Ponieważ moja ojczyzna od kilku lat przestaje nią być. Kraj rządony przez nieudaczników”.

4. „Oddałbym życie za ojczyznę, ale nie jestem pewien?”

W licznych odpowiedziach dominuje – „Nie” – często z wykrzyknikiem!!!

Powtarza się motyw – ojczyzna jako „miejsce gdzie jest mi dobrze”. Życie jest ojczyzną – więc jak można je oddać.

Kiedy byłem w ich wieku, odpowiadałbym: „Nie zamierzam oddawać życia, nawet skrawka paznokcia za PRL, ale jestem gotów oddać życie abyśmy przestali być PRLeem i odzyskali niepodległość”.

Dzisiaj mógłbym tylko powtórzyć ich słowa, również w całej ich niekonsekwencji, nieco je skomplikować – co za fatalny zawodowy nałóg – i podpisać się pod nimi. A potem z przerażeniem obejrzeć się za siebie.

Znaki wolności. Budka na Placu Unii prowadzona przez Wietnamczyków. Uśmiechają się przez cały czas, jakby tylko uśmiech chronił ich przed zjedzeniem przez tych obcych, białych. Robią na wynos bardzo dobre i tanie obiady.

Głos radiowych wiadomości zza ściany, słyszę jak Polska opieprza za coś Rosję. Dzięki tej ścianie tak mnie to porusza.

Paszport, który przekładam z szuflady do portfela.

Tekst, który piszę do codziennej gazety i wiem, że w granicach zdrowego rozsądku mogę napisać wszystko.

Dlaczego więc tak mnie denerwuje często używany zwrot, sam go używam – „po upadku komunizmu”? Bo to nie był upadek, a przegnicie. Po dogniciu komunizmu, żywiłiśmy się jego odpadami. Ze wszystkimi tego konsekwencjami.

William Wharton, amerykański prozaik żyjący w barce na Sekwanie odbywa triumfalną podróż po Polsce. To jedyny kraj gdzie jest tak niebywale popularny. Dlaczego? Próbuję to z nim ustalić. Tyle ciepłych uczuć, rodzinność, ocieplanie zimnych miejsc życia. W jego powieściach nie ma polityki, jest za to pewien rodzaj czułości, bliskiej kiczu, ale zwykle nie przekracza tej granicy. O tak, jest trochę ojcem dla naszej osieroconej przez autorytety młodzieży, a to młodzież przede wszystkim go uwielbia. Widziałem kilometrowe kolejki stojące w deszczu po autograf. Jest mistrzem erotyki, opisać seks między 72-letnią niewidomą kobietą a 50-letnim malarzem kloszardem, tak smacznie jakby jedli kolację w



czterogwiazdkowej restauracji, toż to rekord świata.

Rozmawiam z nim w studio telewizyjnym w Poznaniu. Miłe są takie studia, czas tam płynie inaczej, przypominają małe luksusowe lotniska, choćby to na Gotlandii, gdzie potężne tułowie samolotów rozczulają spokój budynku. Tu są kamery.

Gdy spotkałem Whartona wcześniej w Warszawie był niebywale rozgadany i otwarty, teraz patrzę, ma na ustach kłódkę. A jednak lubię go, czuję do niego sympatię wszystkimi porami swojej skóry, mam poczucie, że znam go od stu lat. I od tego spontanicznie zaczynam rozmowę.

– Mam wrażenie, że znam pana od stu lat?

– Może jestem twoim dzieckiem – mówi.

Kamerzysta macha ręką – nie nagrało się. Musimy zaczynać jeszcze raz.

Co robić... ze skurczem niechęci, powtarzam moje spontaniczne pytanie, a Wharton niechętnie odpowiada tym samym.

Znowu dają znać, że nie nagrało się. Co robić, co robić? Z odruchem obrzydzenia do siebie, powtarzamy to samo, gładko. To już nie my mówimy a płyta z grzbietem z plastikową, bitą śmietaną.

Gdy potem pytam Whartona czy nie ma poczucia, że od wizyty w Polsce zaczyna się jego komercjalizacja, może pakt z diabłem mass mediów, waha się, ale zaprzecza, mówi, że jest za stary by paść ofiarą.

Czy można być za starym na pakt z diabłem? – pytam go po programie. I przypominam nasz niefortunny początek. Czy to nie był pierwszy krok? Dał palec, w czym ja mu niewinnie pomogłem. Moja spontaniczna szczerość, którą wyjąłem ze swoich trzewi, jego odruchowa odpowiedź, powielona dwukrotnie w tej samej wersji stają się komercyjnym produktem. Daliśmy mass mediom palec, ale one prędzej lub później wezmą naszą duszę.

Zasępił się, i zgodził się.

Czy to, że stawiam diagnozę chroni mnie przed mocą czarta?

Wchodzimy w czas niespokojny – wieszczą publicyści. Ja, taki pesymista, a w to nie wierzę. „Ten kraj się zwija, naród

się zwija” biadoli znany publicysta, gdy suniemy wolno w jedynej chyba tego dnia kolejce w Warszawie. Oto w pewnej ambasadzie obchodzone jest Święto Narodowe. Suniemy noga za nogą a ja gratuluję publicyście, że tak dzielnie skrytykował w gazecie Papieża. Przysłuchuje nam się z dobrotliwym uśmiechem ksiądz, w którym nagle rozpoznaję księdza Henryka Jankowskiego. Jakby go nie zabolaty moje słowa, pocziwie zagaduje. A jaka była awantura gdy w swoim kościele św. Brygidy urządził wielkanocną szopkę, gdzie na czerwonym tle umieszczono swastyki, sierpy i młoty, skróty SS, NSDAP, NKWD, a tuż obok PZPR, SLD, PSL, Unia Pracy i Unia Wolności. (Prymas go bronił, ale niektórzy biskupi krytykowali). Patrzę, ksiądz Jankowski był tak długo spowiednikiem Prezydenta, a ucho ma jak każdy człowiek. Potem nawet Prezydentowi publicznie dołożył. Nie tylko żyje, ale jest w dobrym humorze i rządzi w swoim kościele jak drzewiej magnaci na kresach.

Dochodzimy na salony. Żałość takich przyjęć. Niebywała ilość garniturów i kostiumów, funkcji, dystynkcji, godności, a gdyby tak polać to szlauchem jak leje się trawnik, to nie zostałoby nic. Czy wielki tłum kierowców, kłębiący się pod ambasadą, nie zastąpiłby w pełni na funkcjach i w godnościach całego towarzystwa? Tu mi łapkę ścisną jakiś jegomość, dowiaduję się nowy komendant policji, a tu nowy wice-minister... tyle gadania, a czy choć jedna sensowna myśl?

Ambasador pewnego kraju opowiada, jak to jego kraj walczy aby Polska weszła do NATO. Nie jestem wzruszony. Mały poseł do sejmu próbuje mnie podszczyścić, ale łapki ma za małe. Pamiętam jak się przemykał pod policyjnymi reflektorami, a teraz jest nietykalny. Wysoki urzędnik wysokiego urzędu jest o dziwo trzeźwy, oczom nie wierzę, kawał chłopca, więc gdy kiedyś ratowałem jego urzędową godność narażoną na szwank przez alkoholowe upojenie, było to doprawdy ciężkie doświadczenie.

Były prezydent Warszawy, opowiada mi jak przyjemnie już nie być Prezydentem. Każdy kto był u nas kimś a teraz jest już tylko prywatnie, to twierdzi, że odzyskał szczęście. Ale jak się tylko nadarzy okazja, to znowu hyc... Dawny radca handlowy, superkomuch, teraz przefarbowany na liberała, przemyka się giętko, stara się nie ocierać o ludzi, jakby nie



dowierzał farbie, że wyszła mimo tylu lat co minęły od farbowania. Oczom nie dowierzam, toż to wita się ze mną po trzeźwemu osobnik, co niedawno w innym nieco miejscu i w innym stanie przedstawił mi się słowy – „dzień dobry, jestem nikim”. Pisałem wtedy, że tak się przedstawiają ludzie tylko w kraju gdzie każdy musi być kimś. Jeszcze trzeźwy jest kimś, za chwilę pewnie znowu będzie nikim, ale mnie już tu nie będzie.

Żalność tego Wielkiego Świata uświadamia, że tak naprawdę ważna jest tylko chwila intymności i czułości.

SMECZ

## KSIĄŻKI POLSKIE ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

**ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI**

4, rue Frédéric Sauton 75005 Paris

Telefon (1) 40 51 76 40

Fax (1) 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

**SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI**

## Sąsiedzi

### Mińsk po referendum

14 maja br. na Białorusi odbyły się wybory do Rady Najwyższej i ogólnonarodowe referendum, w którym obywatele Białorusi na wniosek prezydenta Aleksandra Łukaszenki odpowiedzieli na cztery pytania: czy chcą przywrócić językowi rosyjskiemu status języka urzędowego, czy opowiadają się za przyspieszeniem integracji z Rosją, czy popierają przywrócenie symboliki Białorusi sowieckiej w miejsce obowiązującej obecnie Pogoni (Pahonia) i historycznej flagi biało-czerwono-białej i czy są skłonni wyposażyć prezydenta w prawo do rozwiązywania parlamentu. 15 maja z grupą Polaków-białorutenistów przyjechałem do Mińska na II Kongres Stowarzyszenia Białorutenistów, który miał się odbywać w dniach 16-18 maja w stolicy Białorusi. Mińsk powitał nas spokojem. Jeszcze mińszczanie nie znali wyników referendum, ale jakaś niepewność wisiła w powietrzu. Przed dworcem kolejowym nie było dużego ruchu, a ludzie, jak zawsze, przemykali się do autobusów i tramwajów. Zwykle organizatorzy kongresów i zjazdów, konferencji spotykali zagranicznych gości, odwozili ich do najlepszych śródmiejskich hoteli. Tym razem przyjechało na dworzec dwóch pracowników Naukowego Centrum im. Franciszka Skoryny. Zdziwieni byli, że z Polski przyjechało tak wiele uczestników Kongresu, bo aż dwadzieścia osób. Białorusini dysponowali tylko jednym wozem osobowym, więc część z nas pojechała do hotelu „Turist” tramwajem. Jechaliśmy bardzo długo, bo hotel zbudowano w dzielnicy fabrycznej, w tzw. zawodzkim rejonie, w pobliżu znanej na Białorusi fabryki traktorów. Hotel usytuowano przy ulicy Dołgobrodzka przy centrum handlowym „Biełaruś”.



W tramwaju tego ranka ludzi było niewiele, jechali w milczeniu, w ponurej ciszy. I nie byli to robotnicy, bo podobno większość fabryk mińskich nie pracuje, chociaż ludzie otrzymują pobory, żeby się nie buntowali, nie strajkowali. Niewiele wprawdzie otrzymują: jakieś 300-400 tysięcy rubli białoruskich na miesiąc, co wynosi około 25-30 dolarów USA. Jest to jednak jakaś konkretna, stała pomoc finansowa, zwłaszcza gdy w tym „wolnym” czasie robotnik uprawia działkę rolną za miastem lub wykonuje pracę dorywczą na czarno, albo gra z kolegami w karty. Natomiast pracownicy oświaty, kultury, nauki nie otrzymują poborów systematycznie: władze zalegają z zapłatą nawet po dwa miesiące. Żeby się utrzymać uczeni białoruscy łapią różne płatne zajęcia. Znam profesora uniwersytetu, który, jak mówi, pracuje na trzech etatach, codziennie od godziny 8 rano do 22 wieczorem. Jest tak bardzo zmęczony, że o pracy naukowej i marzyć nie może. Ale musi tyle pracować, żeby utrzymać rodzinę, tym bardziej że starsza córka jest studentką, a młodsza właśnie kończy szkołę średnią i będzie się starała o dostanie się na studia. Obecnie na Białorusi to także problem, chociaż wiele młodych ludzi nie chce studiować, bo nie widzą po studiach żadnych perspektyw życiowych.

W pobliżu hotelu „Turist”, obok centrum handlowego „Biełaruś”, rozłożyło się sporo kiosków, budek i kramików. Można tu kupić wszystko, najwięcej jednak jest różnego alkoholu. I ceny zupełnie przystępne: w przeliczeniu na dolary USA od 1,5 dolara do 3-4 dolarów za butelkę wódki lub butelkę rosyjskiego koniaku. Nie brakuje chleba, masła, tłuszczu, mięsa i różnych wędlin. W sklepach widziałem nawet kawior, łososia i węgorze. Jednakże żywność jest droga. Kiełbasa kosztuje od 40 tys. do 180 tys. rubli za kilogram, a więc od 3 do 15 dolarów USA. A np. 1 kg węgorza kosztuje 360 tys. rubli, co wynosi jedną przeciętną pensję. Na Białorusi, jak w każdym państwie WNP, są oczywiście miliarderzy, którzy nie liczą się z pieniędzmi, i niczego im nie brakuje. Są oni raczej niewidoczni. O nich się tu mówi, ale ich nie widać.

Cały dzień mieliśmy wolny, więc z kolegą pojechałem do centrum. Odwiedziliśmy redakcję *Hotasa Radzimy*. Gazeta tygodniowa jeszcze wychodzi, chociaż dwa kolejne numery czekają na druk. Drukarnia odmawia druku, bo redakcja

zalega z opłatą. Redaktor Wacław Mackiewicz ma nadzieję, że pieniądze się znajdą. Wspomagają go rodacy, Białorusini, z emigracji, którzy przysyłają na konto gazety datki pieniężne w dolarach. Ministerstwo Kultury Białorusi, które dotychczas finansowało pismo, mówi, że pieniędzy nie ma, bo zostały wydane na kampanię wyborczą i wybory do parlamentu. Trzeba będzie zresztą więcej wydać, bo wybory będą powtórzone na pewno kilka razy. Wacław Mackiewicz, pochodzący spod Krasławia w d. Inflantach, jest krytycznie usposobiony do obecnej władzy prezydenckiej, zresztą jak większość inteligencji humanistycznej. Ludzie ci swoich poglądów nie ukrywają, wyrażnie i śmiało wypowiadają się o antynarodowych poczynaniach prezydenta. Redaktor *Hotasa Radzimy* wierzy, że jest to jednak stan przejściowy, naród białoruski jest jakby w letargu. Potrzeba wiele czasu, by z tego snu naród mógł się obudzić.

15 maja jeszcze nie było wyników głosowania i referendum, ale już wiedzieliśmy, że w samym Mińsku wybory się nie udały: były tu 42 okręgi wyborcze, z tego w 13 okręgach wybory w ogóle się nie odbyły, bo nie było frekwencji, natomiast w pozostałych 29 okręgach do drugiej tury przeszło zaledwie kilkadziesiąt osób, w tym, jak podaje gazeta *Towaryszcz*, 14 kandydatów na posłów z Partii Komunistów Białorusi, która popiera A. Łukaszenkę i dąży do odbudowy Związku Sowieckiego. Na wybory nie przyszli przeważnie inteligenci. Miał to być ich gest protestu. Inteligencja znalazła się znów na uboczu.

W Mińsku była piękna pogoda, na ulicach chodziło i spacerowało wiele ludzi, sporo pięknych kobiet. Białorusinki wyróżniają się urodą, choć czasami brakuje im elegancji. Ale obraz stolicy ten sam jak dawniej: typowe sowieckie miasto z szerokimi ulicami, fasadowymi gmachami i niewielką ilością sklepów. Zmieniło się może o tyle, że wszystkie napisy, szyldy, reklamy, jak na razie, wszędzie są jeszcze w języku białoruskim. Rosyjskich napisów prawie nie ma, bo nawet na kioskach handlowych widziałem wyłącznie napisy białoruskie. Jednakże na ulicach Mińska języka białoruskiego żywego nie słyhać. Wszyscy tu mówią wyłącznie po rosyjsku, a raczej językiem mieszanym, rosyjsko-białoruskim. Pojawiło się trochę nowych barów, w których można jedynie napić się wódki



lub wypić z puszki coca-colę. A do zjedzenia niczego nie ma. Szliśmy długą ulicą Kozłowa ponad dwa kilometry i nigdzie nie spotkaliśmy kawiarni lub przyzwoitej restauracji. Tak więc bez obiadu wróciliśmy do hotelu, gdzie dopiero mogliśmy się posilić. W tramwaju tłoczno: ludzie ciągle gdzieś jeżdżą. Dawniej jeżdżono w poszukiwaniu żywności, a dziś w poszukiwaniu produktów tanich.

II Kongres Stowarzyszenia Białorutenistów rozpoczął się w podniosłej atmosferze. Po przemówieniach poszczególnych osób co chwila rozlegały się okrzyki „Żywie Biełaruś!”, na scenie godło Stowarzyszenia: wizerunek św. Eufrozyny z Połocka i flaga czerwono-biało-czerwona. We wszystkich wystąpieniach były akcenty patriotyczne, wyrażano troskę o państwo, o wolność Białorusi. Na sali obrad nie było przedstawiciela rządu czy urzędu prezydenta, chociaż była to impreza międzynarodowa, bo oprócz Polaków przyjechali naukowcy z Rosji, Ukrainy, Litwy, Łotwy, Francji, Niemiec, Austrii, Jugosławii i Anglii, nawet z Finlandii. Podczas przerwy ktoś z organizatorów poinformował zebranych, że prezydent A. Łukaszenka miał się wyrazić, iż ten kongres to zjazd byłych faszystów i nacjonalistów. Naukowcy-Białorusini byli przygnębieni. Nie wiedzą jaka przyszłość ich czeka: mają obawy, że język rosyjski, który i tak dominuje w Mińsku i w dużych miastach, wyprze białoruski. Niektórzy z uczestników Kongresu mówili w rozmowach prywatnych, iż świadomość narodowa Białorusinów jest nikła, a większość obywateli wspomina czasy sowieckie jako okres dostatku i dobrobytu, a swoją dalszą egzystencję widzi wyłącznie we wspólnocie z Rosją. Taką opinię uzyskałem też od pracownicy hotelu, z wykształcenia inżyniera, która powiedziała, że głosowała „tak” na wszystkie pytania Łukaszenki i że jej zdaniem, Białoruś powinna być z Rosją i Ukrainą, jak dawniej, za Breżniewa. „Europy my się boimy” – odrzekła, gdy zapytałem dlaczego ciągnie ich, Białorusinów do Rosji. – „Rosjanie to swoi ludzie, my ich dobrze znamy i oni znają nas”. To właśnie tzw. prości ludzie głosowali na Łukaszenkę i za integracją z Rosją.

16 maja pojawiły się pierwsze wyniki głosowania, jeszcze niepełne, ale już zwiastujące zwycięstwo prezydenta i jego programu. 16 maja po południu wysoki urzędnik w Urzędzie Prezydenckim i przyjaciel Łukaszenki, Iwan Titienkow,

demonstracyjnie, na oczach zebranego tłumu, ściągnął z masztu na dachu Pałacu Prezydenckiego flagę biało-czerwono-białą, podał ją na strzępy i rozdawał kawałki sztandaru kolegom na pamiątkę. Temu barbarzyńskiemu aktowi w milczeniu przyglądał się tłum ludzi. Niektóre kobiety płakały, ale nikt nie protestował. Wśród tego tłumu stałem i ja. Patrzyłem na to widowisko jak na koszmarnie kadry z filmów dokumentalnych, pokazujące jak w 1939 roku hitlerowcy zrzucali i niszczyli nasze symbole narodowe. Mogę zrozumieć, że naród świadomie czy nieświadomie zmienia symbole narodowe, to sprawa danego narodu. Ale bezczęście zmienioną flagę narodową może tylko faszysta lub *homo sovieticus*. Nie mogłem dłużej temu się przyglądać. Cóż, jak mówią Białorusini: „*Swoj z swaim bjecca, a czuży nia mieszajsia*”. Ale przecież symbolika Białorusi nie jest mi obca, dla człowieka pochodzącego od pokoleń z Wielkiego Księstwa Litewskiego. Przecież znak Pogoni i czerwono-biało-czerwone sztandary były już pod Grunwaldem! Flagą narodową białoruską została zbezczeszczona przez urzędnika państwowego i nikt nie stanął w obronie symbolu niezależnego państwa. Zniszczenie flagi było aktem niszczenia niezawisłości Białorusi, tępienia parlamentaryzmu, oddania władzy jednemu człowiekowi, którego popierają poplecznicy z Mohylewa, „chłopcy komsomolcy” z rejonowych komitetów i komuniści, którzy na Białorusi działają jawnie i dość aktywnie. Już 19 maja w swojej gazecie *Towariščy*, wydawanej po rosyjsku, komuniści z entuzjazmem podali wyniki referendum: za wprowadzeniem języka rosyjskiego jako drugiego języka państwowego na Białorusi głosowało 83,1% wyborców, tj. 4.014.402 osoby; za ekonomiczną integracją z Rosją wypowiedziało się 82,4% uczestników referendum, tj. 3.981.215 osób; przeciwko dotychczasowej symbolice narodowej (flaga biało-czerwono-biała, herb Pogoń) i za wprowadzeniem sowieckiej symboliki głosowało 75%, natomiast za nadaniem prawa prezydentowi przedterminowego rozwiązywania parlamentu wypowiedziało się 77,6%. Taki wysoki procent osiągnięto, jak stwierdzają niektórzy dziennikarze, dzięki temu, iż na wsi dyrektorzy kołchozów i sowchozów zmuszali ludzi do podkreślania rubryki „tak”, natomiast w dużych miastach i w stolicy inteligencja zignorowała referendum.



Rozmawiałem ze znajomymi dziennikarzami. Dźmitry Padbiarezski, zastępca redaktora naczelnego miesięcznika *Mastactwa*, powiedział mi, że do takiego głosowania pchnęła Białorusinów bieda. Uwierzyli ludzie, że Rosja pomoże zlikwidować bezrobocie, uruchomi fabryki i zakłady pracy, powrócą czasy „jak za Breżniewa”. Jednakże Padbiarezski pesymistycznie widzi przyszłość Białorusi. Podobnie wypowiedział się Siemion Bukczyn, naczelnny redaktor gazety *Jewropiejskoje Wriemia*. „Łukaszenkę popiera wieś wschodnich rejonów Białorusi – powiedział. – Jest on dla nich zrozumiały i swojski, mówi tym samym rosyjskim-białoruskim językiem, zwanym „trasianką”, więc ufają mu. Świadomość narodowa jest nadal niska i każdy myśli tylko o tym, by jakoś przeżyć”.

A młodzież handluje, do polityki nie wtrąca się, nie myśli o przyszłości, chociaż widziałem na prospekcie Franciszka Skoryny (d. Leninowski prospekt) przy kiosku Białoruskiego Frontu Narodowego długą kolejkę młodych ludzi, którzy stali po świeży numer niezależnej gazety *Swaboda*. Ja również stanąłem w ogonku. Gazeta ta w nakładzie 93.000 egzemplarzy rozchodzi się błyskawicznie. Kilkanaście tysięcy egzemplarzy *Swabody* wykupują patrioci w Witebsku, Grodnie, Połocku. Pytałem stojące w kolejce osoby co sądzą o wynikach referendum. Odpowiadali, iż jest to sytuacja przejściowa, a „Łukaszenka nie jest wieczny”. Na Białorusi wszystko może się zmienić. Moimi rozmówcami byli przeważnie studenci uniwersytetu. Jest to na pewno sygnał optymistyczny. Młode pokolenie wraca do białoruskości i za lat kilka lub kilkanaście może Białoruś odnaleźć świadomość narodową, aczkolwiek znany pisarz białoruski, mieszkający w Polsce, Sokrat Janowicz uważa, iż „Białoruś długo pozostanie na etapie ‘mieć’, być może zbyt długo, przechodząc wreszcie do etapu ‘być’ z psychofizjonomią białoruskiego metysa, ni pies, ni wydra...” Również Wasil Bykau, postulowany kandydat środowisk twórczych Białorusi do literackiej nagrody Nobla, wypowiedział się, iż „nadchodzą straszne czasy”. Jego zdaniem wyniki referendum i wyborów parlamentarnych rozwiązują ręce władzy, która wyraźnie dąży do odbudowania totalitaryzmu i ponownego przyłączenia Białorusi do odradzającego się imperium rosyjskiego. Bykau powiedział, iż wyniki referendum były jednak szokiem dla społeczeństwa.

A jak zareagowali na wyniki referendum politycy tej rangi jak Zianon Paźniak i Stanisław Szuszkiewicz? Pierwszy z gazecie *Swaboda* (z dnia 19 maja) powiedział m.in. iż „to, co się obecnie dzieje na Białorusi, to przejaw zaborczych, tajnych planów kół imperialistycznych Rosji wobec Białorusi”. Szuszkiewicz natomiast uważa, że nie wszystko stracone, demokraci powinni wyciągnąć właściwe wnioski i być mądrzejszymi w swoich działaniach. BFN również musi zmienić front działalności, ponieważ popełnił wiele błędów taktycznych i politycznych. Na pytanie dziennikarza *Swabody* co sądzi o zmianie symboliki narodowej, Stanisław Szuszkiewicz odrzekł: „Żyliśmy 75 lat z sowiecką symboliką, przeżyjemy jeszcze trochę. Przeżyliśmy referendum o zachowanie Związku Sowieckiego, przeżyjemy i te zmiany. A przecież kiedyś świadomość ludzi wzrośnie. Pojawi się nowe pokolenie, które odnajdzie prawdę historii i źródła, które pomogą zrozumieć czym jest Białoruś. Dlatego uważam, że stan obecny długo nie potrwa”.

„Dobroruś” Tadeusza Konwickiego nadal w uśpieniu...

Mieczysław JACKIEWICZ

## Notatki rosyjskie

Z Rosji zaczynają napływać krzepiące wiadomości. „Narodowo-Patriotyczny Związek Rosji” wydał z okazji 50-lecia Wielkiego Zwycięstwa kasetę z fragmentami przemówień Stalina. Ta przyjemna inicjatywa przypomniła mi balladę Aleksandra Galicza sprzed lat, bagatela, trzydziestu. Mianowicie naiwna staruszka przynosi do komisji zbiór przemówień Stalina. Dyrektor nie wie, czy przyjąć go do sprzedaży, czy nie, bo nie zapadła dotąd uchwała, czy Stalin jest geniuszem, czy jeszcze nie. Toczyła się akurat walka z kul-



tem jednostki i zdania były podzielone. Dziś problem rozwiązano: geniusz! Może nie dla wszystkich, jak w 1953 roku, ale dla wielu.

W miarę jak nasila się kampania wyborcza, coraz wyraźniej czuć tęsknotę za Stalinem. Partie – a ściślej ich przywódcy – szukają programów i ideologii, które zachęciłyby wyborców do odpowiedniego głosowania. To znaczy na daną partię i jej wodza. Najbardziej charakterystyczną cechą kampanii wyborczej jest różnica między „lewicą”, pod którą to nazwą kryją się komuniści, nacjonaliści itp., oraz „prawicą”, czyli demokratami i liberałami różnych odcieni. „Lewica” wychodzi naprzeciw wyborcom, organizuje wiece i zebrań, gorąco agituje w swojej – licznej – prasie, organizuje terenowe komórki, komitety i grupy wyborców. „Prawica” siedzi w stolicy i oddaje się intrygom na najwyższym szczeblu, tak jakby była absolutnie przekonana, że jest tak dobra, że wyborca pokocha ją sam.

W jednej dziedzinie Rosja niewątpliwie stała się normalnym krajem: gazety i czasopisma bezustannie ogłaszają wyniki sondaży (po rosyjsku nazywa się to obecnie „rankingi”) na temat przywódców i partii. Warto odnotować, że wśród najpopularniejszych stu przywódców widnieją już od dwóch lat te same nazwiska: nie widać przybytku, nie ma też ubytków. Ustalona setka zmienia pozycje: raz ktoś jest na dziesiątym miejscu, miesiąc później na siedemnastym – ale krąg ulubieńców się nie zmienia. Niekiedy tylko znikają osoby, które prezydent usunął ze swojej drużyny. Z reguły są to doradcy, których rady przestały mu odpowiadać, a którzy sami, bez jalcynowskiego zaplecza, niczego sobą nie przedstawiają. W maju fundacja „Opinia publiczna” przeprowadziła wszechrosyjski sondaż wśród 1326 osób. Zadano im pytanie: Kogo spośród wymienionych polityków chcieliby widzieć na stanowisku prezydenta? Na pierwszym miejscu, daleko przed innymi, plasuje się Grigorij Jawniński: 12% za, 2% przeciw. Borys Jalcyn zebrał 4% głosów za i 35% przeciw. Władimir Żyrnowski – 7% za i 39% przeciw. Aleksander Lebied' – 7% za i 2% przeciw. Itd., itp. Wysoko plasuje się znany chirurg Swiatosław Fiodorow, bogaty szef kliniki okulistycznej, który zebrał 10% głosów za i ani jednego przeciw, oraz Borys Fiodorow, młody

ekonomista, przelotny minister finansów – 9% za i 1% przeciw.

Inny sondaż badał stosunek do rozmaitych partii. Na pytanie, jaka partia najlepiej wyraża interesy takich osób jak Pan/Pani, najwięcej – 9% głosów – zebrała Komunistyczna Partia Rosji (przywódca Giennadij Ziuganow, 9% za i 9% przeciw). Blok Jawnińskiego uplasował się na drugim miejscu – 8%, „liberalni demokraci” Żyrnowskiego na trzecim – 7%. Za innymi partiami wypowiada się jeszcze mniej ludzi.

Opinia publiczna jest rozbita, programy partii mętne, po obszarach młodej demokracji rosyjskiej hulają wiatry demagogii. Nazwy wielu partii i ruchów mówią same za siebie i za program. Aleksander Ruckoj nazwał swój ruch „Mocarstwo”. W maju założono w Wołgogradzie „wszechrosyjski lewo-centrowy blok patriotyczny” pod nazwą „Za Ruś jedyną”. Historyk Aleksander Podbieriezkin zdobył poparcie Ziuganowa i stworzył przymierze „patriotów-państwowców” z komunistami pod nazwą „Duchowe dziedzictwo”. Bazę teoretyczną „Dziedzictwa” stanowią dzieła Podbieriezkina: „Doktryna narodowa Rosji”, „Koncepcja bezpieczeństwa narodowego” itp.

Partie i ruchy pod tradycyjnymi politycznymi nazwami – Demokratyczna Partia Rosji, Agrarna Partia Rosji albo Robotnicza Rosja – które w maju zwoływały zjazdy, konferencje i plena – podkreślają przede wszystkim swą wrogość wobec zgniłego reżymu Jalcyna i swój patriotyzm. Wszystkie mają na porządku dnia sformułowanie programu ideologicznego. Programy mają być osnute na kanwie państwowotwórczo-patriotycznej. Spoiwem sprzecznych na pierwszy rzut oka elementów, na przykład prawosławia i komunizmu – jest nienawiść. Wrogów można dobrać na każdy gust. Przede wszystkim zagranicznych. Głównym wrogiem jest Ameryka. Pisarz Władimir Krupin, niegdyś obiecujący, ogłosił w *Prawdzie* z 31 maja 95 opowiadanie pod tytułem „Yankee, go home!” Główna postać opowiadania, Bohater Związku Sowieckiego, jest w rozpacz: „Chodzę po okupowanej Rosji, wśród wystaw zawałonych zatrutą chemikaliami żywnością, tandetną pornografią, patrzę na wykrzywione myślą o zysku twarze, oglądam, jak ekonomiści pełzają na kolanach przed amerykańską pomocą...” itd. Bohater wie: wszystkie nie-



szczęścia świata wynikają z amerykańskiej okupacji, zbrojnej albo gospodarczej. „I nasze nieszczęścia stąd się biorą. Więc co odpowiemy na pytanie: co robić? Odpowiemy – pisać na płotach i w gazetach: Yankee, go home! Nie pójdziecie drzwiami? Wyrzucimy oknem! Na zieloną trawkę! Pod Biały Dom!”

Wrogiem jest cała Ameryka, ale są też konkretni wrogowie, nosiciele „amerykańskiej zarazy”. Zbigniew Brzeziński znów jest popularny. Tak jak był jednym z ulubionych obiektów nienawiści w czasach Breżniewa, tak jest i teraz. Jeszcze bardziej nienawidzą George'a Sorosa. Jest za co: przez ostatnie trzy lata udzielił ponad 200 mln dolarów bezzwrotnej pomocy intelektualistom, uczonym, nauczycielom i studentom Rosji i innych krajów byłego Związku Sowieckiego. W związku z tym posłowie do Dumy debatowali w marcu nad ośmiostronicowym listem przewodniczącego komisji bezpieczeństwa Dumy, W. Iluchina, „O działalności Fundacji Sorosa w Rosji”. W. Iluchin oskarżył amerykańskiego finansistę o zamach na bezpieczeństwo Rosji i „pranie mózgów” rosyjskich. Duma uznała, że są to oskarżenia bezpodstawne i zdecydowała, że „dobroczynna działalność Fundacji Sorosa” jest ważna i pożyteczna. Ale w ostatnim numerze *Nowości wywiadu i kontrwywiadu* (Nr 1-2 1995) A. Mirosznikow wysuwa w artykule „Czy Sorosowi uda się zmienić mózgi Rosjan?” te same oskarżenia. Niektórzy czytelnicy zwracają uwagę, że wszystkie zarzuty przeciwko Sorosowi powołują się na te same fakty, czyli że pochodzą z tego samego źródła. Mówi się ostatnio, że „organy” nabrały wiatru w żagle. Kampania przeciw Sorosowi jest tego dowodem – nie jedynym.

Przywódca rosyjskich faszystów Aleksander Barkaszow (jego ruch nazywa się „Rosyjska Wspólnota Narodowa”) trafnie opisał sytuację w wywiadzie, jakiego udzielił gazecie *Zawtra* (*Jutro*, Nr 21): „Dziś główna bitwa rozgrywa się na froncie ideologicznym, o świadomość naszego narodu. I my, i wy, i wszyscy inni ludzie, którzy mówią prawdę, uważamy, że bitwę tę wygramy”. Wywiad kończy się ufnym: „Czas pracuje dla nas”.

Gazeta *Zawtra*, która nazywa się w podtytule „organem duchowej opozycji”, jest jedną z najważniejszych tub niena-

wiści i nacjonal-bolszewizmu. Jest to jednak inicjatywa indywidualna (choć finansowana przez państwo). *Krasnaja zwiezda* jest organem armii rosyjskiej. Aby nie zostać w tyle za *Zawtra*, *Krasnaja zwiezda* (31.5.) opublikowała wywiad z Czesławem Młynnikiem. Być może nie wszyscy czytelnicy znają tego bohatera naszych czasów, więc krótko go przedstawie: uczestnik wojny w Afganistanie, następnie milicjant, potem w OMON-ie, specjalnych jednostkach do uśmierzania zamieszek. Wsławił się jako komendant OMON-u w Rydze, kiedy Michaił Gorbaczow wierzył, że kwestię narodową w Nadbałtyce uda się załatwić starymi metodami. Dziś przed Młynnikiem otwierają się nowe perspektywy, których charakter nie wynika jasno z wywiadu. Jednak rozmowa z nim nosi wymowny tytuł: „Zagrodzimy drogę wrogom Ojczyzny”. Kto kryje się za „my”, nie wiadomo. Łatwo się jednak domyślić, że patrioci.

Główne tezy Czesława Młynnika brzmią następująco: „Stalinowska epoka była epoką surową, ale nie była epoką absurdalną, jak późniejsze”; „Prawdziwych przyjaciół Rosja jak nie miała, tak nie ma, a wrogów jeszcze przybyło”; „Nie wierzę w fałszywe hasło ‘apolitycznej armii’ i nigdy się z nim nie pogodzę”; „Jeśli Rosja będzie miała sprawną, mobilną, dobrze wyćwiczoną armię – będzie miała i całą resztę”.

Były milicjant zna odpowiedzi na wszystkie pytania. Weźmy gospodarkę. Czesławowi Młynnikowi żale na brak środków wydają się śmieszne. „Środki mamy! – zapewnia. – Wystarczy zwrócić Rosji rubla... Jeśli chcą kupować naszą naftę i rudy – niech płacą jak dawniej, półtora dolara za rubel”. W dawnych dobrych czasach towarzysz Stalin właśnie tak postąpił. Po zwycięstwie ekonomiści przynieśli mu rozmaite wykresy i obliczenia: dolar jest wart 14 rubli, powiedzieli. Wódz narodów spojrzał i zdecydował: starczy im (tzn. Amerykanom) i rubel czterdzieści. Tak też się stało.

Skrajne, krzykliwe głosy, apelujące o powrót do „światlanej przeszłości”, nie wyrażają opinii większości. Natomiast niewątpliwie coraz silniej wpływają na większość. Borys Jelcyn na przykład całkiem niedawno poszedł na rękę chłopstwu rosyjskiemu, to znaczy dyrektorom kołchozów i sowchozów, wysoko podwyższając cła na importowaną żywność. Ekonomiczny pożytek z tego posunięcia jest dyskusyj-



ny, ale prezydent Rosji tłumaczył, że rosyjski kartofel jest nieporównanie zdrowszy i smaczniejszy od „chemicznego” kartofla zza granicy.

Dialog między znaną dziennikarką Olgą Czajkowską i Aleksandrem Sołżenicynem świadczy, jak trudno jest znaleźć dorzeczną ideologię. 31 maja *Literaturnaja gazeta* ogłosiła „list otwarty do wielkiego pisarza rosyjskiego” pt. „Sołżenicyn milczy...” 7 czerwca pisarz odpowiedział: „A które czasy nie są straszne?”

Olga Czajkowska, która w latach 60-tych zastępnęła artykułami o okrucieństwie sądownictwa sowieckiego, zarzuciła Sołżenicynowi milczenie w strasznych czasach zbrodniczej wojny przeciw narodowi czeczeńskiemu. Olga Czajkowska nie ma wątpliwości, że wojna w Czeczenii godzi w konstytucję rosyjską i w podstawy państwa rosyjskiego; nie tylko giną ludzie, ale wpaja się młodziemu nieludzkie okrucieństwo, łamie się dusze żołnierzy rosyjskich, młodych chłopców, którzy po powrocie „zaczynają aktywnie przebudowywać Rosję”. Autorka listu kończy go tak: „Sołżenicyn, autor książki wielkiego gniewu i wielkiej rozpacz, który nie dostrzega, że Gułag się odradza, nie chce powiedzieć słowa przeciwko tej wojnie? Takiego stanowiska Rosja się nie spodziewała”. Aleksander zaczyna odpowiedź od wyrazów zdziwienia, że Olga Czajkowska posłała list do *Głosu Ameryki*, potem do *Literaturnoj gazety*, ale nie posłała jemu. O meritum sprawy autor „Archipelagu GUŁAG” ma do powiedzenia tyle: „Wobec Czeczenii sumienie mam czyste”. W „Archipelagu” pisał o czeczeńskim umiłowaniu wolności, 11 stycznia 1995 udzielił wywiadu pismu *Argumenty i fakty*, w którym powiedział, że podjęcie działań wojennych przeciw Czeczenii było wielkim błędem politycznym („straszne, że te działania wojenne rozpoczęto, tego nie należało robić w żadnym przypadku”). Sołżenicyn dodał: „Winni są wszyscy – otoczenie prezydenckie, wszystkie rządy (od tego czasu), wszystkie nasze organy ustawodawcze, prasa i społeczeństwo”. Aleksander Sołżenicyn przypomina, że zanim zaczęła się wojna, stosunek do Dudajewa był przez trzy lata chwiejny i nikt nie potępił gwałtów, jakich dopuszczali się Czeczeńcy.

Pisarz uważa, że wysuwanie na pierwszy plan Czeczenii i przedwyborczej „trzęsawki” (rok przed wyborami...) jest spr-

wą ludzi, którzy nie chcą, by Rosja była silna, a państwo okrzepło. Przecież i inne „śmiercionośne konwulsje” wstrząsają ciałem Rosji. Aleksander Sołżenicyn wylicza „konwulsje”: katastrofa demograficzna – „co roku naród nasz odnotowuje milion czystego ubytku”; 25 milionów „naszych współczesnych... jest odciętych od ojczyzny i w nowych państwach źle traktowanych w życiu, pracy, języku, wykształceniu”; co roku z rosyjskiego dochodu narodowego rozkrada się 20-25 miliardów dolarów, które znikają za granicą, „nie licząc tego, co rozkrada w kraju... nowa klasa rozpasanych, łajdakich bogaczy, którzy wzbogacili się wyłącznie na kradzieżach, a nie dzięki produkcji”, i ostry kryzys szkolnictwa.

Na wszystkie te nieszczęścia jest lekarstwo: „prawdziwy narodowy samorząd, ustrój państwowo-ziemski... jedyna realna droga, by naród wziął w ręce swój los, nie oddając go ani... cwaniakom ani obecnemu błędnemu systemowi wyborów i rachitycznej parodii parlamentaryzmu”.

Aleksander Sołżenicyn wyraźnie nie chce mówić o okrucieństwach żołnierzy rosyjskich w Czeczenii. Nie chce rzucić cienia na wojsko rosyjskie. Autor „Archipelagu GUŁAG” pomija milczeniem wpajanie okrucieństwa i bezprawie zarówno uczestników tej wojny jak i Rosjan na tyłach, czyli tych wszystkich, którzy powinni – zdaniem pisarza – zająć się „prawdziwymi” wyborami ziemstw.

Dialog na stronicach *Literaturnoj gazety* jest kolejnym dowodem zagubienia narodu rosyjskiego, który potrzebuje „ojca duchowego” i nie wie, gdzie go szukać.

13.6.95

Adam KRUCZEK



## Pierwszy rok odnowy przy Kuczmie

Ten człowiek z zatroskaną stale miną ma jakby wypisane na twarzy swoje *credo*: polityka na Ukrainie to nie przyjemność lecz straszny trud, codzienny kierat mozolnego wyciągania bogatego niegdyś a w ciągu trzech ćwierci stulecia kompletnie przez bolszewików zdewastowanego, moralnie zniszczonego kraju. Leonid Kuczma jest nawet na pierwszy rzut oka antytezą swego poprzednika, lekko pyzatego, zawsze uśmiechniętego i jak najbardziej z siebie zadowolonego, Leonida Krawczuka. Oprócz imienia nie mają niczego wspólnego. Kuczma był inżynierem, poruszał się stale w świecie cyfr, materiałów konstrukcyjnych, musiał zawsze wykonywać konkretne zadanie i za nie odpowiadać. Wytworzyło to u niego poczucie realiów, pragmatyzm i niechęć do jakiegokolwiek fantastyki. Taki wybujały technokratyzm pozbawia jego wyznawcę potrzebnej niekiedy szczypty fantazji dla rozbudzenia wizji przyszłości i entuzjazmu. „Ale mamy to co mamy” – zwykł był dawniej mawiać poprzedni prezydent Krawczuk. I chociaż gdzieś kiedyś liznął trochę nauki ekonomicznej, oczywiście w wypaczonej formie „dojrzałego socjalizmu”, nigdy w tej dziedzinie nie pracował, bo aparat partyjny skierował go na tory ideologiczne, gdzie niewiele można było zepsuć, ale równie mało zbudować. Krawczuk nauczył się ładnie mówić, okrągłymi eleganckimi zdaniem, gotowymi do druku. To krasomówstwo łączyło go z wielu pisarzami i poetami, którzy wraz z nim tworzyli zręby nowej państwowości opartej na wiecowaniu i euforii. Ale jako człowiek stałych kompromisów i tolerancji Leonid Krawczuk zanim odszedł wraz z literatami od steru państwem położył fundamenty pod dzisiejszą najbardziej chyba w Europie liberalną politykę mniejszościową. Zaniedbał natomiast zupełnie reformy polityczne i ekonomiczne, pozwolił na separatyzm szowinistów rosyjskich na Krymie i zaprzepaścił szansę na wygodne dla Ukrainy rozwiązanie kwestii Floty

Czarnomorskiej. Ówczesny minister obrony, generał Morozow żądał od Krawczuka stanowczej polityki – bez skutku. W następstwie konfliktu Morozow przegrał i musiał opuścić stanowisko. Z czasem presja admiralicji rosyjskiej na Borysa Jelcyna stała się coraz bardziej widoczna. A Gorbaczow w swych wspomnieniach, ogłoszonych najpierw w niemieckim przekładzie w Berlinie psioczy na Krawczuka obarczając go główną winą o pogrzebanie Związku Sowieckiego. Krawczuk natomiast w nie opublikowanych jeszcze w całości zapiskach o niedawnej przeszłości wytyka Michaiłowi, że nie miał konkretnej koncepcji w sprawie uregulowania współżycia pomiędzy dążącymi do niezawisłości republikami. Dziś Leonid Krawczuk przebolewał utratę najwyższego stanowiska w państwie i w ostatniej z wielu serii wyborów uzupełniających zdobył mandat poselski. W parlamencie chodzi zwykle samotnie, wygłasza od czasu do czasu przemówienia, których celem jest wybielanie swoich błędów. Założył też pozaparlamentarne zjednoczenie „Porozumienie”, które miałoby się rozwinąć w polityczne stronnictwo, widoki na to są jednak słabe. Szczególnie lubi przyjeżdżać do Lwowa, który po odejściu gwiazd politycznych do stołecznego Kijowa bardzo się sprowincjalizował i z wdzięcznością gości w swych murach nawet przegrane wielkości wczorajszego dnia...

A tymczasem nowy prezydent zakasał rękawy i robi co może, aby wyprowadzić kraj z wszechstronnego kryzysu. Zagania moich tradycyjnie leniwych rodaków do galopu, dając im codziennie lekcję pogładową, co to jest intensywna praca. Czasami nie chce się wierzyć ile w tym niepozornie prezentującym się człowieku tkwi twórczej energii. Zetknąłem się z tym niejednokrotnie. W listopadzie zeszłego roku podczas wizyty w Waszyngtonie gość z dalekiej Ukrainy pędził swoich i amerykańskich ministrów do roboty w takim tempie, że nawet autentycznym jankesom dech zapierało. Clintonowi taka krzepa i szybkość bardzo się spodobały. W każdym razie pod wpływem Kuczmy zmienił w dużym stopniu dawną jednostronność w polityce wschodniej dającej absolutny priorytet Moskwie.

Wynikiem tej zmiany było podpisanie tak zasadniczego dokumentu, jakim jest dla rozwoju stosunków amerykańsko-ukraińskich Karta o Współpracy, Przyjaźni i Partnerstwie.



Przesłanką niejako do tego nowego rozdziału na linii Kijów-Waszyngton było zwycięstwo Kuczmy w parlamencie ukraińskim w sprawie rezygnacji z broni atomowej. Kontynuacją i rozbudową tych partnerskich stosunków była wizyta Clintona na początku maja 1995 w Kijowie. Żywiłowe manifestacje przyjaźni z Ameryką na ulicach stolicy kontrastujące z chłodną atmosferą w Moskwie sprawiły, że prezydent USA aż się zachłystywał w duserach dla Ukrainy i Ukraińców. Ale ważniejsze było to, że uchwalono dalszy szeroki program współpracy, zwłaszcza w dziedzinie stypendiów dla studentów i młodych naukowców ukraińskich, kooperację przemysłów raketowo-kosmicznych, kooperację wojskową. Pierwszym następstwem tego zbliżenia były manewry oddziałów amerykańskich i ukraińskich na poligonie w Jaworowie pod Lwowem. Po nich nastąpią ćwiczenia marynarki wojennej na wodach amerykańskich, a następnie manewry okrętów i piechoty morskiej obydwu armii na Morzu Czarnym.

Dzieło dokonane na polu amerykańskim jest niewątpliwie najważniejszym sukcesem Kuczmy w dziedzinie polityki zagranicznej. Wyprowadził on ją zresztą ze sfery pokazowo-traktatowej na drogę praktycznych kroków. Byłem często świadkiem międzynarodowych spotkań, gdzie Kuczma nieustrudzenie angażował się w zewnętrzne umacnianie państwowości Ukrainy. Celom tym przyświecała przede wszystkim na początku grudnia ubiegłego roku konferencja o bezpieczeństwie europejskim w Budapeszcie. Dla Kijowa była ona szczególnie ważna, gdyż tam zostały podpisane umowy gwarancyjne w kwestii nietykalności terytorium państwa ukraińskiego ze strony mocarstw nuklearnych: Stanów Zjednoczonych, Rosji i Wielkiej Brytanii. Deklaracje podobnej treści złożyły w tym samym dniu Chiny i Francja. Potem przyszła seria wyjazdów do Tokio, Pragi, Rzymu i stolic państw nadbałtyckich. Najprzyjemniejszą i najbardziej ludzką była wizyta Kuczmy w Pradze czeskiej. Vaclav Havel przypomniał obecnym przy podpisywaniu układów czesko-ukraińskich o wielkiej tradycji przyjaźni w okresie Tomasza Masaryka. Istotnie wtedy Czesi wykazali ogromną wspańiałość wobec kontaktów ukraińskich, po przegranych wojnach z Rosją i Polską, ukraińskich partii politycznych, uniwersytetów i rozmaitych instytucji naukowo-społecznych. Praga w

dwudziestoleciu międzywojennym była drugą stolicą Ukrainy. Doszły do tego repertuaru dynamiki w polityce zagranicznej wizyty w Brukseli, a mianowicie podpisanie umów kooperacyjnych z Unią Europejską i NATO. Niejako zakończeniem bilansu pierwszego roku działalności prezydenta Kuczmy było podpisanie 9 czerwca w Soczi z Borysem Jelcynem ramowego układu regulującego ostatecznie spór o podział Floty Czarnomorskiej. Jest w tej umowie jeszcze wiele spraw wymagających sprecyzowania, jak na przykład podziału baz, statusu prawnego marynarki rosyjskiej na terytorium Ukrainy, wysokości opłat za wydzierżawienie portów w Sewastopolu. Ustaleniem tych jakże ważnych szczegółów mają się zająć mieszane komisje rosyjsko-ukraińskie. Ważny jest jednak fakt, że obydwaj prezydenci znaleźli jakieś wyjście z dotychczasowych impasów. Otwiera to zielone światło dla wielokrotnie odkładanego podpisania układu międzypaństwowego pomiędzy Rosją i Ukrainą, który przypieczętuje istnienie obok siebie dwóch państw suwerennych. Natomiast podróż Kuczmy do Niemiec nie miała przełomowego znaczenia. Niemcy dzisiejsze są zainteresowane Rosją i Polską, a Ukrainę traktują per nogam. Skądinąd trzeba się cieszyć, że Niemcy już nie podjudzają Ukraińców przeciwko Polakom a Ukraińcy nie szukają niemieckiej pomocy przeciwko Polsce. Dziś mógłby powstać trójkąt współpracy niemiecko-polsko-ukraińskiej, który z rozmaitych względów byłby może bardziej realny niż wymarzony w Warszawie trójkąt Francja-Niemcy-Polska. Zresztą pierwsza inicjatywa w tym kierunku już się rozpoczęła podczas potrójnej konferencji w Rzeszowie.

Abstrahując od takich i podobnych nieformalnych spotkań, w stosunkach polsko-ukraińskich nic się nie zmieniło. Zmiana na stanowisku ministra spraw zagranicznych w Warszawie nie wniosła nowych elementów dynamiki. Powiedziałbym nawet, że sytuacja się pogorszyła, bo poprzednik Władysława Bartoszewskiego wykazał w tej materii szerszą koncepcję. Andrzej Olechowski niejednokrotnie wyrażał się publicznie o historycznej szansie dla współpracy między Polską a Ukrainą i mimo utraty zainteresowania ze strony prezydenta Lecha Wałęsy i nowej większości w Sejmie usiłował tej idei nadać kształt konkretny. Obecnie wydaje się, że koncept polskiej polityki zagranicznej mieści się w trójkącie



niemiecko-brukselsko-amerykańskim, przy jednoczesnej maksymalnej ostrożności wobec Rosji. W takim układzie sił oprócz sporadycznych i zdawkowych zapewnień retorycznych trudno się doszukać miejsca dla zdynamizowania spoczywających w lodówce stosunków z Kijowem. Ukrainie nie pozostaje nic innego jak skupiać się jeszcze bardziej niż dotychczas na zacieśnianiu współpracy z Węgrami, Czechami i Słowacją, co zresztą było przedmiotem podróży Kuczmy do Pragi, wizyty węgierskiego premiera Horna, a ostatnio jego słowackiego kolegi Meciara na Ukrainie.

*Bohdan OSADCZUK*

---

**MARC S. FRANCISZKOWSKI**  
**LETTRES SLAVES**  
 LIBRAIRIE – EDITIONS

**18, rue Brillat Savarin. F. 75013 PARIS**

**Tel. 45-81-52-52 FAX 45-81-27-24**

**Prowadzę kupno i sprzedaż książek dawnych i nowych, rzadkich i wyczerpanych oraz rycin, map, rysunków dotyczących Polski i krajów słowiańskich w językach oryginalnych i tłumaczeniach.**

**Prowadzę działalność księgarską i antykwaryczną na miejscu i drogą pocztową**

**Na życzenie wysyłamy katalogi**

---

## **Notatki Redaktora**

Pierwszym zarządzeniem prezydenta Francji, Jacques Chiraca, było drastyczne ograniczenie wydatków reprezentacyjnych swoich i rządu. Dał przykład jadąc do Stanów Zjednoczonych i Kanady zwykłym samolotem rejsowym w otoczeniu bardzo szczupłego grona ministrów i ekspertów. Może ten przykład będzie wzorem dla naszych decydentów. Już szereg razy bezskutecznie to poruszałem. Mało tego, wydatki reprezentacyjne ciągle rosną. Inflacja reprezentacyjnych wizyt prezydenta w świecie, których liczba powinna znaleźć miejsce w księdze rekordów Guinnessa. Są one nie tylko niepotrzebne i kosztowne, ale często szkodliwe czy ośmieszające. Inflacja obchodów rocznicowych robionych jedynie dla dygnitarzy, bo nie ma w nich miejsca dla prawdziwych jubilatów, lekceważenie społeczeństwa przez organizowanie np. masowych, wielogodzinnych uroczystości na Placu Piłsudskiego, które paraliżują życie w mieście. (W czasie Drugiej Rzeczypospolitej podobne uroczystości odbywały się na Polu Mokotowskim).

Niewątpliwie, ludzie sprawujący władzę powinni być wystarczająco wynagradzani, by nie mieć kłopotów materialnych czy szukać dodatkowych dochodów, np. w radach nadzorczych, itp., co daje jedynie żer plotkom i pomówieniom. Należy jednak wreszcie skończyć z różnymi przywilejami, mieszkaniem, ogromną liczbą ośrodków wypoczynkowych, nawet za granicą, specjalnymi lecznicami, etc. Ta mania reprezentowania, pokazywania pawiego ogona niepokojąco się rozpowszechnia. Dostaję dość często listy od prezydentów instytucji społecznych czy naukowych, bibliotek, w sprawach przeważnie błahych, ale na czerpanym papierze, w



specjalnych teczkach czy kopertach, jakich w cywilizowanym świecie używa się do spraw specjalnie ważnych czy uroczystych.

Reforma Ministerstwa Spraw Zagranicznych winna polegać na znacznym podniesieniu poborów i zapewnieniu mieszkań urzędnikom. Dziś sytuacja przedstawia się w ten sposób, że osoby wykwalifikowane, od sekretarek począwszy, wolą przejść do przedsiębiorstw prywatnych, które płacą wielokrotnie lepiej.

Sprawa kształcenia nowych kadr (przykładem dobra działalność przedwojennego MSZ na tym odcinku) i ustalenia polityki awansów. Pozwoli to w przyszłości w sposób racjonalny obsadzać placówki. Dziś, w przeważającej liczbie wypadków, po przepiśowym czteroletnim pobycie na placówce, ustępujący wracają do swych poprzednich zajęć (uniwersytety, publicystyka, etc.), nie zatrzymując się w centrali. W doborze personelu decydujące znaczenie powinny odgrywać kwalifikacje a nie względy partyjne, co ma ostatnio miejsce. Polityką zagraniczną kieruje prezydent i rząd za pośrednictwem ministra, co jest nagminnie nie przestrzegane. Jest niedopuszczalne by każdy decydent występował za granicą w sposób nieskoordynowany z ministrem. Należy drastycznie ograniczyć rozjazdy posłów i senatorów, które często mają charakter turystyczny, nie mówiąc już, że znajomość języków obcych jest minimalna. Działalność wyjeżdżających musi być uzgadniana z placówkami MSZ, które nie są konsultowane albo służą jedynie do zapewnienia samochodów, mieszkań, przyjęć, etc., co jest ogromnym obciążeniem zarówno w ich pracy jak i finansowym. Sprawa biur radców handlowych wymaga też uporządkowania. Często są one niepotrzebnym obciążeniem.

Mimo ciągłych alarmów nadal trwa rabunkowe wycinanie Puszczy Białowieskiej. Nie brak różnych oświadczeń, że uznanie całej puszczy za park narodowy grozi bezrobociem, że na to nie ma pieniędzy, etc. Jest to oczywiste kłamstwo

świadczące jedynie o braku kompetencji czynników kierujących polityką leśną, ich rutyniarstwie i braku wyobraźni w szukaniu rozwiązań. Trzeba pamiętać, że zniszczenie Puszczy Białowieskiej jest *procesem nieodwracalnym*. By temu zapobiec i stworzyć jedyny tego rodzaju park narodowy w Europie, trzeba zmienić kierownictwo i obsadzić fachowcami bez względu na ich przynależność partyjną, i znaleźć pieniądze choćby przez rozpisanie wielkiej daniny narodowej.

Trzeba się zastanowić, czy nie należałoby wycofać polskiego oddziału *Casques Bleus* z byłej Jugosławii. Pomińjąc, że Polacy nie najlepiej tam się spisują, to sama rola *Casques Bleus* zaczyna wyglądać na groteskę. Nie ma żadnego powodu, byśmy angażowali się w ten konflikt, tym bardziej że z dawną Jugosławią łączyło nas dużo więzów przede wszystkim na odcinku kulturalnym, a okrucieństwa Serbów bośniackich nie są wiele większe od okrucieństw bośniackich muzułmanów. Powinniśmy więc ograniczyć się do pomocy humanitarnej dla *wszystkich* ofiar na tym terenie i walczyć o przestrzeganie praw człowieka.

Ostatnie wystąpienie ks. prałata Jankowskiego nabrało ogromnego rezonansu w opinii światowej. Sprawa jest o tyle groźna, że wybryki ks. Jankowskiego nie spotkały się z wyraźnym potępieniem hierarchii, która ograniczyła się tylko do ogólnikowej krytyki, a prezydent Wałęsa, który słuchał tego kazania, zareagował z ogromnym opóźnieniem, zapewne z obawy, że to się może odbić na jego spotkaniu z prez. Clintonem. Jeśli w stosunku do ks. Jankowskiego nie będą zastosowane konkretne sankcje, będzie to woda na młyn polskiej skrajnej reakcji. Ponieważ szereg organizacji żydowskich grozi procesem, łatwo będzie zrobić z ks. Jankowskiego męczennika i to wszystko może się skończyć nową sprawą Bejlisa. Afera ta może być wykorzystana w akcji wyborczej przez niektórych kandydatów na stanowisko prezydenta. Jakże to wszystko zaszkodzi sprawie polskiej na świecie!



W Kościele polskim dzieje się coraz gorzej. Pewna część hierarchii dąży do stworzenia z Polski kraju wyznaniowego. Coraz bardziej ingerując w życie polityczne Kościół jednocześnie stwarza wrażenie, że jest obłożoną twierdzą i że jest dyskryminowany, co nawet znajduje echa w wystąpieniu Papieża. Zapomina się o tym, że Kościół korzysta z rosnącej ilości przywilejów: dysponuje ogromną prasą, stacjami radiowymi, mówi się o telewizji; jednocześnie przeprowadza rewindykacje dóbr kościelnych nie ograniczając się do konfiskat dokonanych w okresie PRL-u, ale nawet zgłaszając pretensje do obiektów, które stracił przed kilku wiekami, jak to ma miejsce w Gdańsku i w Krakowie. W szkołach wprowadzono lekcje religii z katechetami opłacanymi przez państwo, tworzy się stanowiska kapelanów nawet w kolejniectwie. Kościół rozwija ogromną aktywność na terenie wojska, praktycznie zajmując funkcje dawnego zarządu politycznego. Niektórzy proboszczowie korzystając z bezcłowego przyjmowania darów humanitarnych robią na tym tle spekulacje czarnorynkowe, a jednocześnie podkreśla się, że Kościół jest ubogi. Tymczasem dowiadujemy się z prasy, że we wsi Licheń Stary pod Koninem buduje się kościół, który ma być większy od katedry w Paryżu i Mediolanie. To rzeczywiście przypomina budowę bazyliki na Wybrzeżu Kości Słoniowej, która miała być kopią Bazyliki św. Piotra w Rzymie. Na ten pomysł wpadł dyktator jednego z najbiedniejszych kraików w Afryce. Ma się rozumieć, że nie należy generalizować, wypadki nadużyć to wypadki pojedyncze, ale, niestety, nie spotykają się one z wyraźnym potępieniem i sankcjami. Po śmierci kardynała Wyszyńskiego zabrakło niekwestionowanego autorytetu, którego nie ma również nuncjusz przez sam fakt, że jest Polakiem, a nie cudzoziemcem. Wszystko to powoduje, że Watykan jest źle informowany i pobiera niewłaściwe decyzje, jak np. przyłączenie archidiecezji przemyskiej do warszawskiej. Dopiero później, po zreflektowaniu się, Watykan podporządkował ją bezpośrednio sobie. Miejmy nadzieję, że jest to kryzys przejściowy. Rola Kościoła w społeczeństwie zdemoralizowanym latami okupacji i PRL-u jest nie do zastąpienia. Wymaga to jednak jego modernizacji, dostosowania się do przemian jakie nastąpiły w świecie i nowych ludzi. Na

szczęście jest coraz więcej młodych księży rozumiejących te sprawy i może z nich wyrośnie zmiana warty.

Niedawno odbyła się w Sejmie dyskusja nad *exposé* ministra spraw zagranicznych, Władysława Bartoszewskiego. Krytyka była żywa i w dużej części słuszna, specjalnie jeśli idzie o sprawy wschodnie. Sądzę, że w ciągu czterech tygodni minister mógł się zorientować, że – jeśli idzie o sprawy rosyjskie – to nie wystarcza mianować doradcę przy premierze, ale trzeba zacząć przede wszystkim od zmiany ambasadora, nawiązania kontaktu i współpracy z inteligencją rosyjską, gdzie mamy dużo przyjaciół. Sprawą wielkiej wagi jest rozwinięcie współpracy na polu kulturalnym i naukowym, stworzenie swoistego „polskiego lobby”. Tak samo jeśli idzie o sprawy ukraińskie. Niestety zarzuty p. Suchockiej w dużej mierze były uzasadnione, tej współpracy nie widać. Nic nie zrobiono by mógł powstać Instytut Polski w Kijowie, by sporne kwestie zostały w końcu załatwione, jak np. rewindykacja polskich zabytków, które niszczą, odszkodowania za operację „Wisła”, a jeżeli idzie o zagadnienia gospodarcze to przynajmniej można było informować Ukrainę o naszych pertraktacjach z Rosją o budowie gazociągu, czego nie zrobiono, a przecież to była sprawa niezmiernie żywotna dla Ukrainy.

Osobiście w wystąpieniu ministra bardzo mnie zabolowało zaatakowanie naszego wspólnego przyjaciela Bohdana Osadcuka. Może to było tylko niezręcznością, ale wygląda na insynuację. Powołując się na ministra Udowenkę, który dyplomatycznie z nim się solidaryzował w krytyce Osadcuka, min. Bartoszewski powiedział: „Być może nie bardzo chciał, żeby czynniki z Berlina Zachodniego mieszały się w jego działania i współdziałanie ze mną, nie wiem...” – Bohdana Osadcuka znam od kilkudziesięciu lat i z nim współpracuję. Uważam go za wielkiego patriotę ukraińskiego i wielkiego przyjaciela Polski. W swej pracy w Niemczech współpracował z prasą szwajcarską (*Neue Züricher Zeitung*) i z radiostacjami zachodnimi, nigdy nic go nie łączyło z polityką niemiecką. To nie wypadło ładnie, Panie Ministrze.



Ostatnio dosyć często pojawiają się głosy o upadku poczytności *Kultury*. Spowodowane to zostało m.in. niezbyt szczęśliwymi sformułowaniami p.Berberysz w jej ostatniej książce „Książę z Maisons Laffitte”.

Sprawa przedstawia się następująco. Niewątpliwie na Zachodzie liczba prenumeratorów *Kultury* katastrofalnie spadła na skutek zalewu prasą i książkami krajowymi, które dla czytelnika polskiego na Zachodzie są niezmiernie tanie. Obecnie na emigracji sprzedaż *Kultury* wynosi ponad 3 tysiące egzemplarzy, co ostatecznie nie jest tak źle. Jeżeli idzie o kraj, już od dłuższego czasu ukazuje się krajowe wydanie *Kultury* i *Zeszytów Historycznych*. Kolejne numery ukazują się z parotygodniowym opóźnieniem, co przy miesięczniku nie jest nieszczęściem. Nakład krajowy wynosi ok. 3 tys. egzemplarzy, w tym ponad tysiąc rozchodzi się w prenumeracie a reszta w sprzedaży. Niestety, kolportaż w Polsce bardzo źle funkcjonuje i praktycznie *Kultura* jest do dostania tylko w większych miastach. Jedynym rozwiązaniem jest rozszerzenie prenumeraty pisma. Numer *Kultury* kosztuje 5,90 zł, prenumerata roczna wynosi 45 zł, prenumerata półroczna 24 zł. Dodatkowym plusem prenumeraty jest to, że kolejne numery dostarczane są do domu, a więc odpada czasami mozolne poszukiwanie pisma w księgarniach.

#### REDAKTOR

## Książki

### Daleko od Moskwy, daleko od Rosji

W jednym z przeglądów sowieckiej prasy literackiej, które przez trzydzieści lat z górą zamieszczałem w *Twórczości*, zdarzyło mi się – już pod koniec lat osiemdziesiątych – nazwać artykuł prof. Tatiany Zasławskiej o kondycji społecznej człowieka sowieckiego najciekawszym utworem miesiąca. Nie był to żart ani paradoks. Po prostu Tatiana Zasławska rzeczowo wypowiedziała się na temat kilku problemów, które wypadły z pola widzenia zawodowych pisarzy.

Widocznie istnieje już całkiem realnie próg niezbędnego zasobu wiadomości o społeczeństwie, poniżej którego i literatura i nauka tracą sens. Literatura sowiecka lat sławnej „pieriestrojki”, z bardzo rzadkimi wyjątkami, progu tego przekroczyć nie zdołała. Współczesna literatura rosyjska również owej bariery nie przekroczyła, a nawet nie bardzo się starała ją przekroczyć. To samo da się, niestety, powiedzieć i o naszej literaturze. Oniryczne wygibasy i produkowane taśmowo pseudoawangardowe cudenka, po których nie pozostanie nawet smrodka, dowodzą jedynie pośrednio, że na przestrzeni wieków prawdziwą awangardą był zawsze tylko talent. A talent lubi konkret.

Myślę, że dałem się czytelnikom porządnie we znaki, powtarzając z roku na rok, aż do znudzenia, że główną przyczyną niedorozwoju całej literatury sowieckiej, a rosyjskiej w szczególności, jest skąpy zapas wiadomości o własnym kraju. Równie często podkreślałem ogólnie znany fakt, że Rosja zawdzięcza swój wspaniały wiek XIX w sztuce doskonałemu „bankowi informacyjnemu”, ówczesnej żurnalistyce, która z



takim zapałem torowała drogę literaturze reportażem naukowo-społecznym, zwanym podówczas „szkicem fizjologicznym”. Jeszcze w naszym stuleciu, w latach dwudziestych, nawet w najodważniejszych eksperymentach artystycznych awangardy (jakże utalentowanej) można z łatwością dostrzec rolę i znaczenie niezastąpionego „fundamentu klasycznego”.

Przyglądając się dzisiejszej literaturze rosyjskiej, mimo woli wracamy do czasów „odwilży”, kiedy to w znacznie trudniejszych warunkach powstawały znacznie lepsze dzieła. Młode pokolenie śmiało wyruszyło na „zwiad” socjologiczny, wykreślając w szybkim tempie białe plamy z mapy swojego kraju. „Prozaiczność” tej prozy wcale nie obniżała jej walorów artystycznych, do dziś chętnie sięga po nią czytelnik. Przypomnijmy sobie dla przykładu kilka tytułów: „Siedmioro w jednym domu” Siomina, „Katastrofa” Władimowa, „Pół drogi do księżycy” Aksionowa czy „Dźwignie” Jaszyna – zapisywano się na nie w kolejce w bibliotekach. A piosenki Okudźawy, powielane prywatnie w milionach egzemplarzy na taśmach magnetofonowych?

Ten kierunek, któremu patronował cień Gleba Uspieńskiego, zaczął się jednak rozpyływać. Dlaczego literatura rosyjska wyrzekła się tak szybko tego, co stanowiło jej siłę i zapewniało światowy rozgłos, do dziś nie jest dla mnie całkowicie jasne. Cenzura i kolejne recydywy zamordyzmu wszystkiego nie tłumaczy. Przypuszczam, że najbliższy prawdy jest niezapomniany Jurij Trifonow, który w swoim „Bilansie wstępnym”, książce znienawidzonej w moskiewskich salonach i salonikach literackich, opisuje generalną ofensywę potężnej fali nowej kołtunerii sowieckiej. To właśnie owe „wykształcenstwo”, produkt epoki, które w czasach odwilży liźnęło trochę literatury zachodniej i filozofii, dowiedziało się, że cybernetyka jest przyszłością świata i że ikony można nieźle spieniężyć za granicą, to właśnie ono postawiło zdecydowanie na metafizykę użytkową, wypierając z literatury konkret. Przypomniano sobie również o religii pojmowanej równie po kołtuńsku. Pisarze przestali wyjeżdżać w teren, wygodniejsze stały się podróże kolejką wąskotorową od przystanku „Bogoiskatielstwo” do przystanku „Bogostroitielstwo”. Pojawiła się też na rynku literackim słynna „dusza rosyjska”, zbawcza proteza a zarazem uniwersalny klucz do poznania wszelkich problemów

trapiących społeczeństwo i jednostkę.

Znany prozaik rosyjski Wiktor Astafjew rozwiązał zagadkę sławetnej duszy w swojej głośnie opowieści „Smutny detektyw”. Jej bohater, lejtenant milicji sięga do swojej podręcznej biblioteczki po Nietzschego (ciekawe, skąd go wytrzasnął na głębokiej prowincji, i to po rosyjsku), a po lekturze i głębokim namyśle stwierdza, że przyczyną kłopotów jest nadmiar dobroci, w którą wyposażyla duszę Rosjanina Opatrzność. Owa niezmierna dobroć jest tak potężna, że wytwarza, niejako dialektycznie i automatycznie, przeciwny biegun zła. Jest on słabszy od bieguna plusowego, ale istnieje i od czasu do czasu nieuchronnie dochodzi do głosu. Już widzę oczyma duszy jak wyposażony w oba bieguny milicjant 9 razy przeprowadza troskliwie staruszkę przez ulicę, żeby za dziesiątym nieміłosiernie ją spałować.

Im głębiej, tym bliżej dna. Od „rosyjskiej duszy” tylko krok do rosyjskiego Ciemnogrodu. Oto znany pisarz (tenże Astafjew) dowodzi, że wszystkie nieszczęścia, jakie spadły na Żydów w XX wieku, to kara boża za zgładzenie Mikołaja II (biedaka, nota bene, zamordował wielonarodowy kolektyw). Jeszcze bardziej znany pisarz (Sołżenicyn) w swoim głośnym elaboracie poświęconym przeszłości i przyszłości stwierdza kategorycznie, że język ukraiński w ogóle nigdy nie istniał. Był tylko żargon sfabrykowany przez księży i austriackich urzędników. Wynika z tego, że niejaki Taras Szewczenko czy też niejaka Łesia Ukrainka pisali w żargonie. A przecież autor „Gułagu” musiał spotkać w łagrze Ukraińców, którzy trafili tam za walkę o prawo do własnego bytu narodowego i własnego języka. Jeżeli ich tam nie spotkał, niech się pofatyguje do Kijowa i obejrzy jedyny na świecie cmentarz pionowy. To fronton budynku mieszkalnego, Domu Pisarza, z wmurowanymi tablicami pamiątkowymi ku czci twórców, których daty zgonu przypadają w większości na pamiętne lata trzydzieste. Widnieją na nich co prawda napisy w ukraińskim żargonie, ale przypuszczam, że pisarz zdoła je odcyfrować. Nie tylko tekst, ale i sens. Mniejsza zresztą o Sołżenicyna. Kto chce, niech mu ten „żargon” wybaczysz. Ja nie.

Wróćmy jednak do literatury rosyjskiej lat ostatnich, z którą moje bliskie niegdyś kontakty urwały się w „prote-



tycznym” okresie jej nowożytnych dziejów. Ostatnim razem byłem tam w 1987 roku, przywożąc z Moskwy psa Daszę, która usiadła mi na bucie na przystanku trolejbusowym, a zostawiając w zamian odpowiedź na międzynarodową ankietę *Drużby Narodów*. Pytano mnie co sądzę o nowych poszukiwaniach literatury sowieckiej. Odpowiedziałem, że są to poszukiwania pulsu w protezie. Jak uczy doświadczenie – bezskuteczne. Od tamtego czasu zdrowie nie pozwalało mi na wyjazdy. Próbuje przyglądać się temu, co tam się dzieje, z daleka. Kusi mnie bardzo wyprawa na rosyjską prowincję.

Kontakty literackie polsko-rosyjskie urwały się niemal całkowicie. Ograniczają się obecnie do przypadkowych spotkań z okazji nagród literackich, przyznawanych czasami Rosjanom, rocznic, których się nie da pominąć oraz do przyjazdów i wyjazdów nielicznych stypendystów. Zlikwidowano najbardziej pożyteczną i najmniej kosztowną formę kontaktów – wymianę między pismami literackimi. Nasza *Twórczość* odcięto w ten sposób od redakcji *Nowego Mira* i *Drużby Narodów*, z którymi łączyły nas więzy koleżeńskej współpracy. Rosyjskiej prasy literackiej trzeba długo szukać po księgarniach i po bibliotekach, jej ceny wzrosły astronomicznie. Koszt prenumeraty pism, które potrzebne mi były do przeglądu, przekroczyłyby dziś moje roczne zarobki redakcyjne. Niełatwo programy literackie nadawała rosyjska TV, ale przestała.

W tej paskudnej sytuacji z ciekawością i nadzieją zabrałem się do lektury rosyjskiego numeru *Literatury na świecie* (7-8/1994). Przygotowali go do druku Jerzy Czech i Adam Pomorski. Są to moi starzy znajomi, a ponadto często zapraszam ich do współpracy na łamach *Twórczości*, niejeden pomysł zrealizowaliśmy wspólnie. Mam zatem nadzieję, że bez obrazy przyjmą moje dość krytyczne, niestety, uwagi.

Otóż, krótko mówiąc, udało się wydać numer rosyjski *Literatury na świecie*, za co słowa uznania należą się redaktorowi naczelnemu pisma, panu Piotrowi Sommerowi, ale sam numer się nie udał. Panom Czechowi i Pomorskiemu wyraźnie stała na zawadzie niedostateczna znajomość fachu dziennikarskiego, a zwłaszcza praw i kanonów rządzących gatunkiem „numeru specjalnego”. Zdecydowana większość czytelników weźmie do rąk taki numer w przekonaniu, że

znajdzie tam panoramę współczesnej literatury rosyjskiej. Trzeba z góry założyć, że tak właśnie będzie. Nie ma na to rady. Tymczasem pismo przynosi bardziej przypadkowy niż różnorodny wybór, któremu nie przyświeca żaden szacowny pomysł na organizację materiału. Szczególnie razi brak owej nuty społecznej, o której pisałem na wstępie; która zawsze była siłą napędową literatury rosyjskiej, niezależnie od charakteru talentu twórcy i uprawianego gatunku. Być może, w obecnym stanie postępującego wymóżdżenia nasi redaktorzy mieli kłopoty ze znalezieniem jej w Moskwie. Trzeba było w takim razie pojechać na prowincję i tam starannie poszperać. A gdyby, w co wątpię, nie znaleźli nic godnego uwagi nawet na peryferiach peryferii, należało zająć się owym podstawowym dźwiękiem jako Drogim Nieobecny, wstawić go do numeru w charakterze punktu odniesienia, skali porównawczej. Może jednak warto było pilniej nadstawić ucha w Moskwie? Dlaczego w numerze nie zabrzmieli głośniejsi od prezentowanych autorów? Może Czech i Pomorski uważają ich za starsze pokolenie? Pozwolę sobie zauważyć, że ich wybrańcy też nie są oseskami. Redaktorzy przegapili lepszych i ciekawszych. Mam to im za złe i zapisuję na minus.

Oferowany czytelnikowi wybór świadczy także o tym, że redaktorzy nie najlepiej się orientują w rosyjskim dorobku literackim ostatniego ćwierćwiecza. Dotyczy to zwłaszcza satyry. Rzecz o tyle istotna, że sporą część numeru zajmują właśnie utwory o zabarwieniu satyrycznym. Należą do nich zarówno „Piękności życia” Jewgienija Popowa, „Trzydziesta miłość Mariny” Władimira Sorokina jak i wiersze gromady prześmiewców (Dmitrija Prigowa, Timura Kibirowa, Igora Irtieniewa i in.), których sporą porcję drukowaliśmy nie tak dawno w *Twórczości*, w przekładach Jerzego Czecha. Jest to dziedzina szczególnie mi bliska, ponieważ sam mam na sumieniu satyryczne grzeszki popełniane przez kilkanaście lat w STS-ie. Sęk w tym jednak, że o ile oddzielne publikacje nie wymagają specjalnego komentarza, o tyle w numerze specjalnym wypadłoby powiedzieć coś o bezpośrednich poprzednikach wspomnianej grupki. Mam na myśli arcyzdolną plejadę autorów z ostatniej strony dawnej *Litieraturnej gazety*, którzy dźwignęli humor rosyjski na szczyty literatury



światowej. Dzisiaj wypluwanie stalinizmu jest zajęciem łatwym, przyjemnym i bezpiecznym, może nawet trochę nudnawym. Przed ćwierćwieczem trzeba się było przy tym nieźle pogimnastykować. Nikt tak dokładnie i z takim talentem nie wykpił całego „Związunia” (tak w STS nazywaliśmy pieszczotliwie ZSSR) we wszystkich dziedzinach życia jak właśnie oni. A twórczość genialnego poety „osobisto-państwowego” Jewgienija Sazonowa, godnego następcy samego Koźmy Prutkowa, jak on kolektywnie powołanego do życia, toż to perełki doprawdy godne olimpijskich laurów. Oto jak Sazonow potrafił podsumować kilkadziesiąt lat historii inteligencji rosyjskiej. Rzecz nosi tytuł „Wesołe miasteczko”.

*Złapało mnie, chwyciło w pól  
I przetrąciło grzbiet ze zgrzytem.  
Potem powlokło głowę w dół,  
Gniotąc i w dółek waląc przytem.  
A w końcu pogardliwym kopem,  
Wystało w lot nad jakimś płotem,  
Pod którym teraz leżę, krzywiąc się niemiłe...  
I na to wszystko sam kupiłem bilet!*

Coś mi się zdaje, że Sorokinowi wysnucie takiego wniosku zajęłoby z 10 arkuszy druku.

A zatem – ukazanie autorów bez tła, bez rodowodu. Duży błąd.

Z tą pretensją łączy się pretensja trzecia – o brak gustu i smaku. Nie trzeba się specjalnie znać na literaturze, żeby „Trzydziestą miłość Mariny” Władimira Sorokina uznać za grafomanię najczystszej wody. Te tasiemcowe bajdurzenia o łechtaczkach (pani Gretkowska kazała się kłaniać!) zakończone równie tasiemcowymi drwinami z resocjalizacji kurewek przyprowadzają czytelnika o mdłości i o ziewanie zarazem. Grafomania i bujda na dobitkę. W opisywanych przez autora latach nagonki na dysydentów i licznych dobrowolnych i przymusowych wyjazdów znanych artystów za granicę władza nie interesowała się specjalnie mniejszościami seksualnymi, zwłaszcza lesbijkami, i nie gnębiła ich tak jak za czasów stalinowskich. Miała inne sprawy na głowie. Resocjalizacja

upadłych dziewcząt też zeszła z afisza na wiele lat przedtem. Ostatnim przeblyskiem tej wzniosłej idei była „Irkucka historia” Arbuzowa, w której puszczałska Wala-taniocha podciągnęła się moralnie pod wpływem kolektywu budującego słynną elektrownię. Arbuzow był zręcznym dramaturgiem, sztuka miała nawet powodzenie, Komsomoł zaś zaczął organizować zbiorowe wycieczki do Irkucka, gdzie biedna Wala, nieraz po kilka razy dziennie, musiała opowiadać rówieśnikom o swoim przełomie duchowym. Żaden organizm ludzki nie znieśie podobnych tortur. Nic dziwnego, że po niedługim czasie Wala stoczyła się ponownie, dając dyla z Irkucka, z przygodnym lejtenantem. Sprawa nabrała rozgłosu, „przełomowy” temat wyciszono. Sorokin spreparował dwie nieprawdziwe historyjki (jeżeli chodzi o czas akcji), skleił je na łąpu-capu erotyczną niteczką i puścił w świat licząc pewnie na sukces obfitych moczopłciowych ozdobników. Niegdyś Karamzin obwieścił Rosji, że „włoszianki też kochać potrafią”, teraz oto Sorokin roztrąbił na cztery strony świata, że jego rodaczki zdolne są również do bardziej skomplikowanych form życia towarzyskiego. A nasi redaktorzy połamomili się na tak kiepskiego „świerszczyka”. Czech i Pomorski dali się wpuścić w maliny jak małe dzieci. Sorokin nabrał ich na prastary numer z wciskaniem kitu, opisany już w pierwszym rozdziale słynnego podręcznika dla cwaniaków pt. „Jak zrobić jelenia w konia?”

Nie zamierzam mnożyć przesadnie swoich pretensji do redaktorów. Ograniczę się do jeszcze jednej. Chodzi mi o eseje. Wobec braku kontaktów między naszymi krajami i literaturami lepiej by było nie przedrukowywać ich, lecz zamówić dla *Literatury na świecie*. Te opublikowane w numerze są napisane przez Rosjan dla Rosjan. Nic dziwnego, że zawierają masę szczegółów, aluzji, a nawet nazwisk nieznanych lub prawie nieznanych czytelnikowi polskiemu. Nie dotyczy to, oczywiście wszystkich prac. Pięknie napisanego esaju Michaiła Epsztejna „Po karnawale czyli Wieczny Wieniczka” nie trzeba „przepisywać po polsku”. Ale zauważmy, że Wieniedikt Jerofiejew jest u nas nieźle znany, „Moskwa-Pietuszki” trafiły do Telewizji. A już w szkicu Wiktora Jerofiejewa, którego chętnie czytuję a prywatnie bardzo lubię, co chwila natykamy się na zdania w rodzaju:



„Narrator Popowa, nie mniej przyzwoity niż narrator Pietruszewskiej, pozostaje w stałym kontakcie ze złem”. Dla kogoś, kto nie czytał obojga autorów, to zdanie pozostanie zdaniem papierowym.

Nawiasem mówiąc nie podzielam poglądów Epsztejna na sentymentalizm (wolę trzymać sztamę z Nabokowem), ani Jerofiejewa na rosyjskie pandemonium. Nasz wpatrzony w zło pięknoduch korzy się przed nim bezwiednie. Dla mnie jego rosyjskie „kwiaty zła” są raczej „kwiatami głupoty”. Być może głupota przygniecie nas kiedyś ostatecznie, ale to jeszcze nie powód, żeby ją brać na serio. Mój przyjaciel Ilja Zwieriew mawiał nieraz: „Epoka jest gówniana, ale jeżeli ktoś jest gówniarzem, niech nie zwała winy na epokę”. Tę cytuję polecam Jerofiejewowi, który w swoim eseju pisze że jego pokolenie... „wchłonęło zło w siebie... Ale tak było trzeba”. Moje pokolenie starało się nie chłonać zła hitleryzmu i okupacji. I całkiem nieźle na tym wyszło.

Przerywam te gorzkie żale, żeby wymienić na zakończenie te pozycje które mi się spodobały. A więc przede wszystkim wiersze Wsiewołoda Niekrasowa w bardzo dobrym przekładzie Adama Pomorskiego. Wzruszył mnie ten poeta, który jakby podniebną drogą znalazł wspólny język z moją ulubioną Jolą Trelą. Z przyjemnością przeczytałem utwory poetyckie Siergieja Stratanowskiego, również w przekładzie Pomorskiego, z tym że przekład „Dyalogu jako był go wiódł ruski mędrzec Hryhory Skoworoda z Małą nazwiskiem Piczek” sprawia na mnie wrażenie nieco przedobrzonego. Dobry jest niewątpliwie Jan Satunowski i Władimir Druk w przekładach Jerzego Czecha. Druk chyba nawet lepszy po polsku niż w oryginale.

Podobały mi się też eseje Epsztejna (bardziej) i Jerofiejewa (mniej), a także wnikliwy i fachowy szkic Czecha o polskich przekładach z Brodskiego – „Brodskiego ćwierć albo pół”. Tylko dlaczego Czech napisał: „Chodzi o to, by utwór był po polsku równie ‘skrzydlaty’ jak oryginał”. Gdzie autor zobaczył u Brodskiego skrzydła? Przychodzą do mnie do redakcji dziesiątki poetów. Opowiadają mi o swoim życiu, wierszach, o ulubionych lekturach. Słucham ich uważnie i z wielką ciekawością, nie narzucam swojego zdania, nie udzielam pouczeń. Przez ostatnie dziesięć lat ani razu nie

padło w tych rozmowach nazwisko Brodskiego, nikt nie powiedział, że lubi jego utwory. Trafiali się młodzi erudyci, którym przypadły do gustu eseje Brodskiego, wiersze – żadnemu. Pewien mój moskiewski znajomy, historyk literatury, zwrócił mi uwagę na przedwojenny epigramat Selwińskiego na Surkowa. Jego zdaniem jeszcze bardziej pasuje on dziś do Brodskiego. Oto wspomniany wierszyk:

*Oko błyszczące jak wiosny dzień pierwszy,  
Profil – jak ułat na awers monety.  
I tylko nie potrafi pisać wierszy,  
A to jest wadą u poety. Niestety!*

Słyszę już głosy oburzenia. Że, niby, światowy rozgłos, nagroda Nobla. Mało mnie to wzrusza. Wspomniana premia od dawna jest tylko nobelitacją laureata, nie zaś jego nobilitacją. Pomijam już tu tak wstydlive incydenty jak przyznanie nagrody Nobla – na szczęście nie w dziedzinie sztuki! – zdeklarowanemu hitlerowcowi, prof. Lorentzowi. Wystarczy mi, że nagrodę otrzymał Brodski, nie otrzymała jej zaś Wielka Dama poezji XX wieku, pani Anna Achmatowa. Komentarze są zbyteczne.

Kończę już swoje uwagi o rosyjskim numerze *Literatury na świecie*. Bardzo to „protetyczna” publikacja. Proteza *made in Poland* jest lepsza od opisanej na wstępie, obeszło się na szczęście bez „duszy rosyjskiej”. Jednakże oba przyrządy mające w założeniu służyć do pomocy w przemierzaniu Rosji i jej literatury nie bardzo się do tego nadają. Oba, moim zdaniem, zostały pomyślane bez należytej troski o użytkownika.

Można też ująć rzecz inaczej. W latach pięćdziesiątych czyjaś mądra głowa zainicjowała akcję „Budowy Domów Wypoczynkowych dla pracowników Domów Wypoczynkowych”. Pomyśl się z biegiem czasu rozmydlił, parę domków jednak postawiono. Pracownicy Domów Wypoczynkowych czuli się w nich doskonale, osoby trzecie znacznie gorzej, jeżeli w ogóle tam trafiły. Ta zabawna historia przypominała mi się podczas lektury rosyjskiego numeru *Literatury na świecie*. Podobno konstruktorzy publikacji są ze swojego dzieła kontenci. Czy użytkownicy również? Wątpię.

Jeżeli o mnie chodzi, jestem gorącym zwolennikiem bu-



dowy Domów Wypoczynkowych dla wczasowiczów bądź kuracjuszy. Innymi słowy – dla klientów.

W STS-owskiej szopce, reżyserowanej przez Konrada Swinarskiego i skonfiskowanej po premierze, śpiewaliśmy:

*Zasada nasza święta –  
Wszystko dla klienta!  
To dla nich ruchy nóg i rąk,  
To dla nich dowcip świętokradczy!  
Już bije gong, nasz teatralny gong,  
Co też usługi dla nich świadczy!*

Przesyłam tę piosenkę w skromnym darze Jerzemu Czechowi i Adamowi Pomorskiemu. Niech się nie ograniczają do samoobsługi. Klient to wielka rzecz!

Ziemowit FEDECKI

## Niepokojąca Ameryka

W lutym bieżącego roku ukazała się książka pt. „Ameryka, która napawa lękiem”\* pióra Edwarda Behra, znanego dziennikarza amerykańskiego, wykształconego w Cambridge i długo związanego z amerykańskim tygodnikiem *Newsweek*. Dziełko to zasługuje na uwagę, gdyż – chociaż opisuje dzisiejsze Stany Zjednoczone od strony mało zachęcającej – nie jest wytworem klasycznego „postępowego” antyamerykanizmu i budzi zaufanie sumiennością dokumentacji. Tematem książki są zmiany w mentalności amerykańskiej w ciągu ostatniego ćwierćwiecza i ich przejawy w stosunkach międzyludzkich – szczególnie jaskrawe obecnie w erze „wielokultu-

\* Edward Behr, *Une Amérique qui fait peur*, Plon, Paris 1995, 329 p., ISBN 2-259-18103-1.

rowości” oficjalnie proklamowanej w inauguracyjnym przemówieniu prezydenta Clintona 13 stycznia 1993 r. Behr na wstępie tak formułuje motywy, które skłoniły go do napisania tej książki:

„Pomimo pozornej hegemonii [naukowej i technologicznej] tej nie mającej rywali superpotęgi, moja osobista wizja Ameryki u kresu XX wieku jest raczej wizją ‘spiralii regresu’, a nie odnowy.

Dokładnie w momencie, w którym gigant ten wbrew własnym intencjom obejmuje funkcje jedyne supermocarstwa światowego, odkrywam w jego łonie społeczeństwo rozbite i pustoszone nie tylko przez swe traumatyzmy i nieuzasadnione niekiedy erupcje, ale także przez nowe błędne ideologie opanowujące środowisko, w którym zwolennicy ‘political correctness’ i ‘nowego feminizmu’ skłonni są wyrzucić na śmietnik tradycyjne wartości uznane [obecnie] za przestarzałe.

Wraz z rosnącym separatyzmem nie tylko etnicznym, ale i rodzajowym [dzielącym mężczyzn i kobiety] widzę zbliżający się koniec owej specyficznej jedności, która dotychczas stanowiła główną siłę tego kraju. Widzę jakąś nową wściekłość, między innymi wśród tych mniejszości etnicznych, które odniosły największe korzyści z dobrobytu i kampanii antyrasistowskich, obecnie niemodnych czy wręcz dyskredytowanych. Widzę nasilanie się nowej nietolerancji, nowy zwrot ku przemocy [w stosunkach] między mężczyznami i kobietami oraz osobliwą tendencję do autocenzury w kraju, w którym swoboda informacji jest [uważana za] świętą. Krótko mówiąc widzę jakąś nową Amerykę, nosicielkę fałszywych ideologii gotowych zarazić resztę świata.

„Gorąco pragnąłbym się mylić”.

Książka podzielona jest na dwie części zatytułowane „Mity, dziwactwa, szaleństwa” i „Fakty”, a więc jakby prezentujące osobno teorię i osobno praktykę „nowego amerykańizmu”, ale w istocie różnica między obu sekcjami jest nieostra. Każdy z 13 rozdziałów składających się na tę pracę zajmuje się innym aspektem „teoretycznym”, a więc np. feministyczną obsesją „nękania seksualnego” (*sexual harassment*), po czym ilustruje go konkretnymi przykładami cytując nazwiska, miejsca i daty. Zważywszy surowość amerykańskiego prawa w zakresie spraw o zniesławienie, wysokość kar



i długie doświadczenie autora jako dziennikarza można przyjąć, że jego materiał ilustracyjny jest autentyczny, choć chwilami wydaje się niewiarygodny.

Dla przykładu *casus* prof. Davida Goldberga z *University of Michigan*, opisany na str. 59-61. W 1992 Goldberg – wieloletni wykładowca statystyki porównawczej na wydziale socjologii – wpadł na niefortunny pomysł ożywienia swego wykładu demonstracją, iż pewne obiegujące klisze ilustrujące upośledzenie finansowe kobiet i kolorowych mniejszości w Ameryce są przesadzone. Na podstawie dokładnej analizy wykazał, iż ulubiona przez feministki formuła „59%” (rzekoma proporcja zarobków kobiecych wobec odpowiednich zarobków mężczyzn) jest fałszywa i że choć różnica *in minus* rzeczywiście jeszcze istnieje, nie przekracza ona 15%. Przy tej samej okazji udowodnił też, że upośledzenie przedsiębiorców murzyńskich i latynoskich w dziedzinie kredytów bankowych – stały temat skarg polityków reprezentujących te grupy – nie odpowiada już rzeczywistości. Na uniwersytecie zawrzało i organizacje feministyczne tudzież „rasowe” złożyły do rektora formalną skargę o „seksizm”, „rasizm” i „szerzenie uprzedzeń wobec kobiet i kolorowych”, domagając się jednocześnie uniemożliwienia Goldbergowi prowadzenia dalszych wykładów. Spanikowany rektor natychmiast jego wykłady zawiesił, a chociaż wobec protestu kolegów Goldberga musiał nieco ustąpić, wprowadził równoległy kurs tego samego przedmiotu powierzony bardziej *blagonadziejemu* (i mniej wymagającemu) profesorowi. Goldberg od trzech lat jest w swojej kwarantannie zawodowej i towarzyskiej. Oczywiście gdyby nie miał *tenure* tzn. stałego etatu dawno by już stracił posadę. W rozmowie z autorem książki prof. Goldberg podkreślił symptomatyczny szczegół: choć wszyscy jego koledzy z wydziału prywatnie solidaryzowali się z nim, pod listem do rektora w jego obronie nie było ani jednego nazwiska osoby bez *tenure* i ani jednej kobiety – strach przed narażeniem się brutalnym aktywistom *political correctness* został już instytucjonalizowany. Czytelnikowi książki z doświadczeniem europejskich reżymów totalitarnych zaczyna w tym miejscu pobrzmiwać w uszach aria ze „Strasznego Dworu”: *O Boże mój, melodia ta o jakież chwile przypomina...*

Charakterystyczną cechą „poprawności politycznej” (por.

komunistyczną formułę „właściwa postawa moralno-polityczna”) jest agresywne moralizatorstwo skupione nie tyle na obronie (rzeczywistych lub rzekomych) ofiar nietolerancji i uprzedzeń społecznych, co na identyfikacji i piętnowaniu „złych”. Ponieważ intensywne kampanie propagandowe zdążyły już ustanowić wiele ogólnikowych dogmatów – kobiety są *zawsze* ofiarami mężczyzn, kolorowi są *zawsze* prześladowani, homoseksualiści (-stki) są *zawsze* dyskryminowani – w zamkniętych grupach zawodowych spenetrowanych przez aktywistów tej ideologii (a więc np. w środowisku uniwersyteckim) dokonano się też swoiste odwrócenie wartości i generalizacja nowych kategorii moralnych. „Dobre” z założenia są kobiety (chyba że nadmiernie ulegają „męskiej supremacji”, tzn. nie są stuprocentowymi feministkami), kolorowi (chyba że „wyrzekają się własnej tożsamości”, tzn. akceptują dotychczasowe normy zachodniej cywilizacji), tudzież wszyscy dewianci seksualni (chyba że rezygnują z ostentacyjnego obnoszenia się ze swoim *different life-style*). Automatycznie więc wszyscy mężczyźni, biali w ogóle i osoby o normalnych preferencjach erotycznych stają się kategoriami *ex definitione* podejrzanymi (por. „klasowo obcy”), a do ewentualnego zdemaskowania ich inherentnego „zła” służą rozmaite pseudodydaktyczne procedury zwane „rozwijaniem wrażliwości” (*sensitivity training*) lub też „programem podwyższania świadomości” (*consciousness raising program*). Behr przytacza pośród wielu innych następujący przykład takiego testu: studenci kandydaci na posadki w administracji domów akademickich pewnego uniwersytetu zostali w ramach „programu” tego typu zmuszeni do obejrzenia pornograficznego filmu dla homoseksualistów, przy czym w trakcie projekcji po sali krążyli fotografowie robiący (bez wiedzy zainteresowanych!) zdjęcia nieszczęsnych widzów. Biada temu, kto się skrzywił z niesmakiem!

W tym miejscu chciałbym przypomnieć jeden z żartobliwych neologizmów St. I. Witkiewicza i przy okazji złożyć hołd jego profetycznemu geniuszowi, bo wymyślony przez niego termin nabrał obecnie żywej aktualności. W którejś z powieści (zdaje się w „Nienasyceniu”) Witkacy mimochodem wspominał o mgliście-buddyjskiej wierze w „Wielkie Mana, które rządzi światem” i – będąc Witkacym – nie omieszkiał



wtrącić w nawiasie: „przez analogię do manicure i pedicure, dla pederastów – Wielkie Peda”. Otóż wszystkim potencjalnym gościom amerykańskich środowisk akademickich zalecam niezapominanie ani na chwilę o Wielkim Peda, które rządzi obecnie tym światkiem. W zeszłym roku w Nowym Jorku po moim odczycie o pewnym pisarzu, w którego utworach często pojawiają się homoseksualiści, a który to motyw zbyłem trochę lekceważąco, podszedł do mnie życzliwie nastrojony tamtejszy kolega i powiedział: „No, tutaj to jakoś uszło, ale na przyszłość uważaj, bo możesz mieć grubsze nieprzyjemności!”

Mogłoby się zdawać, że okoliczność, iż *political correctness* jest skoncentrowana głównie w środowiskach uniwersyteckich (podobnie jak w swoim czasie lewackość we Francji i w Niemczech), wystarczy by uznać te ideologie za zjawisko marginalne i przejściowe. Tak jednak nie jest. Behr zwraca uwagę na dwa fakty. *Primo*: mechanizm karier uniwersyteckich – zarówno naukowych jak i administracyjnych – jest oparty na swego rodzaju kooptacji, tzn. promowani są ludzie uznani przez środowisko za „właściwych”. W wypadku swobodnej prezentacji uzdolnień i rezultatów naukowych jest to normalne i użyteczne, ale tam gdzie zaczyna panować „przodująca ideologia” kryteria zmieniają się, o czym czytelników obeznanych z „realnym socjalizmem” przekonywać nie trzeba. Ta zasada daje się już zaobserwować w Ameryce i w Kanadzie, przynajmniej w dziedzinie humanistyki. Może przesadą jest twierdzenie, że jeśli dwójka kandydatów ubiega się o to samo stanowisko, to biały mężczyzna (w dodatku żonaty i dzieciaty) nie ma *żadnych* szans wobec ciemnoskórej koleżanki-lesbijki, ale coś jest na rzeczy. Tak więc, zdaniem autora omawianej książki, tendencja do utrwalania się „poprawności ideologicznej” z wszystkimi konsekwencjami programowo-wychowawczymi („studia etniczne” zamiast historii, „literatura kobieca” zamiast studium klasyków, etc.) robi wrażenie czegoś, co bynajmniej nie słabnie, a przeciwnie – nasila się na zasadzie sprzężenia zwrotnego.

Drugim punktem, na który Behr zwraca uwagę jest fakt, iż przez uniwersytety i rozmaite *college* (oczywiście nie wyłącznie Harvard i Yale) przechodzi obecnie w Ameryce prawie połowa młodszej generacji, a więc potencjalny zakres indoktrynacji jest ogromny o czym oczywiście belfrzy-ideolo-

dzy doskonale wiedzą i nie zasypiają gruszek w popiele. Skutki tego widać już w różnych sektorach kultury masowej: np. amerykańskie powieści kryminalne (niegdyś moja ulubiona lektura rozrywkowa) stały się obecnie nie do czytania przez uderzająco podobną do socrealizmu mieszaninę demonologii, słodyczki i ideologicznego dydaktyzmu. Powie ktoś, że to dziedzina nieistotna i zgodzę się z nim – ale mniej już byłbym skłonny do zgody gdy chodzi o „nieszkodliwość” utrwalania uprzedzeń i antagonizmów grupowych, żywo przypominających marksistowskie „rozwarstwienie klasowe”.

Książka Behra omawia też wiele innych zjawisk niepokojących przez swoją powszechność a świadczących o nasilaniu się tendencji irracjonalnych w społeczeństwie amerykańskim. Jednym z tych zjawisk jest popularność i traktowanie serio pseudonaukowych teorii psychoterapeutycznych dotyczących „odzyskanej pamięci” – tudzież bardzo poważnych pomówień czynionych na tej bardzo wątpliwej podstawie. Najgłośniejszą tego rodzaju sprawą przed rokiem było oskarżenie (*nota bene* rozreklamowane przez CNN na cały świat) kardynała Josepha Bernardin z Chicago o to, że jakoby 17 lat wcześniej „seksualnie nadużył” jednego z kleryków. Oskarżycielem był niejaki Steven Cook, który po wystąpieniu z seminarium przed laty stoczył się na zupełny margines i do tego nabawił się AIDS. Szukając jakiejś pociechy poddał się kuracji psychologicznej u nader podejrzanego „fachowca” (w Stanach Zjednoczonych praktycznie *każdy* może uprawiać zawód psychoterapeuty – wystarczy krótki kurs korespondencyjny), który przekonał go pod hipnozą, że jako młodzienczek był na pewno przedmiotem wspomnianych nadużyć tylko jego pamięć została zablokowana (echo amerykańskiej manii freudowskiej sprzed lat!). Po paru dalszych seansach u „terapeuty” Cook „odzyskał pamięć”, złożył formalną skargę do sądu i sprawa nabrała biegu. Na szczęście dla kard. Bernardina prawdziwy (i uczciwy) kontreksperpsycholog uznał skarżącego za chorego umysłowo a jego „odzyskaną pamięć” za konfabulację. Inna rzecz, że oskarżony duchowny po tych przejściach nigdy już podobno nie odzyskał równowagi duchowej.

„Ameryka, która napawa lękiem” przytacza dziesiątki podobnych (udokumentowanych) historii, w których dzieci



oskarżają po latach własnych rodziców o pedofilię, mordercy są uniewinniani jako działający we własnej obronie ponieważ rzekoma „odzyskana pamięć” zmieniła ich w zagrożonych niewygodnych świadków, a tysiące skądinąd normalnych obywateli wierzy święcie, iż byli kiedyś porwani przez przybyszy z kosmosu i poddani na pokładzie latających talerzy przerażającym torturom. Oczywiście w tak ogromnym kraju jak Ameryka paranoików na pewno nigdy nie brakowało, ale Behr zwraca uwagę na rozpowszechniający się obecnie klimat wzmożonej nieufności wobec innych ludzi i na swoisty fason uważania się za ofiarę, które sprzyjają tego rodzaju psychozom. Powiem po staroświecku, że o ile chodzi o rosnącą „nieufność” to ma ona pewne uzasadnienia realne, ale na pewno też wzmacnia ją zalew drukowanej i filmowanej pseudoreczywistości prawie bez wyjątków opartej na formule „człowiek człowiekowi wilkiem (lub gorzej)”. Zaś moda na uważanie się za ofiarę „złych” jest wygodnym kamuflażem własnej agresywności czy chociażby przekonania o własnej „lepszości” – wszystko to już widzieliśmy w czasach *les intellectuels de gauche...* „Poprawność polityczna” jest dość oczywistym przedłużeniem tego samego trendu i ma podobną klientelę.

Nie mieszkam w Ameryce, więc trudno mi ocenić na ile lekko alarmistyczny ton tej książki jest uzasadniony. Niemniej wydaje mi się ona użyteczna co najmniej jeśli chodzi o kontakty z tamtejszym środowiskiem akademickim. Przekonałem się o tym z własnego doświadczenia kilkakrotnie, choć najjaskrawszy wypadek ma charakter mocno *ex post*. A było to tak: pod koniec lat 80-tych zostałem zaproszony na tygodniową konferencję literaturoznawczą zorganizowaną przez znany amerykański uniwersytet w ich ślicznym ośrodku „naukowo-wypoczynkowym” we Włoszech. Obrady odbywały się w głównym pałacyku (nazwijmy go po Witkacowsku *Villa Calafutrini*) na szczycie wzgórza, skąd był cudowny widok na otaczające ten zakątek jezioro; tamże drinki i posiłki (podawane przez służbę w białych rękawiczkach); wieczorem, po codziennej porcji referatów i kolacji (zawsze wspaniałej!) schodziliśmy kilkaset metrów w dół, na brzeg, gdzie w kilku domach „służebnych” ale też pięknych mieliśmy sypialnie. Przed snem większość uczestników – w międzyczasie już dobrych znajomych – spędzała jeszcze z godzinkę na rozmo-

wie zakrapianej tym i owym w *common room*’ie jednego ze wspomnianych domów.

Pewnego wieczoru zasiedziałem się w *Villa Calafutrini* dłużej niż inni i gdy wyszedłem na dwór zorientowałem się po głosach z oddali, że główna grupa zeszła już na brzeg. Ruszyłem więc samotnie przez las porastający to dość strome wzgórze, gdy nagle ujrzałem obok siebie sylwetkę bardzo ważnej pani profesor z bardzo ważnego amerykańskiego uniwersytetu, ślizgającą się na wystających korzeniach i nieporadnie czepiającą się drzew. Ponieważ wyglądało, że lada chwila runie jak długa podszedłem i zaproponowałem, żeby mnie wzięła pod ramię. Wzdrygnęła się i przejmującym głosem wykrzyknęła „no, noo, noooo!!!”, wobec czego poszedłem dalej. Słyszając jednak jakiś podejrzany trzask za sobą stanąłem i odwróciłem się by stwierdzić czy mimo wszystko nie potrzebuje pomocy. Widząc to wspomniana dama wręcz zachwiała się i histerycznym krzykiem zaczęła przyzywać swego męża, który już był na dole (i któremu ani się śniło wracać). Wzruszyłem ramionami i poszedłem nie oglądając się więcej.

Przez wiele lat zdarzenie to było dla mnie zagadkowe i dopiero książka Behra otwarła mi oczy. Jeden z jej rozdziałów dość szczegółowo omawia psychozę rzekomej wszechobecności gwałcicieli na amerykańskich kampusach. Rozliczne broszury, „programy” i *quasi*-religijne zebrania organizowane przez aktywistki feministyczne mają za zadanie intensywne „uwrażliwianie” studentek na niebezpieczeństwo *campus rape* (wg danych policji fenomen prawie nie istniejący na terenie uniwersyteckim). Efektem jest oczywiście powstanie prawdziwej paranoi na tym tle.

Mam sobie trochę za złe własną tępotę, jako że incydent w *Villa Calafutrini* miał bardzo proste wyjaśnienie: współuczestniczka tych tygodniowych obrad uznała mnie po prostu za *conference rapist*! Nie przyszło mi to wcześniej na myśl nie dlatego nawet, że nie mam takich obyczajów, ale z innego prozaicznego powodu: bardzo ważna pani profesor – w szampańskich latach sześćdziesiątych niewątpliwie ozdoba *flower children* – w momencie kiedy się spotkaliśmy zdecydowanie nie przypominała już dziecka, ani tym bardziej kwiatu.



## Skraj nieba

Nie można sobie wyobrazić – przynajmniej mnie sprawia to pewne trudności – co może oznaczać „skraj nieba”, jak obiekt taki wygląda. Lecz po przełomie kubistycznym nie należy się o takie drobiazgi spierać. Skraj nieba pojawia się w polskim przekładzie niemieckiego tytułu antologii „Am Rande des Himmels” („Na skraju nieba”)\* młodej poezji polskiej i niemieckiej wydanej, jak czytamy, na zlecenie i ze środków niemieckiego Ministerstwa Oświaty, Nauki, Badań Naukowych i Technologii. Antologia jest plonem Polsko-Niemieckich Spotkań Młodych Autorów organizowanych w Moguncji od roku 1993. Wydana została w dwóch językach: po polsku i po niemiecku i z pewnością stanowi miłą pamiątkę dla uczestników imprezy. Ze strony niemieckiej w spotkaniach biorą udział laureaci dorocznego konkursu literackiego organizowanego przez Berliner Festspiele, ze strony polskiej – zaproszeni przez organizatorów pisarze o na ogół już znanych nazwiskach (Natasza Goerke, Manuela Gretkowska, Tomasz Majeran czy Marcin Sendek – by wymienić nazwiska już od kilku lat obecne nie tylko na łamach prasy literackiej). Różnica wieku wyznacza zarazem – choć oczywiście nie zawsze musi tak być – różnicę artystycznego poziomu wypowiedzi: pisarze dopiero debiutujący spotykają się tutaj z autorami o sporym już doświadczeniu. Jeżeli przyjąć kategorie Wyki wyznaczające rytm pokoleniowych następstw, prezentowanych tu poetów dzieli różnica jednej generacji. W szczególności właśnie w młodym wieku różnice te na ogół są znaczące – i tym razem też tak właśnie się dzieje: utwory autorów polskich są w zasadzie artystycznie dojrzalsze, poznawczo mniej naiwne.

Twórcom antologii – a zarazem tłumaczom tekstów: Peterowi Groszowi i Markowi Żmijewskiemu – przyświecała zbożna idea pojednania polsko-niemieckiego, z pewnością bardziej oczywista dla młodych, urodzonych dwadzieścia i

\* *Am Rande des Himmels / Na skraju nieba*. Młodzi autorzy z Niemiec i Polski. Koncepcja i redakcja Peter Grosz. Verlag Jens Neumann, Mainz 1995, s. 238.

trzydzieści lat po wojnie niż dla ich rodziców oraz starszych siostr i braci. We wstępie do książki czytamy: „Dobrze jest szukać pojednania. Osiągnąć pojednanie, znaczy odkryć tam, ‘gdzie załamuje się horyzont’, te same stawiane nam przez życie i oczyszczone z ideologicznych pozostałości problemy. Konkluzja: tylko pod tym wyzwolonym od wszelkich nacjonalistycznych roszczeń niebem możemy zbudować naszą wspólną przyszłość. Być może właśnie pojawia się na jego skraju nadzieja”. Wyrazem owej nadziei ma stać się prezentowana tu poezja. I być może nim jest, choć przecież tylko po części utwory te są reprezentatywne zarówno dla polskiej i niemieckiej młodej liryki.

Dobrze się dzieje, że do podobnych spotkań dochodzi. Równie ważne wydaje się ich dokumentowanie. Przyznam jednak, że sama antologia rozczarowuje i choć rzeczywiście jest tak, jak piszą we wstępie jej twórcy, iż można tu mówić o zbieżności tematów i podobieństwie w sposobie postrzegania świata, to przecież jest rzeczą dość oczywistą, że młodzi ludzie w Europie myślą o podobnych sprawach: w szczególności wówczas gdy o ich życiu w mniejszym niż niegdyś stopniu decydują polityczne okoliczności. „Młodość ma swoje prawa” i w normalnych warunkach funkcjonują one podobnie na całym niemal świecie. By się o tym przekonać, nie trzeba akurat wydawać poetyckich antologii.

Jest rzeczą oczywistą, że powstające w dość szybkim tempie przekłady mają i mieć muszą wiele niedostatków – to w tego rodzaju publikacjach niemal reguła. Gorzej, że w roku 1995 czytać musimy we wstępie, iż mamy do czynienia z eksperymentem, dzięki któremu możemy się przekonać, iż nie każde spotkanie polsko-niemieckie obciążone być musi dzisiaj balastem historycznych i ideologicznych uprzedzeń. Że tak już od wielu lat nie jest – przynajmniej w dość szerokich kręgach społecznych zarówno w Polsce jak i w Niemczech – dowodzą dziesiątki spotkań i konferencji, nie mówiąc już o handlowej wymianie przygranicznej. Wydaje się, że wielkie słowa owego wstępu to nic więcej niż wyważanie otwartych od dawna drzwi. To natomiast, co wydaje się w nim potrzebne – nie istnieje: skupienie się na poezji właśnie, na podobieństwach i różnicach w jej rozumieniu, analizie umiejętności, wyeksponowaniu głównych tematów i problemów zarówno egzystencjalnych i estetycznych.

Spotkania mają sens wówczas, gdy budują jakąś wspólnotę – nawet gdy jest to wspólnota sporu. To, iż kilkunastu



autorów z Polski i tyluż mniej więcej z Niemiec spotkało się w Moguncji, jest jakby oczywiste we współczesnej rzeczywistości. Nie wiemy jednak czy spotkali się po to tylko, by wzajem sobie czytać wiersze, czy także po to, by o poezji porozmawiać. Jeśli celem było nawiązanie kontaktów – to dobrze, że im to ułatwiono. Szkoda jedynie, że podobne inicjatywy wychodzą w olbrzymiej większości wypadków ze strony niemieckiej – tu mamy kolejne potwierdzenie nierównowagi w kulturalnych stosunkach polsko-niemieckich, która ma, jak sądzę, swe źródło przede wszystkim w polskich niedostatkach finansowych, ale nie tylko: także organizacyjnych.

Z antologii i wstępu do niej nie wiemy jednak czy spotkanie to, poza samą publikacją i przekładami, cokolwiek uczestnikom dało, jaka jest przeszłość tej inicjatywy i jakie są plany organizatorów. Wiemy, jakie były kryteria doboru autorów niemieckich (laureaci konkursu poetyckiego), nie jest jasne natomiast dlaczego z Polski przyjechali ci, a nie inni młodzi pisarze (losowanie?). Opublikowano antologię będącą dokumentem spotkania i zarazem dobrą „podkładką” dla tych, którzy zajmują się „programem pojednania”, którego szukanie jest rzeczą słuszną. Co wszakże te teksty z problematyką pojednania mają wspólnego – nie bardzo wiadomo. Jaki jest sens prezentowania czytelnikowi polskiemu na ogół bardzo jeszcze niedojrzałych utworów niemieckich debiutantów? Może taki, że „przy okazji” udało się zaprezentować czytelnikowi niemieckiemu nieco przekładów (na ogół zresztą dość słabych) bardziej dojrzałych autorów polskich...

Nie wiem. Wiem jednak, że koncepcja podobnej antologii powinna być lepiej przemyślana, mniej zależna od przypadku, skupiona wokół jakiejś wybranej problematyki. Może lepiej by było w przyszłości pomyśleć o dokumentacji spotkania – zapisach dyskusji, wystąpień, także, rzecz jasna, publikacji wierszy – a nie ograniczać się wyłącznie do prezentacji przypadkowo zebranych utworów w surowych, niedopracowanych przekładach.

Leszek SZARUGA

## Podróż bezdrożami Europy i historii

Jesienią 1994 r. brytyjska stacja telewizyjna BBC nadała program publicystyczny zatytułowany: „Borderlands” (Pogranicza). Programowi temu przyświecała całkiem wyraźnie idea, że – w obliczu rekonstruujuącego się na zasadzie dwubiegunowej nowego podziału strategicznego Europy – istnieje realna możliwość, że tereny położone na wschód od Bugu staną się *de facto* nową granicą Wspólnoty Europejskiej\*.

Autorka omawianej tu książki, Anne Applebaum, urodzona mniej niż 30 lat temu w Waszyngtonie, D.C., ale której rodzina (jak się dowiadujemy z książki) wywodzi się z Kobrynia na Białorusi, jest żoną Radka Sikorskiego, lepiej znanego publiczności brytyjskiej za śmiałe reportaże z „zapomnianej wojny” w Afganistanie, niż z racji swojej kontrowersyjnej kariery politycznej jako wiceministra obrony narodowej w rządzie Olszewskiego. Jest ona wyjątkowo dobrze predestynowana do roli świadka tego sejsmograficznego przesunięcia owej „drugiej Europy”. Ma też szczególne kwalifikacje na interpretatora tego dziejowego procesu (który inna pisarka amerykańska, Ewa Hoffman, nazwała „wyściem w historię”), jaki przebiega tam ze specjalną intensywnością. Applebaum ma za sobą studia języka rosyjskiego i historii w Yale, jak również podyplomowe studia w Oxfordzie (w St. Anthony’s College), po których nastąpiła błyskotliwa kariera dziennikarska w najpoważniejszych pismach brytyjskich. W r. 1988 wyjechała na trzy lata jako korespondentka z ramienia *The Economist* do Polski; obecnie jest zastępcą

\* To wyznaczenie terenów stanowiących wschodnią granicę cywilizacji europejskiej jest wpisane już w sam tytuł książki dziennikarki amerykańskiej, Anne Applebaum; „*Between East and West: Across the Borderlands of Europe*” („Pomiędzy Wschodem a Zachodem: Podróż poprzez kraje pogranicza Europy”), wydanej pod koniec ubiegłego roku w Nowym Jorku nakładem Pantheon Books (angielska edycja zapowiadana jest na wiosnę 1995 r.).



naczelnego w innym prestiżowym piśmie: *The Spectator*.

Pisarstwo Anne Applebaum na tle obecnej eksplozji „literatury faktu” dotyczącej terenów byłego ZSSR wyróżnia solidna wiedza historyczna („notatka o źródłach” zamieszczona na końcu jej książki jest niczym innym jak przeglądem najnowszej literatury przedmiotu). To ona pozwala autorce na kompetentną ekspozycję bardziej niż gdzie indziej zawikłanych dziejów tych krajów. To wcale niełatwe zadanie znakomicie ułatwiają czytelnikowi przejrzyste mapy na początku każdego rozdziału, za które i autorce i wydawcy należy się specjalne uznanie.

Autorka zwierza się w przedmowie, że idea podróży po Kresach zrodziła się podczas nie planowanej wizyty we Lwowie latem 1986 r., kiedy to awaria pociągu dała jej niespodziewanie możliwość kilkugodzinnej przechadzki po mieście, które ją od pierwszej chwili zafascynowało widomymi śladami różnorodności dziedzictwa kulturowego.

Ta właśnie wrażliwość na różnorodność, wielowątkowość, paradoksy przeszłości, tak brutalnie wtłoczonej w dogmatyczny gorset stalinowskiej uniformizacji po r. 1945, jest cechą wyróżniającą tej książki. Oto jak sama autorka określa swoje podejście do tematu: *„Trzeba wyćwiczyć się w sztuce wizualnej i słuchowej archeologii; umieć wyobrazić sobie, jak wyglądało to miasto, zanim na jego rynku nie stanął pomnik Lenina, zanim kościół nie został zamieniony w lokalną fabrykę (...) W rozmowie, trzeba się nauczyć wysłuchiwać podteksty, zgadywać, co ten sam rozmówca miałby do powiedzenia na ten sam temat 50 lat temu; być świadomym tego, że i jego narodowość mogłaby być inna i co więcej, że mógłby przemawiać innym językiem”* (str. XX przedmowy).

Innym atrybutem autorki jest jej otwartość na różne punkty widzenia, dzięki której – jak przystało na zawodową dziennikarkę – oddaje głos ludziom przedstawiającym diametralnie przeciwne punkty widzenia. W Wilnie pozwala się wypowiedzieć profesorowi prezentującemu lingwistyczne „dowody” na rdzenną litewskość tego miasta, jak i tamtejszym Polakom, argumentującym za ich „odwieczną” polskością. Autorka posiada wrażliwość wyostrzoną na paradoksy, sprzeczności, śmieszności niektórych z tych wywodów. Oto

np. białoruski Żyd Meyer Chaimowicz, dowodzi wyższości życia pod reżymem sowieckim argumentem, że „za polskich czasów można było tylko słuchać radia, teraz mamy telewizję”. Autorka nie próbuje prostować tych śmiesznych, czasem grozę budzących argumentacji, sprzecznych ze sobą i poplątanych, jak cała ta mozaika etniczna, w której, prawem natury, muszą do głosu dochodzić różne punkty widzenia, sprzeczne ze sobą oglądy rzeczywistości.

Dowodem rozległości wizji historycznej jest to, że pojęcie Kresów rozszerza na obszary, które od XIII w. stanowiły wschodni przyczółek kultury germańskiej. Podróż swoją rozpoczyna autorka od miasta kiedyś znanego pod nazwą Koenigsberg. Dziś do Kaliningradu wjechać można tylko od zachodu, najlepiej promem z Gdańska (opłata wyłącznie w markach!). Może żadne inne miasto w Europie nie zaświadcza tak wymownie realności tego, czego autorka nie waha się nazwać „ludobójstwem kulturowym” (*cultural genocide*). Ta bezprecedensowo brutalna „czystka etniczna” (żeby użyć obiegowego dziś terminu, choć ukutego w innym kontekście), której ofiarą padła niemiecka ludność tego miasta – stanowi współczesny odpowiednik równie systematycznego ludobójstwa dokonanego niegdyś na pierwotnych mieszkańcach tych terenów, Prusach. W Kaliningradzie też po raz pierwszy spotyka się autorka z rozjarzonymi ambicjami nacjonalistycznymi, od których się roi na tym obszarze świata, ale, co ciekawe, nie ze strony niemieckiej: w tym konkretnym wypadku ze strony tych, co te tereny, znane pod nazwą „Małej Litwy”, chcieliby widzieć jako część Macierzy (litewskiej).

To zaledwie początek długiej listy historycznych pretensji i resentymentów, z których jedne mogą się wydać uzasadnione, inne zaś czytelnik zdecyduje się zapewne „między bajki włożyć” (jak teoria, jakoby mieszkańcy Polesia mieli być potomkami plemienia celtycko/germańskiego, jako uzasadnienie ich pragnienia niezależności). Przypomina się ironiczny cytat z Wisławy Szymborskiej *„godne ubolewania są małe narody... ich lekkomyślność wymaga nadzoru”* (z wiersza „Głosy”).

Jako ilustrację splątanych korzeni etnicznych i nierozwiązywalnego węzła gordyjskiego aspiracji kulturowych



sąsiadujących narodów, przytacza autorka *casus* Mickiewicza */alias* Mickiewicza */alias* Mickevičiusa, z nie kończącymi się „naukowymi” sporami dotyczącymi przynależności etnicznej poety. Trudno uchylić się od konkluzji: na tych terenach nic nie może być jednoznaczne.

W istocie, nietolerancja czy niezrozumienie naturalnej różnorodności kulturowej tych terenów, będącej spadkiem po ich dramatycznej historii, mogą łatwo prowadzić do nowego typu uniformizacji. Tak to widzi jeden z rozmówców Anne Applebaum, ukraiński profesor-lingwista: jego wywód uświadamia czytelnikowi wielobarwną mozaikę, jaka kryje się pod nazwą „Ukraina”. Profesor wygłasza litanie tych tak różnorodnych terenów, każdy z odmienną historią i specyficznym dla siebie dialektem: cóż naprawdę łączy historyczną Ruś Kijowską i dużo później przyłączoną wschodnią Ukrainę i „polską” Ukrainę Zachodnią i „noworosyjskie” pobrzeże Morza Czarnego i Północną Bukowinę (w której ciągle tli się wspomnienie Habsburgów) i Południową Besarabię (zabraną Rumunii po II wojnie) i Ruś Zakarpacką (która przez wieki należała do Węgier)? Obecnie – dowodzi profesor – te tereny, wielobarwne jak turecki dywan, znów stoją przed nowym niebezpieczeństwem: tym razem ze strony ukraińskiego nacjonalizmu. Muszą się bronić przed następnym gorsetem uniformizacji, narzucanej przez groźbę przymusowej „ukrainizacji”. „A przecież różnorodność to siła, to jest piękno Ukrainy”.

Anne Applebaum udaje się dotrzeć do wszystkich krańców tej rozległej krainy; ostatnią część swojej podróży przez odludne i dzikie części Karpat, autostopem (bo innej drogi nie ma), zawadzając po drodze o Kołomyję, Chocim, (którego zamek wydaje się ciągle jeszcze strzec dawnej granicy pomiędzy Rzeczypospolitą a Turcją), Czerniowce (dziś Czernivci), dawną stolicę Bukowiny, od 1775 najbardziej na wschód wysunięte miasto Habsburgów; i wreszcie, Kamieniec Podolski, gdzie katedrę zdobi turecki minaret, a profesor ateizmu w lokalnej szkole pedagogicznej został niedawno przemianowany na profesora religii, co mu nie przeszkadza wygłaszania bez zmiany tych samych wykładów. Błedną tam już ślady polskiej historii, ale ciągle jeszcze trwają widome znaki tego jedynego w swoim rodzaju splątania kultur, które było tak charakterystyczne dla tradycji galicyjskiej.

Podsumowaniem tej podróży jest przeprawa statkiem rosyjskim z Odessy do Istambułu. Na statku spotyka bogaty przekrój typów *homo sovieticus*, model wczesnych lat 90-tych. Przemytnicy, szmuglerzy i zadufani w sobie dziarscy rosyjscy „mafioso”. Do nich należy ostatnie słowo: „Co? Pani pisze o Litwie? Ukrainie? To nie są prawdziwe miejsca, to są miejsca które my wymyśliliśmy. (...) Cemu nie pojechała Pani do Nowgorodu? do Świerdłowska? do Wołgogradu? To są prawdziwe rosyjskie miasta. (...) Pani nic nie wie o Rosji.” I wkrótce potem proponują toast: „Niech żyje Rosja! Rosja jest najbardziej cywilizowanym narodem świata”.

Następnego rana ich oczom ukazują się minarety Istambułu. Jest niemałą ironią historii, że autorka wjeżdżając do tej orientalnej stolicy, skąd przez tak wielki okres dziejów wyruszały na podbój Europy armie tureckie, odpierane przez tych, którzy widzieli siebie jako obrońców zachodniej cywilizacji, wzdycha: „Jestem z powrotem na Zachodzie”.

Teresa HALIKOWSKA-SMITH

## Nadesłane nowości wydawnicze

*Historia Europy*. Praca zbiorowa pod redakcją Jean Carpentier i François Lebrun. Tłumaczenie Tadeusz Szafrański. Str. 476 i 6 nlb. (Wyd. Oficyna Wydawnicza VOLUMEN, seria: Nowa Marianna, Warszawa 1994).

BRAUDEL (Fernand) i in. *Morze Śródziemne. Przestrzeń i historia, ludzie i kultura*. Przełożyli: Maria Boduszyńska-Borowikowa, Barbara Kuchta i Adam Szymanowski. Str. 254 i 4 nlb. (Wyd. Oficyna Wydawnicza VOLUMEN, seria: Nowa Marianna, Warszawa 1995).

BANNIARD (Michel). *Geneza kultury europejskiej V-VIII w.* Przeł. A. Kuryś. Str. 214. (Wyd. Oficyna Wydawnicza VOLUMEN, seria: Nowa Marianna, Warszawa 1995).

WANDYCZ (Piotr S.). *Cena wolności. Historia Europy Środkowo-Wschodniej od średniowiecza do współczesności*. Przekład Tomasz Wyrozumski. Str. 488 + mapy. (Wyd. ZNAK, Kraków 1995).

BAZIAK (Jolanta). *Wielbłądzica*. Wiersze. Str. 64. (Wyd. Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kulturalne, Bydgoszcz 1995).



- KRZYŻANOWSKI (Jerzy R., „Szpic”). *U Szarugi*. Partyzancka opowieść. Str. 326 i 2 nlb. (Wyd. NORBERTINUM, Lublin 1995).
- Zaciskanie pętli. Tajne dokumenty dotyczące Czechosłowacji 1968 r. Wstęp i opracowanie Andrzej Garlicki i Andrzej Paczkowski. Str. 270 i 2 nlb. (Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1995).
- LURIE (Iakov S.). *Dwie Istorii Rusi XV wieku*. Wcześniejsze i późniejsze, niezależne i oficjalne kroniki o tworzeniu państwa moskiewskiego. Str. 238 i 2 nlb. (w języku rosyjskim). (Wyd. Dmitrij Bulanin, Petersburg i Institut d'Etudes Slaves, Paryż 1994).
- W russkich archiwach. 1. Kratkij putiewoditel po bywszemu spieczranu (stan na 1 października 1993 r.). Tekst w języku rosyjskim. Str. 96 i 4 nlb. (Wyd. RGALI, Moskwa 1994 i Institut d'Etudes Slaves, Paryż 1994).
- KOZOVOY (Wadim). *Poet w katastrofie*. Str. 330 i 6 nlb. (tekst w języku rosyjskim). (Wyd. „Gnozis” i Institut d'Etudes Slaves, Paryż 1994).
- Vladimir Nabokov et l'émigration. Sous la direction de Nora Buhks. Cahiers de l'émigration russe 2. Str. 120 i 8 nlb. (Wyd. Irenise i Institut d'Etudes Slaves, Paryż 1993).
- Bibliographie des oeuvres de Sacha Tcherny. Opracowanie Anatoli Ivanov. Str. 218 (teksty w języku francuskim i rosyjskim). (Wyd. Institut d'Etudes Slaves, seria: Ecrivains russes en France, Paryż 1994).
- Bibliographie des oeuvres de Lev Karsavine. Opracowanie Alexandre Klementiev, przedmowa Nikita Struve. Str. 62 (teksty w języku francuskim i rosyjskim). (Wyd. Institut d'Etudes Slaves, seria: Ecrivains russes en France, Paryż 1994).
- Derjavine un poète russe dans l'Europe des Lumières. Opracowanie pod kierunkiem Anity Davidenkoff. Str. 238 i 2 nlb. (tekst w języku francuskim). (Wyd. Institut d'Etudes Slaves, Paryż 1994).
- KAPPELER (Andreas). *La Russie – Empire multiethnique*. Tekst w języku francuskim, tłumaczył z niemieckiego Guy Imart. Str. 416. (Wyd. Institut d'Etudes Slaves, Paryż 1994).
- MONDRAL (Camilla). *Węgry moja miłość*. Str. 114 i 2 nlb. (Wyd. „Od nowa”, Kraków 1994).
- JADACKI (Juliusz J.). *Sławni wilnianie filozofowie*. Przedmowa Stefan Świeżawski. Str. 200 i 2 nlb. (Wydawnictwo Polskie w Wilnie, Wilno 1994).
- FLORCZAK (Zbigniew). *Grypsy i reminiscencje*. Str. 250 i 2 nlb. (Wyd. ANEKS, Londyn 1995).
- VORAGINE (Jakub de). *Złota legenda w przekładzie Leopolda Staffa*. Str. 210 i 2 nlb. (Wyd. TAU, Wrocław 1994).
- Żydzi i judaizm. Praca zbiorowa. Str. 206. (Wyd. TAU, Wrocław 1994).
- RUDNIAŃSKI (Jarosław). *Miłość i nieskończoność*. Str. 106. (Wyd. SŁOWO, Berlin 1994).
- Listy z Warszawy. Korespondencja dyplomatyczna Marie-Louis Descrochesa i Jean Alexandre Bonneau z lat 1791-1792. Wstęp Henryk Kocój. Str. 200. (Katowice 1995).
- DAVIES (Norman). *Serce Europy*. Krótka historia Polski. Str. 414. (Wyd. ANEKS, Londyn 1995).
- JAKUBOWSKI (Mieczysław). *Uratowane dzieciństwo*. Lwowskie wspomnienia. Str. 64. (Wyd. Caldara House, Londyn 1995).
- NOWAK (Jerzy Robert). *Myśli o Polsce i Polakach*. Str. 340. (Wyd. Unia, Katowice 1994 - wyd. II).
- CHABROWSKI (Tadeusz). *Panny z wosku*. Wiersze. Str. 56. (Wyd. Norbertinum, Lublin 1994).
- LEWANDOWSKI (Edmund). *Charakter narodowy Polaków i innych*. Str. 204. (Wyd. ANEKS-Polityka; Londyn-Warszawa 1995).

## Wolna trybuna

### Uwagi o elicie i pospółstwie

Z mieszanymi uczuciami śledzę wypowiedzi na łamach *Kultury* (Florczak, Smecz, Berberysz i wielu innych) na temat wielkich wad naszej elity i chronicznych słabości *silent majority* czyli, jak to się kiedyś mówiło, tzw. pospółstwa.

Sytuację w Polsce obserwuję z najbardziej odległego od niej kraju – Australii, ale – paradoksalnie – jest to może jeden z najlepszych punktów obserwacyjnych. Dlaczego? Bo jest Australia chyba najbardziej autentycznie egalitarnym wśród krajów zachodniej demokracji, a warstwa elity jest tutaj zdecydowanie cienka. Wynika to zarówno z historyczno-społecznej struktury tego narodu w okresie jego powstawania i rozwoju, jak i z faktu, iż ogromna większość powojennej emigracji, która stanowi tutaj znaczną już część społeczeństwa, rekrutowała się także z klas o niskim wykształceniu.

Na tę strukturę nakładają się konsekwencje niskiego poziomu ogólnego nauczania w tym kraju (szkoła podstawowa i średnia). Rezultatem jest więc sytuacja, w której ta właśnie *silent majority*, poprzez dobrze funkcjonujący system demokracji (i obowiązkowe głosowanie!) decyduje o swych własnych losach i przyszłości kraju. Istnieje więc – choć z innych przyczyn – pewna analogia do sytuacji Polski: sprowadza się ona do poziomu i roli opinii publicznej, a więc tzw. miernoty.

Gwoli sprawiedliwego, choć tak skrótowego, scharakteryzowania społeczności Australii trzeba nadmienić, iż samo pojęcie (i przeciwstawienie) elity i milczącej większości w ogóle tu nie istnieje. Nie spotkałem chyba nigdy w prasie lub innych mediach tych określeń, nieczęsto nawet można je



znaleźć w opracowaniach akademickich. Egalitaryzm na co dzień wyraża się w tym, iż nie ma tu „lepszyc i gorszych” prac, kompleksów niższości i wyższości opartych na pozycji społecznej itd. Autentyczny szacunek dla każdego człowieka jest panującą normą współżycia. Niemniej jednak (a może właśnie dlatego) jest ta *silent majority* siłą napędową tego kraju.

Wszyscy chcielibyśmy, żeby w Polsce jak najszybciej było lepiej. Ale jednocześnie niemal wszyscy zgadzamy się, iż należymy do narodu narzekaczy. Trzeba o tym zawsze pamiętać czytając wypowiedzi naszych publicystów o tym „jak jest a jak być powinno”. Bo to trochę tak, jak z Dekalogiem: powinniśmy wszyscy być aniołami i chyba nawet chcielibyśmy, tyle że nie zawsze nam to wychodzi. Więc realne spojrzenie jak może być naprawdę jest nam chyba potrzebne.

Uwagi, które przedstawię, nie są ani żadną próbą syntezy, ani – tym bardziej – zarysem jakiejś „recepty”. Są to po prostu refleksje, których celem jest wprowadzenie do tak ważnego tematu elementu jakiejś równowagi.

### 1.

Zacznijmy więc od ogólnego stwierdzenia, które zabrzmiało jak truizm, że los każdego społeczeństwa, jego teraźniejszość i przyszłość, w znacznym stopniu kształtuje jego elita. Chodzi jednak właśnie o ten stopień.

Historycznie, kiedy społeczeństwa dzieliły się wyraźnie na klasy panujące i pozostałe (im podległe) zasadnicza, wielka rola elity była oczywista i nie wymaga omawiania.

Sytuacja w dzisiejszym świecie (mówię tu rzecz jasna tylko o krajach przemysłowo rozwiniętych) jest jednak zupełnie inna. Podstawowym elementem interesującej nas różnicy jest fakt powszechnego wykształcenia. Nie mam tu na myśli tylko wykształcenia formalnego (szkoła), ale poziom ogólnej wiedzy i informacji, które zdobywamy codziennie na skutek szalonego postępu łączności (telewizja, radio, prasa) oraz wielkiego ruchu ludzi, powszechnej *mobility*. Polska pod tym względem nie różni się od innych krajów.

Daje to *silent majority* o niebo lepszą niż kiedyś orientację we wszystkich sprawach ogólnych. Pozwala na bardziej krytyczną ocenę działalności wybranych przed-

stawicieli. Stwarza więc tym samym niejako bardziej ograniczoną potrzebę elity i mniejszą od niej zależność.

Nie możemy więc dziś patrzeć na opinię publiczną jako na wypowiedzi tzw. „szarej masy”, podatnej na wszelką manipulację, którą charakteryzuje ignorancja i głównie troska o własny interes. Nie jest to też jakaś próba doszukiwania się u pospólstwa przysłowiowego „zdrowego rozsądku”, który miałby dochodzić do głosu w procesach funkcjonowania demokracji.

Na Zachodzie fakt ten uznany jest choćby w ten sposób, że politycy przy każdej okazji i stale przemawiają publicznie do ludzi, tłumacząc się z każdego podjętego kroku i odpowiadając na każdą krytykę. Dobrze wiemy, że polska elita, po dojściu do władzy w 1989 r., chyba bardziej z braku pokory wobec szarego człowieka aniżeli braku doświadczenia, nie czyniła tego. Straciła więc w rezultacie w dużym stopniu kredyt zaufania narodu.

### 2.

W artykule „Teraz państwo” (*Kultura* 4/571) Zbigniew Florczak mówi o roli elity i lamentuje, że jej ona teraz w Polsce nie spełnia. Wszyscy ubolewamy nad istniejącą prywatą i „wojną na górze”, oraz nad naszymi znanymi „wadami narodowymi”, ale byłoby dobrze dojść do jakiejś równowagi w naszych ocenach.

Wiemy, że polska elita spełniła chwalebnie swą misję w narodzie w różnych okresach: w czasie okupacji, w tworzeniu ruchu „Solidarność”, a potem w czasie stanu wojennego. Ale czy jej rola w 20-leciu Drugiej Rzeczypospolitej rzeczywiście zasługuje na pełne uznanie? Przytacza Florczak znane pozytywne przykłady, ale nie mówi nic o odpowiedzialności tejże elity za sprawy, które nie przynoszą nam chwały, a w szczególności za klęskę wrześniową. I chodzi nie tyle o sam jej fakt (bo była nieunikniona), ale o jej szybkość i skalę. A pamiętamy przecież ogładane w 1939 roku hasło „Silni-Zwarcie-Gotowi” w każdej kronice filmowej. A rola naszej elity w nieudolności wielu posunięć Rządu Emigracyjnego w Londynie? A wreszcie jej postawa w kraju w czasach stalinowskiej „Hańby Domowej”?



3.

Wiemy wszyscy o stratach polskiej inteligencji w wyniku wojny i o zmianie struktury społecznej narodu w okresie PRL. Wielką rolę – jako wpływ elity – ma do spełnienia dobra publicystyka. Ale chyba niesłuszne byłoby twierdzenie, iż w Polsce jej mało lub że prawie jej nie ma. A *Tygodnik Powszechny* i ludzie wokół niego skupieni? A *Gazeta Wyborcza* – nie w swej roli dziennika, ale właśnie jako forum publicystyki? A *Rzeczpospolita*, *Polityka* i inne pisma? A Jacek Fedorowicz, Ks. Tischner, Adam Michnik, Ewa Łętowska, Władysław Bartoszewski, Jacek Kuroń, Tadeusz Zieliński i wielu, wielu innych?

Nie ma co ubolewać nad stratami, bo to nic nie pomoże. Ale czy ma rację Florczak twierdząc, że „Dwudziestolecie pozostanie dla nas, pod wieloma względami, bogatym odniesieniem”? Czy zamiast porównywać teraźniejszość z różną z konieczności przeszłością – nie słuszniej jest spojrzeć na inne społeczności, tak jak żyją i rozwijają się one dzisiaj?

4.

Nie chcę zabrzmieć jako jakiś „antyintelektualista”, bo takim nie jestem, mimo że żyję w egalitarnej Australii. Ale przyznać muszę, że z doświadczenia skłonny jestem patrzeć na wypowiedzi tzw. intelektualistów, a w szczególności na ich ocenę rzeczywistości z dużą dozą sceptycyzmu. Bo są oni na ogół, niejako z definicji, oderwani od życia. Dlatego też z sympatią czytam oświadczenie Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, że ilekroć mówi o intelektualistach bierze to słowo w cudzysłów.

Że boleją oni nad brakiem subwencji dla teatrów, wydawnictw literackich i innych form mecenatu państwa – to zrozumiałe. Bronią własnych (dobrze pojętych?) interesów. Ale kiedy intelektualista Smecz ze smutkiem (i z nostalgią!) konstatuje, że główną ambicją współczesnej polskiej młodzieży jest jak najszybciej się dorobić i mieć jak najwięcej, to chyba już lepiej, żeby tacy ludzie mieli jak najmniejszy wpływ na sposób myślenia współczesnego polskiego społeczeństwa. Bo, mimo obserwacji krajów Zachodu, nie rozumie ta elita, że właśnie taka powszechna motywacja, taki, w pełni zmaterializowany stosunek do życia jest dziś warunkiem

podniesienia Polski na inny poziom cywilizacyjny. Że w tych specyficznych warunkach opóźnienia lepiej, aby młodzi ludzie, stosując się do wymogów nowoczesnego wolnego rynku, uczyli się dobrze pracować i sprawnie kierować, aniżeli zużywali wiele czasu na spełnianie różnych tzw. potrzeb duchowych. Że niby można i jedno i drugie? To właśnie, w dużym stopniu, taka intelektualna mrzonka. Bo nie na tym etapie, nie w okresie dorobku, kiedy wszystkie niemal siły większości skupione być muszą na tym jednym materialnym celu. A że to ma swoje słabe strony? Z pewnością, ale doświadczenie uczy, że jest to jedyna droga. Widać zresztą, że te nowe ambicje szarej masy przynoszą konkretne rezultaty. Mimo że tak wiele pozostaje do zrobienia, gospodarka polska posuwa się do przodu. Nie można zresztą twierdzić, że dynamika wolnego rynku i zjawisko konsumeryzmu pociągają za sobą zanikanie kultury. Zawsze znajdzie się mniejszość, której życie toczy się w tym nurcie i która o to zadba.

5.

Nasi krytycy rodzimej *silent majority* ubolewają, że poszczególne jej grupy kierują się – miast dobrem „wyższego rzędu” – własnymi interesami. A czymże mają się kierować? Pod tym względem nie różnią się wcale od społeczeństw innych, okrzepłych już i doświadczonych demokracji. Szkoda, iż polscy chłopci domagają się ochrony i subwencji dla swej nieracjonalnej i niewydajnej gospodarki. Trzeba ich stale przekonywać, że nie mają racji i – wykorzystując momenty koniunktury politycznej – przeprowadzać posunięcia ekonomiczne uwzględniające szersze i bardziej długofalowe interesy kraju. Jest to proces żmudny i wymagający czasu. Ale – jak widać na przykładzie farmerów w Zachodniej Europie – obrona własnych (choćby wąsko pojętych) interesów jest rzeczą normalną.

Podobnie jest w demokracji zjawiskiem normalnym, że aspirujący do wyboru lub już wybrany polityk stara się przypodobać wyborcom. Jeśli zaś czyni to w sposób prymitywny czy pozbawiony rozsądku, to jest tam miejsce dla innego polityka, który będzie lepszy i zdobędzie w końcu poparcie większej części danej grupy elektoratu. Nie można jednak z samego faktu kokietowania wyborców wysuwać



nikomu zarzutów, bez względu na niewybredne środki, które mogą temu towarzyszyć. Byle mieściły się one w regułach gry i nie przybierały form korupcji, itp. Istotnymi wymogami, ba – żadaniami, które można i należy wysuwać wobec polityka są: kompetencja i zasada odpowiedzialności. Ta ostatnia wyraża się w informowaniu wyborców i rozliczaniu się wobec nich.

## 6.

Na terenie Australii obserwowaliśmy wielokrotnie, że wbrew kampaniom polityków i potężnych mediów, owa milcząca większość, nowoczesne pospólstwo, drogą plebiscytu, odpowiedzi na pytania sondażu lub głosami w wyborach wyraziła opinię (czy podjęła decyzję) na pierwszy rzut oka nieraz zaskakującą lub niemal urągającą zdrowemu rozsądkowi. Czas jednak zwykle wykazał, że w danych okolicznościach była to postawa logiczna i słuszna.

Brak potrzebnego doświadczenia funkcjonowania demokracji oraz świadomości politycznej w Polsce nie ulega kwestii. Ale czy z perspektywy i z pozycji pokory wobec naszej „szarej masy” nie musimy dziś przyznać, że było zrozumiałe i słuszne, iż po zawodzie jaki sprawiła ludziom ekipa Mazowieckiego, tak wielu zdecydowało się na absencję w wyborach? Bo nie widzieli żadnych istotnych opcji. W jaki więc sposób demonstrować mieli swój punkt widzenia? A ci, którzy głosowali, udzielili poparcia skompromitowanym przeszłością, bo to oni właśnie obiecywali lepiej dbać o ich interesy.

Że była to postawa „niewłaściwa”, że należało tworzyć nowe, lepsze partie, budować prawdziwe społeczeństwo obywatelskie – to wszystko prawda. Tyle, że na to potrzeba nie tylko rozumu, ale i czasu. Muszą okrzepnąć partie polityczne. W ich łonie musi wykształcić się i przejść próbę życia elita polityczna. Istotą tych refleksji jest logika tej dzisiejszej (wykształconej) szarej masy. I to właśnie jest ważne w kontekście naszych uwag o elicie i pospólstwie.

## 7.

Słusznie ubolewamy nad słabą frekwencją wyborczą w Polsce. Tłumaczymy to brakiem politycznego doświadczenia

i uświadomienia społeczeństwa w naszej młodej demokracji. Ale jak wyjaśnić podobne zjawisko w największej demokracji Zachodu, w Stanach Zjednoczonych, gdzie udział głosujących na ogół niewiele przekracza 50%? Nie mam pod ręką liczb z innych krajów, ale jestem przekonany, że nie będzie trudności z przytoczeniem dalszych tego rodzaju przykładów.

Mimo różnic pomiędzy poszczególnymi krajami wspólny wydaje się brak zaufania do polityków. Jest to zjawisko powszechne i nie miejsce tu na analizę tego stanu rzeczy. Właściwy to jednak moment by zauważyć, że wielkie skandale finansowe nie są bynajmniej monopolem sześćdziesięcioletniej demokracji polskiej. Że nas na nie „nie stać”, w porównaniu do innych krajów, to z pewnością prawda. Że wiele z nich pozostaje nie wyjaśnionych – to niewątpliwy dowód słabości naszego nowego państwa oraz aparatu wymiaru sprawiedliwości. To samo można powiedzieć o korupcji, ale pamiętajmy, że pełno jej przykładów znaleźć można także w krajach zachodnich, w Stanach Zjednoczonych, we Włoszech, we Francji, w Japonii, w Australii itd.

Kiedy sądownictwo w Polsce, po dziesięcioleciach zależności od komunistycznych władców, osiągnie w swej praktyce pełną niezawisłość? Trudno powiedzieć, są to z pewnością procesy, które wymagają czasu. Ale chyba jakąś pociechę, jakimś ważnym wskaźnikiem zmian jest wiadomość, że syn prezydenta Wałęsy zostaje skazany na więzienie za spowodowanie po pijanemu tragicznego wypadku drogowego.

## 8.

Narzekamy, iż ekipa rządząca w dużej mierze składa się z miernoty. Bo tego rodzaju ludzie wysuwani są w procesie demokratycznym przez dzisiejsze pospólstwo. Ale warto pamiętać, że nie jest to bynajmniej tylko polskie zjawisko. W okrzepłej demokracji australijskiej, opartej o starą brytyjską tradycję, można zaobserwować to samo. Obecny premier rządu federalnego, a poprzednio wieloletni minister skarbu nie skończył nawet szkoły średniej, którą opuścił mając lat piętnaście. Niewielu spośród jego ekipy można uznać za jednostki wyróżniające się czy wybitne. Wszyscy wiemy, że publikowane w prasie listy bestsellerów nie składają się z



bynajmniej najlepszych książek, lecz z tych, które czyta *silent majority*, a więc których sprzedaje się najwięcej. Podobnie milcząca większość, ta współczesna miernota, wyłania przywódców na swą własną miarę.

Ale samo zjawisko nie przeszkadza bynajmniej w zupełnie niezłym funkcjonowaniu demokracji. Wynika to z faktu, iż ten system rządzenia wytworzył już pewne powszechne instytucje, wymogi, zwyczaje i reguły gry. To one właśnie narzucają określone procesy postępowania. Poza tym, na zapleczu tych często miernych polityków znajdują się z konieczności (bo wynika to z samego stopnia skomplikowania współczesnego świata) zastępy specjalistów. *Nolens volens* muszą być oni jakoś włączeni do podejmowanych decyzji w każdej dziedzinie.

Po II wojnie światowej zachodnia demokracja znacznie okrzepła i wykazała się postępem i wizją. Narody Zjednoczone (tak jak funkcjonują one po zakończeniu zimnej wojny), jednocząca się Europa, koncepcja praw człowieka, obniżanie barier celnych i deregulacja handlu światowego – to procesy już istniejące. Wszystkie demokratyczne kraje, te stare i te powstałe niedawno, są więc ich podmiotami, niezależnie od rangi i wizji przywódców, których wysunął ich elektorat. I muszą się stosować do wynikających z nich reguł współżycia.

9.

Na co dzień barometrem do badania opinii publicznej w krajach demokratycznych są sondaże. Prowadzone są one regularnie dla porównania popularności czołowych polityków, w miarę rozwoju wypadków, a także specjalnie w momentach szczególnie ważnych lub delikatnych dla zorientowania się w opinii *silent majority*.

Jest zjawiskiem normalnym, że ta metoda trzymania ręki na pulsie społecznym stosowana jest także i w Polsce. Nie jest to tylko sposób na szybkie (i dla polityków tylko cyniczne) dostosowanie się do nastroju chwili większości społeczeństwa. Jest to także wyraz zrozumienia i uznania, że dzisiejsza opinia publiczna zwykle posiada wyrobiony pogląd na większość istotnych problemów kraju i świata. Daleki jestem od próby gloryfikowania tzw. szarego człowieka, ale z perspektywy

musimy przyznać, iż wyniki sondaży na ogół wykazują logikę i rzadko – w danym kontekście – stanowią zupełne zaskoczenie.

Jeśli tak jest, to powinno to skłaniać do pokory wobec tego „nowoczesnego pospólstwa”, tak rodzimego jak obcego z innych uprzemysłowionych krajów.

10.

W Australii, na ekranie doskonałej wielokulturowej stacji telewizyjnej SBS, oglądamy co tydzień półgodzinną audycję z Warszawy pt. „Oto Polska”. Jest to program złożony z codziennych wiadomości telewizji polskiej, niekiedy urozmaicony krótkimi specjalnymi wywiadami. Przegląd obejmuje sprawy polityczne, gospodarcze, kulturalne i inne i stara się przedstawić dzisiejszą polską rzeczywistość w całej jej różnorodności. Choć z konieczności zwięzły, program jest niezależny i zrównoważony i oglądamy go regularnie z oczywistym zainteresowaniem. Na ekranie widzimy m.in. naszych rodzimych polityków, tak jak zachowują i wypowiadają się na forum publicznym. Wiemy o języku, jaki nieraz stosują ci ludzie, jesteśmy świadomi znanej niezręczności wypowiedzi Prymasa Glempa, nie mówiąc już o przysłowiowych woltach werbalnych Prezydenta. Ale w sumie trzeba stwierdzić, że nie różni się to aż tak bardzo od tutejszej australijskiej scenerii i jej protagonistów. Co więcej: z roku na rok widzimy pod tym względem u naszych „mężów stanu” wyraźny postęp.

Każdy kto regularnie czyta w *Kulturze* doskonałe komentarze Wolickiego musi, choćby był nie wiem jakim pesymistą, także zauważyć to samo. A nie zapominajmy, że dla tych ludzi prawo dziennikarza czy reportera zadania osobie publicznej każdego pytania jest rzeczą zupełnie nową. Tak samo, jak związana z tym konieczność udzielenia publicznej odpowiedzi. Znany socjolog, Polak, profesor jednego z australijskich uniwersytetów, z którym rozmawiałem na tematy tu poruszone, wyraził przekonanie, że w ciągu 5-10 lat nastąpi w Polsce normalizacja politycznej selekcji i, co za tym idzie, sanacja elit politycznych.

Na zakończenie trzeba podkreślić, że wszystkie te uwagi nie mają bynajmniej na celu jakiejś gloryfikacji przeciętności. Trzeba się cieszyć kiedy na arenie politycznej, krajowej lub



międzynarodowej, pojawia się wybitna jednostka. Ale, jak wiemy, nieczęsto to się zdarza. Nie jest to jednak warunek pomyślnego rozwoju demokracji i właśnie z tego punktu widzenia nasze tradycyjne rozróżnienie na elitę i pospólstwo winno ulec rewizji. Wymaga tego poziom współczesnej *silent majority*. Nie oznacza to oczywiście, że opinii publicznej należy bezgranicznie ufać. Trzeba także rozumieć jej dynamikę, szczególnie istotną w czasach kryzysu czy niepewności.

Przedstawione tu refleksje nie oznaczają negocjowania czy bagatelizowania problemów, z którymi boryka się młoda demokracja Trzeciej Rzeczypospolitej. Prywata, korupcja, słabość partii politycznych, brak kultury politycznej, słabe zaangażowanie społeczeństwa w sprawy publiczne – wszystko to jest faktem. Są to jednak zjawiska podlegające zmianom, które – choć może często zbyt powoli – postępują jednak we właściwym kierunku. Trzeba też oceniać je na tle podobnych zagadnień w innych, bardziej ustabilizowanych krajach.

Sydney, maj 1995 r.

Jerzy BONIECKI

## WAWEL

### PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne  
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

## POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

### 29.4.95

Zmarł w Warszawie w wieku 82 lat Stanisław Gajewski, b. ambasador PRL w Paryżu.

### 6.5.95

W Gdańsku odbyło się walne zgromadzenie *Amnesty International* w Polsce. Prezesem została Ewa Weber ze Szczecina. Wybrano jednego polskiego delegata na międzynarodowy zjazd *Amnesty International* (ICN), który odbędzie się w sierpniu br. w Lublanie. Będzie on miał statut obserwatora bez prawa głosu, gdyż polska organizacja *Amnesty International* ubiega się dopiero o uzyskanie statusu narodowej sekcji *AI*. Polskie *Amnesty International* działa w kraju od 5 lat i skupia około 700 członków.

### 9.5.95

W ambasadzie Rosji w Warszawie z okazji 50-ej rocznicy zakończenia II wojny światowej odbyła się uroczystość nadania medali jubileuszowych 30-osobowej grupie polskich kombatantów, uczestników walk na froncie wschodnim, z gen. Wojciechem Jarużelskim na czele. Po uroczystości przedstawiciele ambasad rosyjskiej, białoruskiej i ukraińskiej oraz delegacji polskich kombatantów złożyli wieńce pod Mauzoleum Żołnierzy Sowieckich w Warszawie. Ponadto medale otrzymało 20 mieszkańców województwa szczecińskiego, b. żołnierzy Armii Czerwonej i ok. 700 mieszkańców województw szczecińskiego, poznańskiego, koszalińskiego, pilskiego, gorzowskiego i zielonogórskiego. Są to żołnierze, którzy walczyli w Moskwie, Leningradzie, pod Stalingradem, na Łuku Kurskim oraz biorący udział w operacji berlińskiej.

### 16.5.95.

W Łodzi powstał Instytut Studiów Międzynarodowych, którego dyrektorem został prof. Waldemar Michowicz. Studenci będą mieli możliwość specjalizacji w m.in. amerykanistyce, niemcoznawstwie i tematyce wschodniej.

### 17.5.95

Według danych Centralnego Urzędu Planowania w ubiegłym roku z państw sąsiadujących na wschodzie najliczniej Polskę odwiedzali obywatele Ukrainy – 3,2 mln (wzrost o 37% w stosunku do 1993 r.). Z Federacji Rosyjskiej – 2,4 mln (wzrost o 55%), z Białorusi – 2,2 mln (wzrost o 30%), a z Litwy – 1,1 mln (spadek o 15%). Zdecydowanie przeważa przywóz dewiz. Najczęściej Rosjanie kupują w Polsce artykuły żywnościowe, tekstylia, odzież i obuwie. Ich zakupy wynoszą ponad 80% wartości polskiego eksportu do Federacji Rosyjskiej.



## 22.5.95

W Katolickim Uniwersytecie Lubelskim miało miejsce dwudniowe sympozjum poświęcone Polakom w Mołdawii. Materiały z sesji zostaną wydane drukiem przez Instytut Badań nad Polonią i Duszpasterstwem Polonijnym KUL.

## 24.5.95

Siergiej Kowalow, b. rzecznik praw obywatelskich w Rosji, został obywatelem honorowym miasta Krakowa. Honorowymi obywatelami Krakowa są m.in. Sławomir Mrożek, Lech Wałęsa, Margaret Thatcher, Czesław Miłosz, George Bush i Ronald Reagan. Godność tę odebrano marszałkowi Iwanowi Koniewowi, Józefowi Cyrankiewiczowi, Ludwikowi Svobodzie, Michałowi Roli-Żymierskiemu i Henrykowi Jabłońskiemu. Ciekawe, kto będzie następny. ■ Ukazało się polskie wydanie *Reader's Digest*. Redaktorem naczelnym tego wydania jest Andrzej Krajewski. Pismo to ukazuje się w 18 językach na całym świecie.

## 27.5.95

Zmarła w Warszawie, wieku 67 lat, Janina Zakrzewska, profesor w Instytucie Nauk Prawnych PAN-u, sędzia Trybunału Konstytucyjnego.

## 30.5.95

W Wyższej Szkole Pedagogicznej w Rzeszowie miał miejsce gościnny wykład prof. Floriana Śmieji o londyńskiej grupie *Kontynenty*. Następnie w Domu Polonii odbyło się spotkanie autorskie, na którym p. Śmieja przedstawił swoje wiersze i przekłady.

## 4.6.95

W konferencji „Od komunizmu do demokracji” w Krakowie wzięli udział m.in. Siergiej Kowalow z Rosji, Catherine Lalumière z Francji, Jan Čarnogursky, b. premier Słowacji, Czesław Okińczyc z Wilna, Zianon Paźniak z Białorusi, Władimir Czornowil z Ukrainy. ■ Prezydent Białorusi, Łukaszienka, odwołał Georgija Taraziewicza ze stanowiska ambasadora Białorusi w Polsce. Ambasador Taraziewicz reprezentował poglądy rozmiłujące się z prezydenckimi, a przede wszystkim stał na stanowisku niepodległości Białorusi. Dymisja Taraziewicza jest początkiem serii zmian kadrowych. ■ W Warszawie zarejestrowane zostało na mocy decyzji Sądu Wojewódzkiego Stowarzyszenie Pracowników Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Prezesem honorowym stowarzyszenia jest Jan Nowak-Jeziorański, zaś do rady nadzorczej weszli: Stefan Bratkowski, Andrzej Martin-Chomiński, Włada Majewska, Józef Ptacek, Włodzimierz Odojewski. Sekretarzem wykonawczym stowarzyszenia jest Alina Grabowska. Natomiast w Monachium powstało Stowarzyszenie Byłych Pracowników Radia Wolna Europa. Zostało ono zarejestrowane dnia 18.04.1995 roku w miejscowym Sądzie Okręgowym pod Nr. 15021. Członkami

stowarzyszenia mogą być byli pracownicy RWE wszystkich narodowości. Celem stowarzyszenia jest działanie na rzecz rozwinięcia stosunków między krajami byłego Bloku Wschodniego a krajami należącymi do Unii Europejskiej oraz podtrzymywanie kontaktów między byłymi pracownikami RWE zamieszkałymi w różnych krajach świata. Adres kontaktowy: c/o Włodzimierz Rogoyski, Franz-Wolter-Str. 56, D-81925 München.

## 10.6.95

Tegoroczne nagrody historyczne *Polityki* otrzymali: Jerzy Giedroyc, redaktor *Zeszytów Historycznych*, Daria Nałęcz za „Sen o władzy. Inteligencja wobec niepodległości” (PIW), Franciszek Ryszka za „Pamiętnik inteligenta. Dojrzewanie” (BGW), nagrodę za debiut Sławomir M. Nowinowski za monografię „Prezydent Ignacy Mościcki” (BGW). ■ Tegoroczną nagrodę Fundacji Kultury Polskiej „za promocję polskiej literatury na świecie” otrzymał izraelski tłumacz Dawid Weinfeld. Przełożył on m.in. utwory Czesława Miłosza, Zbigniewa Herberta, Ryszarda Kapuścińskiego, Juliana Przybosa i Wisławy Szymborskiej. ■ Nagrodę Polskiego PEN-Clubu otrzymał w roku bieżącym Noel Clark za przekład na język angielski trzech sztuk Aleksandra Fredry: „Zemsty”, „Ślubów panieńskich” i „Dożywocie”. Dwie pierwsze z nich były podstawą radiowej inscenizacji przez BBC.

## ZACHÓD – EMIGRACJA

## 25.4.95

Zmarł w Stanach Zjednoczonych w wieku 92 lat prof. Lew Szankowskyj, wybitny działacz nacjonalistyczny ukraiński.

## 13.5.95

W Melbourne, w ramach programu Drugiego Zjazdu Stowarzyszenia Ukraińskich Studiów w Australii, miała miejsce „dyskusja okrągłego stołu” na temat „Ukraina i Polska: dziś i jutro”. W dyskusji tej, zorganizowanej z inicjatywy prof. A. Ehrenkreutza wspólnie z Australijskim Instytutem Spraw Polskich, wzięli udział ze strony polskiej prof. Jerzy Zubrzycki (Australian National University) i prof. Jan Pakulski (University of Tasmania), a ze strony ukraińskiej dr. Marko Bojcun (University of North London), akademik Jarosław Issayevech (Academy of Sciences of Ukraine) i dr. Roxana Kharczuk (University of Kiev). Całości przewodniczyli na zmianę prof. Zubrzycki i prof. Marko Pavlyshyn (Monash University). Wszyscy dyskutanci byli zgodni co do konieczności politycznego i gospodarczego współzycia obu



państw, jako *sine qua non* warunku zachowania ich niepodległości wobec ewentualnych imperialistycznych zakusów Rosji.

28.05.95

Pani Janina Ochojska, prezes Polskiej Akcji Humanitarnej, otrzymała nagrodę katolickiej organizacji pokojowej Pax Christi w Asyżu. W ciągu 2,5 roku działalności Polska Akcja Humanitarna przesłała 16 konwojów do krajów b. Jugosławii, Kazachstanu i Czeczenii.

29.5.95

W Bibliotece Polskiej miał miejsce odczyt p. Janine Ponty, profesora historii współczesnej na Uniwersytecie Franche-Comté, która przedstawiła swoją książkę „Polacy w północnej Francji albo pamięć o osiedlach górniczych”.

30.5.95.

Podając w zeszłym numerze *Kultury* (Nr 6/573) informację o tegorocznych nagrodach sponsorowanych przez Instytut Józefa Piłsudskiego w Ameryce, pominęliśmy p. Halinę Stępień, która otrzymała nagrodę z Funduszu Zofii i Stanisława Jordanowskich – za popularyzację i naukowe opracowania na temat malarzy polskich „szkoły monachijskiej”. Za niedopatrzenie serdecznie przepraszamy laureatkę.

1.6.95

Znana organizacja *Aide à l'Eglise en Détresse* (patrz *Kultura* Nr 1/2 b.r.) wydała w ub. roku na pomoc dla krajów wschodniej Europy 25 mln dolarów, co stanowi koło 40% ich wpływów. Udzielono pomocy: Białoruś – 670.566 dolarów, Estonia – 10.708 dol., Węgry – 2.644.310 dol., Łotwa – 208.855 dol., Litwa – 628.097 dol., Polska – 5.935.955 dol., Czechy – 1.548.786 dol., Rumunia – 1.491.154 dol., Rosja – 3.817.746 dol., Słowacja – 1.885.802 dol., Ukraina – 2.986.193 dol. Organizacja *Aide à l'Eglise en Détresse* największą pomoc otrzymuje z Niemiec, Francji i Szwajcarii.

12.6.95

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się odczyt prof. Sławomira Kalemki z Instytutu Historii i Archiwistyki Uniwersytetu w Toruniu na temat „Idee przewodnie polskiej myśli politycznej epoki romantyzmu”.

14.6.95

W Bibliotece Polskiej staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego i Oddziału Żołnierzy AK we Francji odbył się odczyt prof. Tadeusza Wyrwy na temat „Z dziejów poakowskiego podziemia w 50-tą rocznicę utworzenia WiN-u”. ■ Edmund Neustein, właściciel księgarni polskiej w Tel-Avivie, został odznaczony odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej” przy-

znaną mu przez Ministra Kultury i Sztuki R.P. Przy wręczaniu mu tej odznaki *chargé d'affaires* Ambasady R.P. w Izraelu powiedział, że chociaż stosunki między Polską a Izraelem były w swoim czasie zerwane, to Księgarnia Polska w Tel-Avivie nigdy nie przestała działać.

16.6.95

W Centre du Dialogue w Paryżu Dominik Morawski z Rzymu wygłosił odczyt „Spojrzenie na sprawy polskie z perspektywy Wiecznego Miasta”. Dalszymi odczytami przewidzianymi w Centre du Dialogue są: odczyt Jerzego Mikke „Kryzys patriotyzmu, kryzys polskości dzisiaj (potrzeba wznowienia Polski)”, oraz 30.6. książd bp Kazimierz Pieronek, sekretarz Episkopatu Polski będzie mówił na temat „Relacja Kościół-państwo (czy powrót komunizmu)”.

19.6.95

W Instytucie Polskim w Paryżu odbyło się spotkanie z posłem Janem Lityńskim na temat „Polska przed wyborami prezydenckimi – nadzieje i zagrożenia”.

2.7.95

W Osny pod Paryżem odbył się 50 Zjazd Katolicki w 200 rocznicę urodzin świętego Wincentego Pallottiego. Zjazdowi przewodniczył ks. bp Tadeusz Pieronek, sekretarz generalny Episkopatu Polski. Udział wzięli: ks. bp Thierry Jordan, ordynariusz diecezji Pontoise oraz ks. prałat Stanisław Jeż, rektor Polskiej Misji Katolickiej we Francji.

## WYKŁAD O WOJNIE POLSKO-SOWIECKIEJ 1919-1921

17 maja br., ambasador Polski w Paryżu, Jerzy Łukaszewski, wygłosił wykład o przyczynach i następstwach wojny polsko-sowieckiej w latach 1919-1921. Wypełnionemu audytorium, gdzie były obecne liczne osobistości francuskie, referent przypomniał na wstępie wciąż jeszcze obiegową w historiografii zachodniej opinię o tej wojnie jako spowodowanej brakiem realizmu przywódców odrodzonej Polski, na czele z Piłsudskim, którzy rzekomo dążyli do odzyskania granic z 1772 r. i do obalenia bolszewizmu w Rosji. Opinii tej przeciwstawił on ujęcie wojny z 1920 r. jako starcia dwóch federalizmów, sowieckiego i polskiego. Pierwszy chciał skupić kraje Europy wschodniej wokół Rosji, by móc przenieść rewolucję na zachód. Drugi próbował umożliwić zgodne współżycie wielu narodowości pod władzą Rzeczypospolitej, a ubocznie – powstrzymać ekspansję bolszewizmu.

Amb. Łukaszewski przeszedł następnie do centralnego konfliktu polskiego życia politycznego po pierwszej wojnie światowej, który przeciwstawiał nacjonalizm federalizmowi, narodową



demokrację – socjalistom, Dmowskiego – Piłsudskiemu, oraz do otoczenia międzynarodowego Polski, poświęcając wiele uwagi stosunkom narodowościowym i społecznym na Kresach wschodnich, a zwłaszcza – na Ukrainie, i dowodząc, że porozumienia polityczne i wojskowe zawarte w kwietniu 1920 przez Polskę z Ukrainą Petlury były w owym czasie w pełni uzasadnione. Ostatnia część wykładu omawiała przebieg działań wojennych i okoliczności w jakich doszło do przywrócenia pokoju.

Zdaniem referenta chłopstwo ukraińskie nie opowiedziało się masowo po stronie Petlury, co podważyło samą możliwość federacji polsko-ukraińskiej, a zmęczenie spowodowane wojną doprowadziło w Polsce do przesunięcia się opinii na prawo. Traktat ryski zawarli politycy należący do narodowej demokracji. Polska porzuciła swych sojuszników na Ukrainie i Białorusi, i uznała włączenie obu tych krajów do państwa sowieckiego. (Piłsudski, w poczuciu winy, poprosił oficerów Petlury internowanych w Polsce o przebaczenie). Idea federalistyczna poniosła klęskę. Zwyciężył nacjonalizm, a przed Związkiem Sowieckim otwarła się droga ku środkowi Europy i ku Bałkanom.

## Kronika kanadyjska

Termin referendum w Quebecu został odroczony do jesieni, mimo zapewnień premiera Parizeau, że odbędzie się w czerwcu br. Główny przywódca separatystów, Lucien Bouchard, szef *Bloc Quebecois*, uważa, że społeczeństwo nie zostało dostatecznie przygotowane, uświadomione. Należy zmienić sformułowania odnośnie suwerenności. Wypowiada się za ograniczoną suwerennością Quebecu, który jako państwo pozostałby w związku z Kanadą, a nawet byłaby możliwość wspólnych instytucji. Prasa anglojęzyczna oraz wybitni posłowie nie wykluczają, iż do referendum nie dojdzie. ■ Dyrekcja Funduszu Wieczystego Millenium rozdzieliła w ostatnim okresie sprawozdawczym na potrzeby Polonii Dol. c. 181.107, organizacje polonijne otrzymały Dol. c. 64.950. W okresie swojej 28-letniej działalności Fundusz wydał: na pomoc organizacjom – Dol. c. 913.228., na szkoły, instytucje naukowe – Dol. c. 712.188., na biblioteki i publikacje – Dol. c. 145.740., na stypendia studentom – Dol. c. 519.494., na kapitał odpisano Dol. c. 40.000 a kosztyjazdów i administracja wyniosły Dol. c. 161.551. Na walnym zebraniu kuratorów stwierdzono, że stypendyści – mimo pisemnych zobowiązań – po ukończeniu studiów nie zwracają otrzymanej pomocy. ■ W gmachu *Robarts Library* – Biblioteki

Uniwersytetu w Toronto – 30 marca br. otwarto Ośrodek Badań, Studiów i Informacji o Rosji i Europie Wschodniej im. Petro Jacyka, milionera Ukraińca, hojnego donatora na studia w zakresie ukrainoznawstwa Uniwersytetu w Toronto. Na nowy ośrodek przeznaczył on Dol. c. 250.000. ■ Lektorat języka polskiego na Uniwersytecie McMaster w Hamilton utrzymuje się dzięki pomocy finansowej Polonii, akcji prowadzonej przez okręg hamiltonski Kongresu. Ostatni spis dotacji za okres 1.08.1992-3.11.1994 r. wynosi Dol. c. 16.830. – w tym Dol. c. 10.000 – dotacja Fundacji Millenium i Dol. c. 1.000 – Fundacji A. Mickiewicza. ■ *Uchodźcy z Polski*. Ottawski oddział Centralnej Komisji do Spraw Uchodźców zakończył 8 maja br. rozpatrywanie sprawy czteroosobowej rodziny Cyganów z Polski. On lat 49, ona – 43, Polka, która wyszła za mąż za Cygana i rodzina się jej wyrzekła, synowie w wieku 19 i 10 lat. Wylądowali w Ottawie w październiku 1994 r., zgłaszając urzędnikowi imigracyjnemu prośbę o status uchodźców. Po przebadaniu złożonych dokumentów, przesłuchaniu petentów przez pracowników imigracyjnych, odbyła się rozprawa przed dwuosobowym trybunałem. Petent, przedstawiając swoje dzieje, ilustrował dyskryminację Cyganów, mówił że Polacy ubolewali, iż hitlerowcy nie dokończyli likwidacji Cyganów; syn mógł ukończyć tylko szkołę podstawową, pracował wszędzie dorywczo, nikt nie chciał go zatrudnić na stałe. Rodzina z trudem zaspokajała swoje potrzeby, żyjąc oczywiście w środowisku cygańskim. Syn zeznał, że w szkole znęcano się nad nim, bito go. Matka zeznała, że wszystkie wezwania o pomoc do policji były bagatelizowane, bezskuteczne były apele do władz lokalnych. W tych warunkach zdecydowali się na emigrację. Odmówiono im jednak wydania paszportów, wobec czego przez przyjaciół – starszych w społeczności cygańskiej – postarali się o fałszywe. Kiedy przewodniczący Komisji, Ian Kagedan, ogłosił że uznano ich za uchodźców, że mają prawo pobytu w Kanadzie i zostaną obywatelami tego kraju – rozplakali się: „Wreszcie jesteśmy kimś” – powiedział. Obszerłą relację o tej sprawie – bez ujawnienia nazwisk – zamieścił dziennik *Globe & Mail* z 20 maja br.

B.H.

## Kronika londyńska

Londyński *Dziennik Polski* zamieścił 24 maja br. artykuł redakcyjny zatytułowany „*Dziennik Polski* u progu przemian”. Tytuł ożywił mi wyobraźnię. Nareszcie *Dziennik* stanie się nowoczesną gazetą, pisaną dobrą polszczyzną. Koniec z depeszami regularnie spóźnionymi o dobę. Koniec z poniedziałkową edycją, zawierającą



wiadomości z czwartku i piątku. Koniec z latynoską filozofią *manana*, która dopuszcza drukowanie sprawozdania z opłatka w polskiej parafii w B. na miesiąc przed Wielkanocą. Nowa szata graficzna, na środkowych stronach zamiast nudnych, grafomańskich sprawozdań z polonijnej prowincji, inteligentne artykuły nowych współpracowników, tworzące adekwatne tło dla przeglądu prasy krajowej „Prasowitego”. Wyobraźnia zaalarmowana tytułem „Dziennik Polski u progu przemian” wyprowadziłaby mnie pewnie jeszcze dalej na manowce *wishful thinking*, ale zacząłem czytać tekst artykułu, który mimo sentymentalno-historycznych meandrów nie pozostawia wątpliwości. *Dziennik* ma kłopoty finansowe i bez pomocy upadnie. Przemiany ogłoszone w tytule sprowadzają się do tego, że wydawca gazety, Polska Fundacja Kulturalna, zdecydował się zerwać z dotychczasową praktyką i w obliczu trudności zaapelować do emigracji o wsparcie. Dlaczego emigracja miałaby sięgać do kieszeni? Ano dlatego, że jak piszą autorzy artykułu, gdyby zabrakło *Dziennika* „byłby to koniec emigracji, takiej, jaką znamy”. A jakaż jest ta emigracja Anno Domini 1995. Po spełnieniu swej historycznej roli uwiecznionej przekazaniem insygniów władzy, emigracja niepodległościowa przeszła na dobrze zasłużoną emeryturę. Jest to wszakże pozycja emeryta, który w razie potrzeby skutecznie aktywizuje zapasy energii. Przykładem sprawa niedoszłego konsula Drozda, przeciw nominacji którego zaprotestowało w kwietniu Zjednoczenie Polskie. Minister spraw zagranicznych Władysław Bartoszewski, który na początku maja przebywał w Londynie w związku z 50 rocznicą zwycięstwa nad Niemcami, powiedział na spotkaniu z emigracyjną elitą, że skoro polski Londyn nie życzy sobie Drozda, to nie będzie on konsulem, dopóki Bartoszewski będzie ministrem. Pomimo zachowanych zdolności działania, polityczna emerytura londyńskiej emigracji naturalną koleją rzeczy zmniejsza jej potrzeby, a co ważniejsze możliwości finansowe. Brutalna prawda jest taka, że emigracji nie stać na utrzymywanie dwóch gazet *Dziennika Polskiego* i *Tygodnia Polskiego*. Podtrzymywanie finansowe *Dziennika*, gazety jakościowo niereformowalnej przy obecnym składzie redakcji, metodach pracy i mikroskopijnym nakładzie, byłoby w gruncie rzeczy wyrzucaniem pieniędzy w błoto. Wszystkie dostępne środki należałoby skoncentrować na inwestowaniu w rozwój *Tygodnia* – pisma, jak na emigracyjne warunki, doskonale jednoosobowo (Sic!) redagowanego od kilku lat przez Krystynę Rees. Argument, że za podtrzymaniem *Dziennika* przemawiają względy polityczne, jest chowaniem głowy w piasek. *Dziennik* – z dotacjami czy bez – nieuchronnie czeka bowiem los zamkniętego pod koniec lat 80-tych we Francji *Narodowca*. Wydawca *Tygodnia* i *Dziennika* – Polska Fundacja Kulturalna – otrzymała znaczną pożyczkę z *Polonia Aid Foundation Trust*. Nieprzemysłane roztrwonienie tych środków na *life support machine* dla *Dziennika* może stać się przyczyną upadku obu gazet. I dopiero wtedy – że odwołam się do mocno przedramatyzowanego stwierdzenia autorów artykułu redakcyjnego w *DP* – mógłby to być koniec emigracji, takiej, jaką ją znamy.

Jakub STRZELECKI

## Kronika norweska

W Norwegii pojawili się neonaziści. Jest ich niewielu, bo około 200-300 osób. Zorganizowani są w małych ugrupowaniach. Są młodzi 16-22-letni, ale widoczni i coraz bardziej groźni. Mają też licznych sympatyków, których liczbę trudno jest określić. Napływ imigrantów głównie z krajów azjatyckich i afrykańskich, ale też i z byłej Jugosławii spowodował niechęć do przybyszów. Obciążają oni kieszeń pracowitego podatnika. W związku z bezrobociem sięgającym blisko 10% trudno jest, szczególnie dla obcokrajowców o pracę. W statystykach przestępstw figurują emigranci o wiele częściej, niżby to wynikało z ich procentowego udziału w społeczeństwie. O młodzieżowych bandach wietnamskich, filipińskich czy pakistańskich można bardzo często przeczytać w prasie. Podobnie jak o szmuglu narkotyków z Ghany, Pakistanu, czy, niestety, z Polski. ■ Rząd w Oslo szczyli się, że na pomoc dla trzeciego świata państwo przeznacza aż 1,5% dochodu narodowego. Czyli niewiele na jednego mieszkańca w świecie. Aż 92% ankietowanych Norwegów jest przeciw tej pomocy. ■ Zdaniem Prezesa Narodowego Banku Norweskiego deficyt w budżecie jeszcze w tym stuleciu musi być całkowicie zlikwidowany. Nadwyżki mają być odkładane do specjalnej fundacji, która zabezpieczy między innymi fundusz emerytalny w latach gdy dochody z ropy i gazu zaczną spadać. Szacuje się, że nastąpi to mniej więcej za 10 lat. ■ O blisko 60% wzrosły zakupy Norwegów w przygranicznych miejscowościach Szwecji, należącej od 1 stycznia do Unii Europejskiej. Przyczyna jest dość prozaiczna, ceny w Szwecji są 30-40% niższe niż w Norwegii. ■ W związku z wizytą prezydenta RP kanał pierwszy telewizji norweskiej ogłosił wywiad z ambasadorem Królestwa Norwegii w Polsce. Pan ambasador bardzo reklamował Polskę jako potencjalny rynek zbytu, ale nade wszystko jako kraj, w którym trzeba i warto inwestować. Zwrócił też uwagę, że Polska wciąż jest nie dostrzegana i bagatelizowana przez norweski świat gospodarczy. Choć wymiana handlowa z Polską to zaledwie niecałe pół miliarda dolarów, to jednak jesteśmy największym partnerem Norwegii w Europie środkowo-wschodniej. Pod tym względem wyprzedzamy pozostałe państwa regionu, w tym i Rosję. ■ Operowanie fikcyjnymi kartotekami członkowskimi w latach 1976-1994 dało młodzieżowce socjaldemokratów zwiększone wsparcie państwa. Ocenia się, że martwe dusze dominowały w organizacji. Podczas gdy oficjalnie operowano liczbami 13 do 17 tysięcy faktyczny stan wynosił 5 do 7 tysięcy członków. Znaleźli się wśród nich nawet osiemdziesięciolatek i zwierzęta domowe. Śledztwo wszczęła gmina Oslo za pośrednictwem, której przekazywano dofinansowanie. Stołeczna Rada Miejska uważa, że w ciągu kilkunastu lat młodzieżowi socjaldemokraci z terenu Oslo wyłudzili



około 100 tysięcy dolarów. ■ Afera socjaldemokratycznej młodzieźki rozpoczęła serię dochodzeń i w innych organizacjach. Zaraz potem wyszło na jaw, że podobnie postępowali Lewicowi Socjaliści i Prawicowa Partia Postępu. Rewizja pieniędzy przeznaczonych dla dzieci mongoloidalnych wykazała jeszcze większe nadużycia. Za ich pieniądze organizowano wczasom pracownikom gmin, realizowano inwestycje publiczne oraz finansowano dowolne przedsięwzięcia. Już pobieżne kontrole wykazały, że często organizacje pobierały na ten sam cel wsparcie wielokrotnie z różnych ministerstw, departamentów czy gmin. Mogło dochodzić do sytuacji, że dofinansowanie przekraczało koszt przedsięwzięcia. ■ Przeprowadzone sondaże wykazują, że społeczeństwo coraz mniej wierzy w swe prawa emerytalne. Aż 32% ankietowanych nie ma zaufania do gwarancji emerytalnych państwa. Aż 78% przypuszcza, że różnorodne świadczenia są nagminnie wyłudzane. Wśród oszustów na pierwszym miejscu wymienia się klientów socjalnych i pobierających zasiłki dla bezrobotnych.

Oslo, 4.6.95

Paweł GAJOWNICZEK

Dwutygodnik polonijny

**prasa**  
polska

Adres redakcji:

Prasa Polska

3, rue Robert Houdin

75011 Paris, FRANCE

Tel. (33-1) 49.29.04.30

Fax (33-1) 49.29.97.60

Ukazuje się od marca 1994 • Około 40 stron • Format A4

Polska widziana poprzez najlepsze teksty prasy krajowej – od dzienników do kwartalników. Także międzynarodowy przegląd polonijny i forum polskie, w którym wypowiadają się autorytety naszego życia społecznego.

Celem pisma jest utrzymanie trwałych związków z krajem, zbliżenie środowisk polonijnych oraz wzmacnianie poczucia wspólnoty ziemi, kultury, języka.

Wystarczy wysłać swój adres, aby otrzymać najnowszy numer.

Serdecznie zapraszamy.

Koszt prenumeraty rocznej – 26 numerów (półrocznej – 13 numerów) wynosi:  
FF 320 (190), DM 95 (60), £ 38 (25), \$USA 55 (35), \$CAN 70(45), \$AUS 80 (50)

## Listy do Redakcji

Nowy Jork, 30 maja 1995 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W marcowym numerze *Kultury* (3/570) w dziale Wydarzenia Miesiaca ukazała się informacja o tym, że: „Instytut im. Józefa Piłsudskiego w Ameryce zmienił ostatnio nazwę...” (s. 165).

Chciałbym wyjaśnić, że nazwa Instytutu nie uległa zmianie od momentu odtworzenia placówki na terenie USA w roku 1943. W korespondencji angielskojęzycznej i w kontaktach z osobami nie znającymi języka polskiego używa się jedynie stosownego tłumaczenia, które najwyraźniej zmyliło autora korespondencji. Dodatkowo w nazwie placówki nie ma „imienia” – jest to Instytut Piłsudskiego, założony przez Jego żołnierzy jeszcze w 1923 roku jako Instytut Badania Najnowszej Historii Polski (od 1935 Instytut Piłsudskiego) dla badań nad Jego epoką, a nie dla gloryfikacji imienia.

Z poważaniem

Janusz CISEK  
Dyrektor

RZECZPOSPOLITA POLSKA  
MINISTER KULTURY I SZTUKI

Szanowny Panie Redaktorze,

W kwietniowym numerze tegorocznej *Kultury* w „Notatkach Redaktora” opublikował Pan wiadomość o zmniejszaniu przez MKiS pomocy finansowej dla mniejszości narodowych: w bieżącym roku 8 mld. st. zł; w rzeczywistości pomoc ta wynosi 16 mld. 688 mln. st. zł.

Przy okazji Biuro do spraw Mniejszości Narodowych w MKiS zostało przemianowane na mój wniosek na Biuro do spraw Kultury Mniejszości Narodowych w MKiS. Wspomniana wyżej suma jest zatem przeznaczona wyłącznie na działalność kulturalną.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego szacunku

Kazimierz DEJMEK

12.VI.95.



Paryż, 3 czerwca 1995 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W kwietniowym numerze *Kultury* (nr 4/571, 1995) ukazał się artykuł pani doc. dr Jolanty Rokoszowej, poświęcony dwóm setleciom Państwowego Instytutu Języków i Cywilizacji Wschodnich. Artykuł zawiera wiele interesujących i ważnych informacji. Chciałabym wprowadzić jedynie kilka uściśleń.

Sekcja polonistyki w INALCO została utworzona dekretem rządu francuskiego w listopadzie 1920 r., natomiast wykłady prof. Zygmunta Lubicz-Zaleskiego rozpoczęły się już w roku 1917. Była to pierwsza katedra języka polskiego we Francji. Kilka lat później utworzono katedrę polonistyki w Lille (1927 r.), następnie, już po wojnie, powstały dwie katedry – na Sorbonie (1959 r.) oraz w Nancy (1962 r.). Po wojnie zaczęły się także rozwijać poszczególne sekcje polonistyczne na innych uniwersytetach.

Obecnie program studiów polonistycznych w INALCO jest bardzo złożony i jego specyfika zasługuje na podkreślenie. Nauce praktycznej języka towarzyszą wykłady teoretyczne z lingwistyki, historii literatury, cywilizacji obejmującej nie tylko geografie i historię, ale także wykłady z socjologii i ekonomii. Na poziomie magisterskim i doktoranckim studenci mogą uczęszczać na seminaria specjalistyczne z semio-lingwistyki, literaturoznawstwa oraz z cywilizacji (poświęcone m.in. problemom mniejszości narodowych, historiografii, elitom społecznym itd.).

Drugie wyjaśnienie dotyczy porównania ilości osób studiujących w INALCO język polski i czeski. Autorka informuje, że po roku 1989 w sekcji czeskiej „nastąpił dwukrotny wzrost liczby zainteresowanych” podczas gdy polonistyka „nie zwiększyła (choć też i nie zmniejszyła) liczby swoich studentów”. Należy tu jednak zaznaczyć, że w okresie komunizmu ilość studiujących język czeski była o połowę mniejsza niż obecnie, podczas gdy ilość polonistów już w latach osiemdziesiątych doszła do stu dwudziestu osób, co oczywiście łączyło się z zainteresowaniem Francuzów politycznymi wydarzeniami w Polsce. W ostatnich latach ilość studentów w obu sekcjach niemal się wyrównała i należy się tym cieszyć. Jedną z misji naszej uczelni jest właśnie ekumenizm kulturowy, czego świadectwem jest wspólny dyplom polsko-czeski: warunkiem jego otrzymania jest zaliczenie wykładów z historii obu krajów.

Przy okazji pragnę podziękować pani doc. Rokoszowej za jej odważne wystąpienie w obronie nauczania języka polskiego we Francji i mam nadzieję, że zapoczątkuje ono dyskusję na temat polonistyki francuskiej, której roli, jak słusznie stwierdza Autorka, władze polskie zdają się nie doceniać, nie uświadamiając sobie w pełni, że właśnie od młodych Francuzów, których kształcimy zależeć będzie w dużej mierze polsko-francuska wymiana w dziedzinie handlu, ekonomii czy kultury.

Sprawy te wymagałyby jednak osobnego artykułu.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego szacunku

Prof. Dr hab. Maria DELAPERRIERE  
Kierownik sekcji polonistyki w INALCO

Podkowa Leśna, 29 maja 1995 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Myli się Pani Ewa Berberyusz pisząc w tegorocznej kwietniowej *Kulturze* (nr 4/571, s. 86), iż Klub Inteligencji Katolickiej w Warszawie „przez całą dekadę lat osiemdziesiątych nie (był) zawieszony przez władze”. W rzeczywistości KIK był zawieszony od 15 grudnia 1981 r. do 8 czerwca 1983 r. i został „odwieszony” w przeddzień przyjazdu do Polski Jana Pawła II.

Będę wdzięczny za wydrukowanie tego sprostowania.

Łączę wyrazy szacunku

Paweł KADZIELA

Bydgoszcz, 26 marca 1995 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z poczynaniami prezydenta Białorusi, zmierzającymi w kierunku ograniczenia zasięgu i roli białoruskiego języka i białoruskiej kultury, wydaje mi się właściwym i koniecznym aby ze strony polskiej przyszło wsparcie dla białoruskiego piśmiennictwa.

Mam na myśli przede wszystkim pomoc finansową i poparcie dla druków białoruskich wydawanych w Polsce, pomoc na tyle skuteczną, żeby w Polsce właśnie mogło zaistnieć prężne centrum życia kulturalnego białoruskiego.

Chodzi o powołanie fundacji albo funduszu, udzielającego stypendiów i subwencji, bezinteresownie i bezwarunkowo, aby pisarze i dziennikarze – Białorusini nie uznali tej pomocy za próbę wpływu na merytoryczną zawartość ich pism.

Sądzę, że jako Polacy jesteśmy moralnie zobowiązani do udzielenia wsparcia białoruskiemu piśmiennictwu. Był bowiem czas niechlubny, kiedy to (w okresie międzywojennym) państwo polskie ignorowało poczucie narodowe i językową odrębność licznych mieszkańców naszych ówczesnych kresów północno-wschodnich. Co w konsekwencji popchnęło wielu Białorusinów pod wpływ sowieckiej agitacji i komunistycznej ideologii, której dystrybutorzy obficie drukowali materiały propagandowe w zwalczanym u nas i uciśnionym języku białoruskim. Dziś, gdy na Białorusi władze próbują hamować postęp narodowego odrodzenia i desowietyzacji, gdy znak Pogoni i biało-czerwono-białe barwy stają się tam nieomal nielegalne, swobodny rozkwit piśmiennictwa białoruskiego w Polsce mógłby uprościć przyszłe pomiędzy naszymi narodami stosunki, przypomnieć wszystko, co w naszej przeszłości wspólne i co może przemówić silniej nad wymowę tych zdarzeń przeszłych, które dzielą i antagonizują.



Pomóżmy więc, o ile możemy. Pomóżmy bezinteresownie, bez fałszywego poczucia wyższości, bez żądań i warunków. Tradycja I Rzeczypospolitej powinna nas czynić zdolnymi do takiej pomocy.

Wacław LEWANDOWSKI

Warszawa, 2 czerwca 1995 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W 4/571 numerze *Kultury* opublikował Pan list p. Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, w którym kwestionuje ona wyrażoną w eseju Bogusława Włodawca „Melchior Wańkowicz” informację, że pisarz „utrzymywał zażyłe stosunki towarzyskie z Mieczysławem Rakowskim”. Pani Ziółkowska-Boehm autorytatywnie stwierdza, że „nigdy Wańkowicz nie odwiedził Rakowskiego, nie przyjął go w domu, nawet nigdy do niego nie zatelefonował. Wydaje mi się, że Autor eseju pomylił postać Rakowskiego z Michałem Radgowskim, przez wiele lat zastępcą redaktora *Polityki*. Wańkowicz utrzymywał z nim stosunki towarzyskie...” Jeszcze, w co wierzę, daleko mi do sklerozy bądź też mitomanii, a więc informuję p. Ziółkowską, że w latach gdy pisarz mieszkał przy ul. Puławskiej, bywałem w jego mieszkaniu, z reguły na jego zaproszenie. Wańkowicz częstował swą specjalną nalewką trizdivinis, od której kręciło się w głowie. Otrzymałem także od niego do zaopiniowania maszynopis jego książki pt. (jeśli się nie mylę) *Międzyepoka*. Pisarz odwiedzał także redakcję *Polityki* w czasach gdy mieściła się tam, gdzie dziś znajduje się hotel „Forum”. Oczywiście, że „zażyłe stosunki”, o których pisał p. Włodawiec, to bez wątpienia zbyt daleko idące określenie.

Łączę wyrazy szczerzego szacunku

Mieczysław F. RAKOWSKI

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69 – Telefon: (39 81) 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.  
Commission Paritaire N° 60789.  
Dépôt légal: 3<sup>ème</sup> trimestre 1995.

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

# KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon (33-1) 39-62-19-0  
Fax: (33-1) 39-62-57-52

## PRZEDSTAWICIELSTWA

| PRZEDSTAWICIELSTWA                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                     | Egz. poj.    | Prenumerata  |               |
|--------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|--------------|--------------|---------------|
|                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                        |              | 1/2-roczna   | roczna        |
| Ceny na rok 1995                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                       |              |              |               |
| AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                     | F. 55,00     | F. 320,00    | F. 600,00     |
| ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                          | F. 55,00     | F. 320,00    | F. 600,00     |
| AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                  | F. 55,00     | F. 320,00    | F. 600,00     |
| AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                               | F. 55,00     | F. 320,00    | F. 600,00     |
| BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                     | F. 55,00     | F. 320,00    | F. 600,00     |
| BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                   | F. 55,00     | F. 320,00    | F. 600,00     |
| DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                      | F. 55,00     | F. 320,00    | F. 600,00     |
| FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                            | F. 55,00     | F. 320,00    | F. 600,00     |
| HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                     | Fl h 20,00   | Fl h 110,00  | Fl h 210,00   |
| IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                         | F. 55,00     | F. 320,00    | F. 600,00     |
| KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115                                                                                                                                                                                                                                                                         | \$ can.13,00 | \$ can.75,00 | \$ can.140,00 |
| NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, Postfach 340108, D 80328 München, tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                 | DM 17,00     | DM 100,00    | DM 185,00     |
| NORWEGIA: Zb. Tyszek, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                           | F. 55,00     | F. 320,00    | F. 600,00     |
| SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                | F.S. 15,00   | F.S. 90,00   | F.S. 160,00   |
| SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 171-46 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33. PG-KONTO 614 87 10-4.                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                | Sk 85,00     | Skr 450,00   | Skr. 850,00   |
| U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618, tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302, tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2386 | \$ US 11,00  | \$ US 60,00  | \$ US 116,00  |
| WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                       | F. 55,00     | F. 320,00    | F. 600,00     |
| WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                   | F. 55,00     | F. 320,00    | F. 600,00     |

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.  
Przesyłka pojedynczego numeru – F 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.  
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)



## Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 485 – WACŁAW IWANIUK

### MOJE STRONY ŚWIATA

Poezje

Str. 76

Cena F. 20,00



Tom 489 – ZESZYTY HISTORYCZNE

### ZESZYT STO DWUNASTY

zawiera opracowania: T. Mianowicz: *Co można znaleźć w archiwach STASI?*; Z. Woźniczka: *Podziemna PPS-WRN w latach 1945-1948 (zarys działalności)*; R. Mackiewicz: *O rękopisie Michała Romera „Dwie teorie o Polakach Litewskich”*; W. Biczunas: *Wywiad prof. M. Römera w sprawie wileńskiej. (Pierwsza rozmowa: Prof. Römer o zagrabieniu Wilna; Druga rozmowa: Droga do Wilna)*; Z.S. Siemaszko: *Brytyjczycy zaangażowani w sprawy polskie*; H. Świdorska: *Z powiązań Polska-SOE-NKWD*; L. Kowalski: *Komisarze stanu wojennego*; M.P. Deszczyński: *Sprawa Zaolzia w 1938 r.*; T. Dubicki: *Wojenne losy prezydenta Ignacego Mościckiego według zapisów mjr. Józefa Hartmana 28.VIII.1939 – 8.I.1940*; J. Krzyżanowski: *Wyjazd z Nowonikołajewska*; M. Danilewicz Zielińska: *„Antemurale” (1954-1985). Działalność Polskiego Instytutu Historycznego w Rzymie*; T. Wyrwa: *Londyńskie „Teki Historyczne”*; W. Zajewski: *Hamlet na tronie*; W. Zajewski: *Mocarstwa europejskie wobec insurekcji 1794*; L. Gajos: *Początki opozycji demokratycznej w PRL*; K. Tarka: *Polacy i Białorusini*; B. Heydenkorn: *Amerykańska ksenofobia*; OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240

Cena F. 90,00

**Cena 90 F**